

SFINKS

ZESZYT 48.

GRUDZIEŃ 1911.

ADRES REDAKCJI
PÓLNA 26.

CENA ZESZYTU RB. 1.

5597



DRS/KP/Doc

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w DABROWIE GÓRNICZEJ

671/12

Treść zeszytu XII (48) Grudzień 1911 r.

	<i>Str</i>
JÓZEF RACHWAŁ	<i>Chochół „Wesela“</i> 329
Z. ERWIN	<i>„Bolesław Śmiały“ i „Skalka“ Wyspiańskiego</i> 339
STANISŁAW WYSPIAŃSKI	<i>Prolog z „Bolesława Śmiałego“</i> 353
Dr. ADOLF CHYBIŃSKI	<i>Franciszek Liszt (dok.)</i> 357
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI	<i>Mocny człowiek, powieść (c. d.)</i> 368
FILONOUS SYN ANTINOUSA	<i>Protagoras Humanista (dok.)</i> 393
J. KURNATOWSKI	<i>Komentarz do polskiego przekładu dialogu „Protagoras Humanista“</i> 407
ELJAN	<i>Jak odłamana gałąź. Powieść (c. d.)</i> 410
MARJAN ZBROWSKI	<i>Stary dom</i> 444
JADWIGA LIPIŃSKA	<i>Sonet (Bez powrotu, Niewolnica, Artysta)</i> 440
JULJAN OCHOROWICZ	<i>Jak powstały pierwiastki? (dok.)</i> 452
ANTONI AUSTEN	<i>Wystawa dzieł Antoniego Gawińskiego i Marjana Wawrzeńckiego</i> 469
ANTONI GAWIŃSKI	<i>Malarstwo Edwarda Okunia</i> 476

PRZEGLĄDY I SPRAWOZDANIA:

Dr. ADOLF CHYBIŃSKI	<i>Z najnowszej muzyki polskiej</i> 479
EUSTACHY CZEKAŁSKI	<i>„W twardej służbie“ Andrzeja Struga</i> 483
EUSTACHY CZEKAŁSKI	<i>„Słub krwi“ Kazimierza Glińskiego</i> 484

Książki nadesłane, Wydawnictwa gwiazdkowe, Od redakcji, Ogłoszenia.

DODATKI ARTYSTYCZNE:

Rysunki i winiety: L. Bigosińskiego (str. 368, 407, 410 i 492), Esko (str. 448, 449; 450, 451 i 476), J. G. (str. 338), St. J. Kozłowskiego (str. 339), E. Mejro (str. 444), H. Minkiewicza (str. 341, 353, 392 i 479), J. Rembowski (str. 367, 406 i 443), W. Rozwadowskiej (str. 469), Fr. Siedleckiego (str. 393), M. Wawrzeńckiego (str. 352, 452, 468 i 478).

• Dodany osobno: portret własny Stanisława Wyspiańskiego.

Na okładce: rysunek A. Noskowa.

Dokończenie powieści „Z oddali“, zawierające jeszcze kilka arkuszy druku, odłożyć musimy do kwartalu I roku przyszłego.



Papier z fabryki C. A. Moesa.

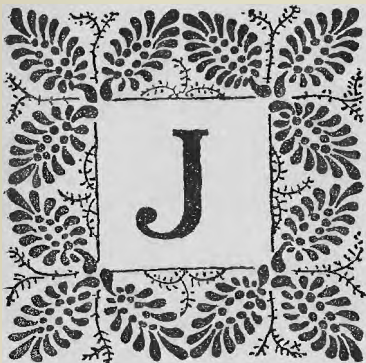
-5597-



Stanisław Wyspiański
(według portretu własnego).

JÓZEF RACHWAŁ.

CHOCHOŁ „WESELA“.



est w „Wesela“ pośród wielu symbolicznych postaci jedna, najtrudniejszą przedstawiająca zagadkę. Co znaczy Chochół, panujący nad trzecim aktem dramata, więc pośrednio (i w rzeczywistości) nad sztuką całą i w rezultacie nad społecznością współczesną, której *Wesele* ma być zwierciadłem?

Zanim własne określe zapatrywanie, oparte na słowach samego poety, niechaj wolno mi będzie zestawić sądy cudze. Chmielowski (Piotr Chmielowski: „St. Wyspiański“, 1901) nie dopatruje się w Chochole symbola jakiegokolwiek. Stwierdza tylko, że jest to „wyłączna, bardzo odważnie zdobyta własność poety“. „Nie w tem widzę — mówi — oryginalność, że ożywił i uosobił krzak róży, ale, że ze straszidła uczynił postać żywą i ważną w dramacie“.

Feldman (Feldman „O twórczości St. Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego“, Kraków, 1905) uważa Chochoła za „śmierć moralną... rzeczywistość... niemoc...“, czyli społeczeństwo dzisiejsze *moralnie umarło*, Chochół przecież niem zawładnął. Społeczeństwo to tedy nie jest

zdolne do żadnego życia moralnego. „To jest rzeczywistość“, a temu przeczy wiele słów „Wesela“, co raz należałoby zobaczyć.

Gostomski (Arcytwór dramatyczny St. Wyspiańskiego „Wesele“ 1908) stara się Chochola rozebrać na „chochoła“, słomę, śmieć i krzak róży—bardzo słusznie, ale na jakiej podstawie? Śledząc zaś rolę tej postaci w „Weselu“ i jej działalność w akcji trzecim, wzdryga się przed tym „dziwnie niepokojącym, drażniącym symbolem“, który określa, jako „słoneczną i złotą myśl narodową, idącą ku nam poprzez wieki, hen od piastowskiego zarania, a dzisiaj tak zwiędłą od wichru i szrona naszych zmierzchów jesiennych“, czyli krzak róży, to owa „piastowska myśl“—zapewne dążenie narodu do stworzenia przez siebie samego materialnej potęgi państwowej, niepodległej. Lecz czym jest „wicher i szron naszych zmierzchów jesiennych“—nie dowiadujemy się.

G(ustaw) B(aumfeld) (G. B. „Stan. Wyspiański“ Objasnienia do arcydzieł lit. pol. i obc.) objaśnia Chochola, jako „asymbolizowanie ironji dzieła“, „poezję mszczącą się“. Pierwszy sąd wyklęcza drugi. Jeślibyśmy zaś chcieli uważać Chochola za „ironję dzieła“ i równocześnie za „poezję mszczącą się“, to Chocholem, to *ironją* dzieła *Wesela* byłaby poezja *mszcząca się*—czyli poezja mszcząca się jest ironją dla *Wesela*, więc poezja niemszcząca się jest nie-ironją *Wesela*, innemi słowy: poezja sprawiedliwa jest słusnością *Wesela*. W takim razie czym jest — jaką winna być poezja sprawiedliwa, by mogła być dla treści, myśli „Wesela“ słusnością?

[Kotarbiński (J. Kotarbiński: St. Wyspiański „Bibl. Warsz.“ 1907 t. I.) uważa Chochola za symbol „wewnętrznej nicości życia pastego“. Czemże jest owa *wewnętrzna nicość życia pastego*? Może brakiem wszelkiego życia—bo tylko to jest możliwe? Dlaczegoż tedy, konsekwentnie postępując,

nie twierdzi, jakoby w społeczeństwie „Wesela“ nie było. już możliwości życia?! Przecież tej niemożliwości życia, Chochołowi, przy końcu dramatu wszyscy się poddają — i na jej natę nie jak ludzie, ale jak lalki szopki kręcą się bezmyślnie, mechanicznie... Wtedy „Wesele“ byłoby rozdarcie szat nad grobem społeczeństwa, byłoby wyśpiewaniem: *Requiem aeternam dona eis, Domine...* I tem jest istotnie „chochoł“, pałaba, i to jej zadanie—ale kryje ona pałaba w sobie żywy krzak róży, który zdaje się p. Kotarbiński przeoczył.

Latosławski („Wesele“ „Słowo Polskie“ 1901 str. 206) tak określa tajemniczego „nygasa, paralasa: „Chochoł okazuje się, jako złośliwy, obcy chochlik, paraliżujący naturalne poruszenie ludu. Otóż jedno: jest on przedewszystkiem tak polskim, swojskim, że trudno już jest chcieć zobaczyć w nim coś obcego—ale w dobie dzisiejszej... w W. Ks. Krakowskim i Ks. Galicji... Przed pięćdziesięciu laty był on obcy narodowi, charakterowi polskiemu. Powszechnie wiadomem jest, że natura polska—nawet w tem serec Polski całej, w Krakowie, i w tej szczęśliwej Galicji — zawsze kierowała się uczuciem... a nie chłodem słomy jesiennej zbóż... jako dziś. Ale, że my oprócz tej słomy, która jest naszą właściwością, chowamy w sobie „coś więcej“ — krzak róży, tylko gdzieś „pod czwartą głębłą skibą“ — na to mamy wyraźny dowód, bijący całą siłą w oczy czytelnika, w ślicznym obrazie „Wesela“, o którym niżej pomówimy, a który, niestety, krytycy... przeoczyli.

Do symbolu ironji dzieła powraca Mazanowski (Ant. Mazanowski „St. Wyspiański „Bibl. powszech.“ 602—3).

Matuszewski (Ign. Matuszewski „Weysenhoff i Laury Wyspiańskiego“. „Sfinks“ 1910) tak określa „pana, władającego „Weselem“: Chochoł—to przez samych gości weselnych wywołane mamidło, niemal *pozabawione osobo-*

wości, to jakby rodzaj jakiegoś narzędzia, które prawie niezdolne jest do samoistnych czynów, ale dopomaga tylko gościom („Wesela“) do uzewnętrznienia, obiektywizacji ich wewnętrznych tęsknot i wizji...; nie jest on potęgą osobistą, lecz jakby nicią, łączącą świat nastrojów wewnętrznych ludzi z widmami, ucieleśniającymi te nastroje“. Istotnie, Chochół jest pozbawiony osobowości, jest nicią łączącą, lecz nie dwa światy, powiedziałbym raczej—dwie myśli, ogarniające współczesną Polskę zaboru austriackiego.

Niemojewski (St. Wyspiański, Warszawa 1903) krzak róży, owinięty w chochołową słomę i powołany do życia, ocenia jako symbol idei, „owiniętej w futerały zabezpieczające, tej idei, odłożonej na przyszłość, symbol mumji, których cały rozum polega na tem, aby położyć palec na ustach i mówić salomonowe: „sza... sza... zima, czekać, słuchać, a tymczasem tańczyć“. Na ten sąd w części zgodzić się można i trzeba. To świetna *charakterystyka* społeczeństwa dzisiejszego podług „Wesela“, jego *działalności*, a nie istoty, jaźni całej. Chochół, *pałuba*, nakrycie słomy—jest *futerałem dla idei* w niego owiniętej—ale tej idei, tej podstawowej myśli, wyrażonej w krzaku róży, Niemojewski nie sięgnął.

Niezrozumiałem jest, że ten, który sam, jako powieściopisarz, postaciom przez się tworzonym subtelnie wdziera się w głąb dusz, tej metody nie zastosował względem Chochoła. Jest nim Bolesław Prus („Najnowsza poezja polska“, „Tyg. Ill.“ 1909 st. 23). „Chochół — mówi on — czyli wiecheć słomy, który w najpomysłniejszych okolicznościach może stać się krzakiem róży, a później — znowu wiechem...“ To właśnie, że Chochół znów może stać się krzakiem róży, jest przecież jego istotą, którą autor „Faraona“ tak mimochodem traktuje.

Rozdzielił raz chochoła na krzak róży i futerał słomy, jednak nie wykorzystał tego, wracając do pałuby.

Śliwicki, (Dañjel Śliwicki „O twórczości literackiej St. Wyspiańskiego“ 1907) uważa śmiecia, rządzącego w „Wesela“ za symbol „szablona życiowego (sic), rutyny, kompromisu, usypiającego wołę, myśl i czyn, symbol rzeczywistości (Feldman) ten nasz ożywiony, chodzący i zaglądnący w kąty chaty śmieć. Prawda to wielka—ale... Chochoł nie jest panem kompromisu, i jeśli zagłąda w dusze nasze, w krzak róży, to jedynie, by nim zawładnąć, uspić go, zniewolić, a nie prowadzić układy. Gdzież i z kim w „Wesela“ Chochoł prowadzi jakie rokowania? Zjawia się i zimnym, grobowym głosem rozkazuje... opanowuje... wszystko.

Skoczyła („O St. Wyspiańskim“ Kraków 1909), spostrzegł symbol sna i obumarcia, który zapanował nad całym otoczeniem żywych, pełnych krwi i temperamentu, ludzi. Znoważ jest to stwierdzenie tylko działalności chochoła-słomy, brak duszy, brak krzaku róży.

Chochoł, zdaniem Turowskiego („Wesele“ „Dziennik Pozn.“ 1902 nr. 39), jest uosobieniem wszystkich wahań i zwątpień, wszelkiej ospałości i wszelkiego odkładania z dnia na dzień, lenistwa i niewiary. Chochoł jest satyrą straszną, jak straszną prawdą jest cały szereg panny z miasta, jak straszną prawdą jest zgubienie złotego roga. To symbol szaty chochołowej—a nie postaci Wesela „Chochoła“.

Zapolska („Przed Weselem—Po Wesele“ „Słowo polskie“ 1901 nr. 240), w te słowa kreśli Chochoła: „zjawia się ktoś, co gra—a my, Polacy—tańczymy, jak on gra. I tańczą, tańczą wszyscy! Och, ta jedna scena, to straszna, to krwawa scena! Świt wchodzi—trupy tańczą—ten „ktoś“ ze słomy puścił ich w tan!... Scena znika—to jeden wielki cmentarz, a po tym cmentarzu tańczą...

tańczą...” Zapewne, że poetyczne przedstawienie wrażenia, jakie działa na widzów—spowodowane przez *politykę chochoła*, jest doskonałe; ale to nie tłumaczy nam jego istoty, co więcej, mówi mniej, niż sam poeta wyraził, nazywa go ogólnikiem nie niemówiącym—„ktoś”.

Jak widzimy, dotychczasowe zapatrywania na „symbol”, „ideę” i t. p. Chochoła, dadzą się podzielić na dwie grupy. Jedni, przypatrując się Chochołowi, dostrzegają w nim tylko *chochoła*, t. j. wiecheć słomy. To jeden błąd: mianowicie, że *Chochola*, boją się rozebrać i przypatrzeć się szatom, ciała i sereu. Inni zagłębiają się w tę postać, starają się dociec, dotrzeć sereu Chochoła... i widzą w nim krzak róży, owinięty w słomę, ale boją się wyjść poza krzak róży... i wytłomaczyć doniosłość tej postaci, którą poeta aż nadto dosadnie określił i wytłomaczył: to drugi błąd. Trzeci, to ten, że w krytyce o Chochole za dużo poezji, i wskutek tego krytyka ta stała się krytyką-poezją na temat zagadki pana-Chochoła.

Przypomnijmy słowa poety: Rachela, wyrażając życzenie zaproszenia Chochoła na wesele, tak go określa:

*słoma, zwiędła róża, noc,
ta nadprzyrodzona Moc;*

a nieco wyżej:

*owiną go w słomę zbóż
a na wiosnę go odwiążą,
i sam odkwitnie.*

Mógłby kto zarzucić, że słowa powyższe nie potwierdzają jeszcze doniosłości Chochoła — osoby dramatu „Wesela”—lecz opisują jakikolwiek krzak róży, opakowany w słomę, a stojący pod oknami izby weselnej. Otóż

tak nie jest — czego dowodem najwymowniejszym słowa Chochoła:

Ubrałem się, w com ta miał,
sam twój tatuś na mnie wdział,
bo sie bał, bo sie bał,
jak jesienny wichur dął,
zaśbym zwiądzł róży krzak...
skądżebym ja sam to wziął...

Słowa Poety:

Ktoś wyrwał krzew różany.

Rachel: Czy ten, co był w słomę odziany?

Poeta: To ten chochoł.

Rachel: Ktoś połamał? —

a myśmy, cośmy to chcieli
z nim, —?

a więc *Chochoła* należy oceniać jako: krzak róży z nadprzyrodzoną mocą samoodkwitnienia — ale na wiosnę, letnią porą — i jako pałubę słomy... Zanim jednak postaram się o wytłomaczenie znaczenia tej doniosłości, sądząc, że winienem, choćby dla jasności, wykazać ideowo z Chochołem związane sceny.

Obraz trzeci „Noey Listopadowej“, rozgrywający się pod posągami Sobieskiego, wypełniony jest pięknym i bardzo dla nas ważnym dialogiem Kory z Demetram.

Orkus, pan nocy, zimna i śmierci, dopomina się o *Kore*, która jest symbolem, boginią życia, wiosny. Ma zejść we władztwo Orkusa, bożka ciemności, zimna, obumarcia, opuścić ten świat — a wrócić letnią porą:

O Matko — letnią wrócę porą.

Kora — Serce — Wiosna — Życie odchodzi w podziemie,
w kraj snów, a tu na ziemi, zapanuje „do letniej pory“
śmierć, śmierć natury.

Odchodzi,
a z ócz i czoła to zgadywać,
że jakąś tajemnicę siłi,
którą kazano jej ukrywać.

— — — — —
— — — — —

Z wiosną, gdy pierwsze lody spłyną,
gdy pierwsze wichry wioną,
wróć i żywot zacznę nowy...

bo ze świata Orkusa przyniesie:

bogate podziemia śpichlerze:
z każdego ziarna się zbierze
nasienie i skrzętnie skryje;
tam *przechowują się ziarna*,
a jak je przyniosę na świat,
to *każde kwiatem odżyje*
i *owoców wrodzi mnogo*.

— — — — —
My oto, Matko, *zmartwychwstaniem*
na wielkie siewu święto.

A więc i Kora, podobnie jak „Chochoł“, ma w sobie
moc „odżycia“ — „zmartwychwstania“ — ale letnią porą,
„na wiosnę“.

A teraz przejdźmy do „Wesela“, do przepięknej rozmowy
Panny Młodej z Poetą. Pierwsza opowiada Poecie swój sen.
Taniec osłabił ją bardzo i ze zmęczenia śniła: siadła do karety,
a zadziwiona szybką jazdą przez lasy, murowane miasta,
pyta się swoich towarzyszy:

„A gdzie mnie, biesy, wiezicie? W odpowiedzi usłyszała słowo „Polska“. Ale gdzie ta Polska — nie wie i pyta się Poety.

Poeta: Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno młoda,
i nigdzie jej nie znajdziecie.

Panna Młoda: To może i szukać szkoda.

Poeta: A jest jedna mała klatka, —
o niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.

P. Mł.: To zakładka
gorsetu, zeszyta trochę przyciaśnie.

Poeta: — — — A tam puka?

P. Mł.: I cóż za tako nauka?
Serce—!—?

Poeta: *A to Polska właśnie.*

Dotarliśmy już do rdzenia prawdy. Serce to Polska! Serce — Kora z nadprzyrodzoną mocą odradzania się, którą posiada i krzak róży, pałubą spowity, i sam „odkwitnie“ — oswobodzon ze słomy zbożowej. Ma w sobie Moc Życia.

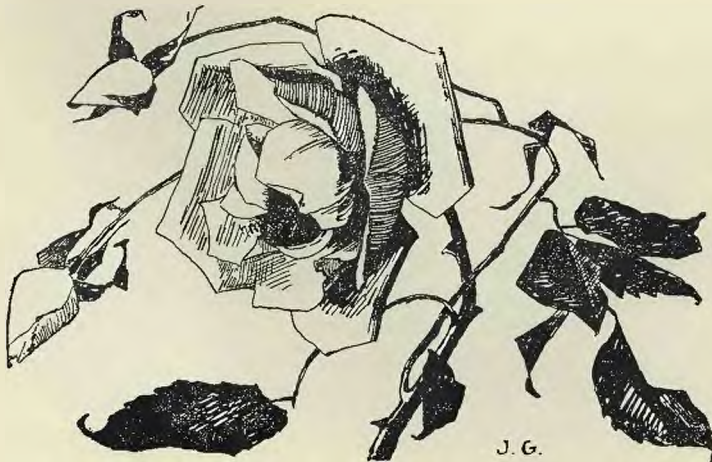
Kora — Serce — Polska — Krzak róży, owijając się w słomę zbóż, zstępując w podziemia, w świat zimy i ciemności, obumiera... ale chwilowo. Uwolniony z objęć pałuby, z uścisków „Orkusa“, ma tyle w sobie mocy, tyle życia, że sam swoją potęgą zmartwychwstanie.

„Chochoł“ — Krzak róży, okręcony słomą, jest w Weselu panem nocy, zimna, śmierci dla dusz, serc polskich. Ale w objęciach tego śmiecia — Orkusa — jest krzak róży, jest Kora, jest Serce, — jest Żywa Polska, Polska z zarodkami nowego życia, które „mnogo owoców urodzi“ — a wówczas osoby „Wesela“, ten machinalny chór „zmartwychwstanie na wielkie siewu święto“.

„Chochoła“ przeto należy rozebrać — oddzielić suknie od ciała, i będziemy mieli przed sobą: krzak róży z nadprzyrodzoną Mocą Życia, odradzania się — Serec, nasze myśli, marzenia narodowe, porywy, nasze dusze, nasze uczucia, owinięte w słomę, ograniczone zbytnio — sceptycznym, zmaterjalizowanym, zaściankowym, egoistycznym rozumem... Zrzućmy słomę — ale letnią porą — a krzak róży odkwitnie, obrodzi mnogo, stanie się wolnym i pełnym życia, i wówczas wstaniemy na wielkie siewu święto. Wyzbądźmy się refleksji zbytniej, zaściankowości, egoizmu, a więcej kierujmy się sercem, opuśćmy groby przeszłości, a żyjmy, pracujmy dla przyszłości — wtedy polska myśl narodowa się odrodzi, odkwitnie w sercach naszych, w czynach... nadejdzie Świt!

Krzak róży, przykryty pałubą, jest „rzeczywistością“, objawiającą się w naszych myślach, czynach, uczuciach, w naszej polityce narodowej, jest ucieleśnieniem nas samych, nie w życiu codziennem, lecz w *życiu polskiem*.

Ten krzak róży, słomą odziany, zawierający w sobie moc odrodzenia, to symbol idei „Wesela“, symbol idei poety, a winien być symbolem idei całego Narodu.



J. G.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI

PROLOG Z „BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO“.

*Polećcie ze mną w ten czas przed wiekami,
który sny jeno na pamięć przywodzą,
gdy się z majaki, co idzie przed nami,
majaki duszy utęsknionej rodzą.*

*Najdziecie wtedy gród, święty skarbami,
kiedy was stróże-rapsody powiodą.*

*A kiedy dłoń w mroki wam wskażą,
patrzcie, bo przeszłość przed wami obnażą.*

*Sen miałem taki i w tym śnie widziałem
rzeczy, ku którym sercem gonię całym.*

*Szty widma-ludzie, co miecze dźwigały,
tarcze ze skóry i ciężkie kawały
skórzanych zbroic, a strojne we świty
orszakiem — w tunie kolorów spowity —
wawelski gród przestaniaty.*

*Był dworzec drewniany z lipowych uwiezi,
na przelaj sprzęganych przez krokwie dębowe;
gdzie płatwy, ciosane z słurwiecznych gałęzi,
strop królom czyniły nad głowę.*

*W tym dworcu widziałem świetlicę ogromną,
półmroczną, pustą, — Wista za nią szumi,
i łoskot fal bije i wicher w niej się tłumi;
mam w oczach i słuchu przytomną.*

*Pośrodkiem podłogi wiódł krajec czerwony
ku miejscu, gdzie królów siedzisko stawione,
rzędami a złotą obite tarcicą.*

*Gdym wchodził, był dworzec ten pusty rzucony.
Z okieńców księżycy się patrzą i świecą.*

*Już wraz mi się zdało, że szedł ktoś przedemną
w izbę i zwierzał za sobą zapory,
a twarz miał zakrytą przyłbicą.*

*Kto jesteś? ty stróżu tajemnic narodu,
coś wewiodł mię w dworzec prastary?*

*On dłoń swą na ustach mi kładzie każącą
i sam się w słuchu pochyla nad próg.
I słyszę... za ścianą tą, w mgle czerniejącą,
jak w dworcu, w podwórzu dną w róg.
Snać męże przyszli do grodu.*

*Sam tu wy, do mnie, duchy nasze,
o których duch mój śni!
Sam tu! Kolorem was okraszę,
jak było za dawnych dni.
Niech król się przedemną do boju zapasze,
niech stanie przedemną we krwi!*

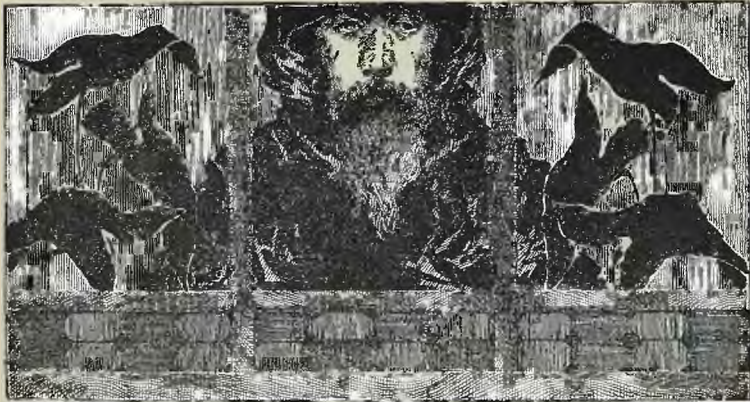
*Już małe wrotka w bocznej ścianie
namknęły się w komory głąb.
Czy w zamku jestem, czy na scenie?
W tem promień padł na próżny wrąb.
Zamajaczyły się dwa cienie,
dziewa i chłop, jak rosły dąb.*

*Mąż słucha, ku uszom przystawił swej ręki,
a w gniewie drży mu prawica.*

*I naraz róg ozwie się blizki, uderzon,
i głosem ogromnym po dworcu dmie szerczon,
a wicher go niesie orlica...*

*I mówić poczęli, — już słyszę ich gwary,
mitośne przemówki zakłętej tej pary.
Król mówił i Krasawica.*





Z. ERWIN.

„BOLESŁAW ŚMIAŁY“ i „SKAŁKA“

WYSPIAŃSKIEGO.

Polska żywa, z grobu i znikomych snów otrząśnięta, czynami tętniąca, których mocą rozbrzmi wielki dzwon Zygmontowski, a obwieści je światu Salwator - Apollo, na słonecznych rumakach pod strop Akropolu polskiego wjeżdżający—oto wizja Wyspiańskiego, gdy marzy o Polsce. I puka w trumny i nawołuje głosem rozpaczonym człowieka, którego nie słucha ciżba, sennie krążąca pod takt muzyki Chochoła. I z zapartym oddechem natęża słuch, wysila wzrok, czy nie oddźwięknie mu z pod rumowisk jęk potężny, czy nie podniesie wieka trumny mara olbrzymia, w czechło odziana, a żywa, zdolna podnieść młot, którego nie dźwignie ręka ludzka, i ciosem gromowładnym zwalić odrzwia przeklęte... a ukochane wierzeje Wawela.

Więc jeden po drugim wstają z grobu herosy ducha polskiego, a poeta wznosi im gmach niebotyczny,

świętynię sztuki. Nie przystosował jej do miary przeciętnej: wzwyż idą jej kolumny marmurowe, pułap zdarty pozwala się wdzierać prądom słońca i powietrza z górnych sfer, a postaciom unosić się w nieskończoność.

Zamierzone na tak potężną skalę, nie mogą żyć życiem codziennem, obracać się zręcznie w ramach tego lub owego wypadku, tej lub owej epoki. Ból ich własny kojarzyć się musi z bólem tysiąca przeszłych i przyszłych pokoleń, aż rozeprze deski trumny i wskaże niezagojoną, dziś równie żywą, jak niegdyś, wiecznie broczącą ranę. Szcęk oręża, którym walczyli, nie ucichł, klątwy, którymi się obrzucali, nie utraciły ponurej grozy, nie umilkła tragiedja ich dusz, szarpanych zwątpieniem i drgających bólem czynów niedokonanych.

To Polska dzisiejsza, w serce poety zaklęta, miota się tak rozpaczliwie przeciwko powiewom trupim, co skądciś z podziemnych głębin na nią idą, obezwładnieniem jej grożą i czynom wpoprzek się ścielą ciężką zaporą, a jednocześnie, ostupiałemi z grozy oczyma, każą się wpatrywać w urok legiendy, snującej się poprzez wieki.

To Polska dzisiejsza, ta, która patrzeć w głąb umie, spogląda Śmierci w oczy i wstachuje się w szepty o „śmiertelnym dreszczu, który przeleciał świat i dąży w niewstrzymany kres tysiąca lat, o „gruzie i ementarzu pełnym trun, tam, gdzie Piastów orla perć, gdzie orli, szczytny gród“. A sprawił to ten, który królestwo ducha chciał wznieść ponad ziemską sławę, lecz prawda jego „we śmierci jeno wiecznie trwa“. — „Gdy żywi życiem poczną żyć, z żywymi ty nie możesz być“ prawi mu Śmierć.

Straszliwa męka Życia, trumniskiem przywołonego, Mocy, która w skoku podniebnym wrasta w kamień i staje się rycerzem śpiącym pół-czynu, męka Tego, co duchem chciał zbawiać, a staje się trumną, ciężącą na narodzi—

oto treść dramatów Bolesławowych. Rozwija się ona latami w daszy Wyspiańskiego, nasiąka nowymi elementami, lub elementy, poprzednio szkicowo, jakby rudymen-
tarnie rzucone, przeobraża w pełne, wykończone obrazy. Przyspieszone tętno chropawych częstokroć, silnych strof rapsoda o Bolesławie Śmiałym, jest jakimś pędem rozwiechrzonych kopyt końskich, w szalonym biegu unoszących króla, gnającego z rozpaczłą wieścią o spadłej koronie do groty pradziada na wirchy skalne. Nie opowiadanie—samo tempo nawałnicowe kłębiących się uczuć i myśli mówi o czemś niesłychanem, o obłądnej rozpaczyci i grozie upadłej Wielkości. Myśl o zabójstwie wyblyska tu bezpośrednio z wwiercającej się w mózg nagłej świadomości, że korona, wzięta u ołtarza, na głos klątw śpiewanych, w jakimś rozpędzie fatalnym padła pod stopy ducha, co kłął.

„A tam, pod stosem świec pogruchotanych,
których trzask, łomot, wciąż trwa i przeraża,
korona — na głos tych klątw śpiewanych...
korona! którą wziąłem u ołtarza!
w której zakułem pierścień ziem wyrwanych
memu dziadowi, ojcu! — do cmentarza
leżąca, w jakimś rozpędzie, fatalna,
pod stopy Ducha, co klnie — królo-zwalna!
Zabić! — Jak, kiedy? Gdziekolwiek! Sam skłóję!
Dworaków wezmę rycerznych i wpadnę, —
a którzy nas okrzykną: mnicho-zbóje,
pościnam lby niechętnych i owładnę;
niech wiedzą o mnie, że król, że panuję; —
tej chwili moich przybocznych zagadnę, —
Po co?! Rozkażę! Maszę! Krew! Krwi wołam!
Księżę! Nad moim mieczem świece połam!

Zaledwie zrodzony zamysł staje się koniecznością, a wraz z nim nieunikniony tragizm wyzucia, że władztwo to, które miało się stać wskaźnikiem dróg Sławy, mordem się splami i w pół drogi stanie! Purpurę zmienia Bolesław w czerwień kata, i to najcięższa wina biskupa, który wznosił rękę klnącą i oczy utkwił w dal po za króla, i nie widział oczu jego, gorejących pragnieniem odpuszczenia i błogosławieństwa. Moc łamie, zbrodnią jej być każe i boskie wyroki odmienia.

Przedziwnie jasno stają przed oczyma pewne elementy twórczości Wyspiańskiego, gdy się śledzi z wytyczeniem poprzez wszystkie jego utwory, jak myśl pewna, coraz głębiej zapuszcza korzenie, tu takim, owdzie innym wyblýśnie obrazem, dopokąd wreszcie nie znajdzie dla siebie pełnego ujścia. Wtedy na niej skoncentruje się wytyczona praca artysty i szuka dla niej ostatecznego wyrazu. Szkic zmienia się w obraz, bryła staje się posągami, a taka siła w szkicu, taka potęga w bryle, że swoiste ich piękno wciąż ku nim wracać się każe. Myśl, w jednym utworze poczęta, kiełkuje i treścią staje się w innym, a już z niej się rodzi i obok niej wyrasta tysiące innych, z których każda w nowy utwór przetworzyć się może. Nie zliczyć, ilu pomysłom artystycznym przedwczesna śmierć nie pozwoliła się rozwinąć, ile ich pozostało w zarodku i tkwi, jakby w pąkowiu, w znamiennych paru słowach. Czasem w rysie jednym, rzuconym to pewną, to wahającą się jak gdyby ręką, czasem w dźwięku ulotnym, a wnikliwym.

Postać biskupa unosi się ponad rapsodem o Bolesławie Śmiałym. To wizja jego klnącej ręki królo-zwalnej, jego oczu w dal atkwionych, jego ciała porąbanego, nad którym orły królewskie krzyż utworzyły, gna oszalałego króla w bezdeń. Dziwnie nicosobista, a jednak potężna, męczy daszę króla i daszę poety, aż stanie obu

im przed oczu, w zbroi archanielskiej, z twardemi słowy, co jak błyski stali odbijają gwałtowne słowa królewskie w jednej z końcowych scen pierwszego aktu w dramacie. Stanie i, nieustraszoną równy Bolesławowi, nie pochyli głowy i nie spuści oka przed wróżbą śmierci, padającą z ust Krasawicy. Tragiczny, a nieulekły, nie cofnie się i później przed spojrzeniem w oczy śmierci, wylęglęj z głębin jego własnego dacha.

Ten jasny wzrok zapuszcza w jakieś przepastne krainy sam Wyspiański i, magnetycznie pociągnięty, idzie ku nim, a przemożną swoją siłą pociąga opornie przy ziemi trwający tłum. I widzi tam poprzez przestrzeń wieków, jak Moc, co w bezwład kamieniała, zwolniona z klątwy, Mocą napowrót się staje, a z pod gرازów, rumowisk, próchna powstały Dach z nią się zespala.

Wizja modlitwy biskupa, spływającej na tego, którego przeklął niegdyś, jest końcówką w rapsodzie, staje się nakazem Prawdy ostatecznej, przez Śmierć ukazanej w Skalce. W dramacie, „Bolesławie Śmiałym“, miejsca dla niej niema. Tu istotą jest najwyższe napięcie walki, olbrzymie zwycięstwo wiekowe zamordowanego, ucieleśnienie tego tworzywa legend, co kraj cały obejmuje, wreszcie i na sen lat tysiąca składa w olbrzymią trumnę. I przygniotła trumna moc władzą Bolesława i spoczęła na Wawelu, a pod ciężarem jej uginają się srebrne anioły lat tysiąc.

Element głęboko refleksyjny, który cechuje „Skalkę“, niemożliwy jest w konstrukcji artystycznej „Bolesława Śmiałego“, jest ona wyływem odrębnych absolutnie motywów. W szeregu rozsnawających się obrazów, w przeobrażeniu w czyn widomy, występuje:—nie zgłębianie konieczności lub rozpamiętywanie, lecz sam moment walki. Trzy olbrzymie jej etapy—to trzy akty „Bolesława Śmiałego“.

Mierzą się dwaj nieugięci bojownicy swoich prawd, a prawda jednego jest zaprzeczeniem prawdy przeciwnika. Jedyna, wielka Prawda, nie jest żadną z nich, lecz o tem dowiedzą się później. „Prawda twoja Prawdzie kłam“ wyczyta kiedyś biskup z oblicza Śmierci.

W akcie drugim występują sądy. Sąd biskupa nad królem w scenie klątwy, i sąd króla — zabójstwo. A Sąd jest ponad nimi: „Bóg sądzi sam“ powie Śmierć. „Boży Sąd: uznać grzech i uznać błąd“. A archanielski wyrok głosi nad Bolesławem:

„Ty będziesz wieczność całą w tym zapędzie
zawieszon, z mieczem gotowym do cięcia,
ty, Śmiały, coś mordował boskie sędzie,
gdy cię kościelne druzgotały kłęcia;
Sądu i miecza wstrzymane orędzie,
aż cię powoła róg do niebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł ementarze,
Jemaż Sąd Boga przeżegnać cię każe“.

Jak tam, w rapsodzie, strofy, zda się, gnały jedna drugą w wichrowym pędzie uczuć i myśli Bolesława, tak tu, w akcie drugim dramatu, obrazy przewijają się szybko, barwnym szlakiem znacząc siedzibę królewską, gdzie kamień każdy nasiąkł krwią i łzami, echo odbija grozę słów klątewnych, a rozpustna piosenka brzmi swawolnym rytmem.

I znowu w akcie ostatnim przesuwają się będą, inne już w tonie i kolorycie, widziadlane, jak w ciężkim śnie zjawione, majaki gorączkowe, bez barwy krwi, a pierś tłoczące, rojne. Lęgną się one z szeptów, wieści, bająn, z poświstów wichrowych, z ech zamkowych i szumów

wiślanych, i ostatnią, beznadziejną walkę stacza z nimi król o nieugiętym czole, koronę do ostatka dzierzący na głowie.

Runał jak tytan, walący się w przepaść, a marzenia jego o Mocy i Sławie uniosły się w przestwory i spłynęły na poetę, damającego o Polsce współczesnej, i przepętniły serce jego tęsknotą czynów niespełnionych i nakaz mu dały tworzenia wielkiego teatru, któryby życiem był samem, a nie jego gościem.

Martwa powłoka Chochola szeleści, wrota Wawelu zatrzasnęły się nad przeszłością Polski, a tramna zawisła na barkach aniołów, i, lodowatym jej teźnieniem objęte, zakrzepły postacie w pozach malowniczych, w które je martwota zakłęła. Wypiański jest panem i władcą tych i tysiąca innych światów. Pod jego teźnieniem ozywają posągi, utajone pragnienia podnoszą się skądciś z samego dna duszy; otwiera na oścież wrota Wawelu, sen zmarłych zakłóca i prowadzi ich na mękę żywota i na czyn.

Spokoju w grobie nie zazna i biskup Stanisław, przed którym wieki kornie ugięły kolana. Żalniki postręcał, gontyny stare zbarzył, i cały świat pogański do nóg mu się wali. Walka jego z poganizmem święci ostateczny tryumf.

Zapoczątkowany w rapsodzie o Bolesławie Śmiałym obraz zetknięcia się świata pogańskiego z chrześcijańskim ulega przeobrażeniom artystycznym w dramacie tegoż imienia i w „Skalce“. Chrystasową mogiłę dźwignięto, opowiada poeta, tam właśnie, gdzie było dawniej siedlisko świętych węży i jaszczurów, gdzie wszystkie drzewa lipowe były wyobrażeniem tej Mocy, co je stworzyła. Stopę swą postawił na tych życia tworach on, Biskup, i oto z każdego kamienia świątyni ukazuje się Bolesławowi

twarz sroga, jakoby Wid-truchło, i krew ma w żyłach zaskrzepia.

Z krasy tej przyrodzonej, która wszystkimi tętnami swej krwi młodej i gorącej życia pragnie i rozkoszy, do siły się garnie, rodzi się postać Krasawicy w dramacie. Miłośnicą jest królowi, zwycięstwo ma da, jeśli się przy niej ostoi i Władym potrafi być do ostatka. Ona, z piorunami klętymi w zмовie, nienawiścią dyszy ku temu, co świat jej w grazy obraca, i nienawiścią pieni się słowa, którymi weń bryzga.

W „Skałce“ legła ma u stóp, bo jema dane władztwo świata, z niego idzie ta moc pioranna, której nie stało Bolesławowi. Staje się przez nią biskup panem żywiołów ziemi.

I pieśń ma podległa. Pieśń Rapsoda, co brzmiała niegdyś czarownym dźwiękiem kwiatnych gajów, pszczołnych rojów, zamilkła na skinienie biskapa. Lirenka, wolne ptaszcę, wrosła w głaz, a bez niej nie życie już dla Rapsoda. Wskrześnie, gdy On zwoli; pieśń jej po całej Polsce się rozlegnie, a inny to śpiew niż dawniej był: słać będzie męczeństwo człowieka zasieczonego, który po wiekach wstanie święty. I fale ludu za nim podążą, i głosy swe pieniem wznosić z nim będą.

Moc jego, wyższa nad moce królewskie, wyzwala lud z wszelkich pęt władzy doczesnej, Nieba jedynie postawienie nakazuje. Świat cały pochyla głowę przed jego świętością, a on w duszę swoją patrzy i jej pyta, czy prawda jego Prawdą była, czyli nie zmylił drogi. Na to powołał go raz jeszcze poeta, by, niebaczny ludzkich sądów, tam sięgnął, gdzie Bóg wyroki swe pisze. I modli się do Tego Jedynego, który jest ponad nim, modlitwą od wieków z głębi dusz ludzkich idącą, by Sprawiedliwość widocznie przed ludźmi stanęła, by poznać mogli prawdziwe nakazy boże i z grzechów i błędów obmyć się

stali. Odwieczna adreka: dokąd pójść, co począć, by w obliczu Boga błędem się nie pokalać, staje się i jego adreka.

Zrodzony w wieku wybijałego indywidualizmu, a człowieka, który wydostał się z pod tyrańji społecznej i sam musi szukać dróg przed sobą, pierwiastek etyczny Eschylosa, lęk grzechu, znajduje silny wyraz w tragediach Wyspiańskiego. Bóg - samienie panuje u niego wszechwładnie nad duszą ludzką, i kiedyś ocknąć się ona musi, by stanąć przed tym najwyższym sędzią. Biskup Stanisław się modli:

„Daj sprawiedliwość i wskaż ją przytomną,
niech oczy nasze widok jej nasyci;
byśmy Twą wiarę poznawszy niezlomną,
z grzechów i błędów stali się obmyci.
Byśmy ujrzeli, jak dola człowieka
wieczystem Twojem zakreślona kołem:
że los, przed którym daremno ucieka
człowiek, znaczony ma piętnem nad czołem.
Spraw, niech poruszą się ziemie i skiby,
i grzech, więziony ziemi tajemnicą,
zwolniony wolą Twą z więzień sadyby,
z śmiertelnej chusty dziś odsłoni lice.
Jaki grzech żyje i jakie w kim błędy,
niech te przed każdym dziś żywe powstaną;
niech idą za nim i ścigają wszędy,
aż sprawiedliwość będzie im oddaną“.

Następnie zwraca się do ludu ze słowami:

„Jaką winę w duszy masz,
niech przed tobą stanie w twarz;
siebie jeno sędzią masz.

Choćby zbrodnię pokrył grób,
przywarł sklep żelaznych bram,
własny lęk jej zada kłam.

Sam na siebie wydasz sąd;
taka miara, jaki błąd,
kędyś ukrył, przyjdzie stąd.

A chór śpiewa za nimi:

Choćby zbrodnię pokrył grób,

i wyczawa, że

„Czysty jeno kwiat wziąć może,
Czysty przyjmie Sądy Boże.
Jemu ino moc tę dasz,
by Śmierci pojrzał w twarz.

Ten, który już raz śmierci patrzył w oczy, nie ulęknie się jej i teraz, gdy, jako błąd jego żywy, powstanie dziś przed nim i zburzy całą prawdę jego żywota. Przyjął męczeństwo ciała i świętym stał się dla ludu, przyjmie męczeństwo duszy, która widzi kłamną swą wiarę, i spręgnie sam to, „co niegdyś rozwiązał“ — „co roztargał ogień żądz“ jego i Bolesława. Kędyś w przestrzeni wieków powstanie wtedy Polska jednolita, cała, Polska ducha, ale i życia i mocy. W jakimś olbrzymim zespoleniu sił wznosić ją będą oni wszyscy: Bolesław, ręką biskupa przeżegnany, oczyszczony z grzechu, mieniący czerwień kata na purpurę królewską, Konrad, wyzwolony z żelaznej mocy zatrzaśniętych wrót, Achilles, co żywot nie na jednym zakończy bycie i nowe narody wzbudzi do siły i czynu...

Przyjdą i znów zginą, przeżywszy odwieczną tragedję ludzką, lecz cząstki ich ducha zespolą się w jedno ognisko, a wtedy stary Akropol - Wawel rozebrzmi pieśnią, która się poniesie na całą ziemię polską. A będzie to pieśń tryumfu, nie pieśń męczeństwa, hejnał radosny, o jasnym dnia poranka śpiewany. Noc, spłoszona blaskiem okrutnym, który jej oczy oślepi, z orszakiem swoim pod ziemię się zapadnie, a na święto Zmartwychwstania zjawi się ludowi nie Chrystus w cierniowej koronie, lecz Apollo w błyskach pioranowych.

I tęsknił Poeta do tej chwili wymarzonej, a z tęsknot jego i bólów serdecznych rodziły się, gdziekolwiek w czasie i przestrzeni umieszczone, nawskroś Jego ducha dramaty.





Dr. ADOLF CHYBIŃSKI.

FRANCISZEK LISZT.

(Dokończenie).

Instynkt religijny o zabarwieniu katolickim, instynkt ten, który nie ucierpiał nie na tem, że Liszt nawet jako „canonicus honoris causa“ należał do rzeczywistych członków loży wolnomularskiej, — otóż to religijne uczucie, podsycone przez duchowy związek z księżną Karoliną Wittgenstein*), przybierało w jego wyobraźni pozytywne, niemal plastyczne formy. Dowodem tego są jego dzieła religijne, (o których poniżej), a przedewszystkiem symfonia „Dante“, podobna zupełnie w założeniu do swej znakomitszej siostry i złożona z dwóch części „Inferno“ i „Purgatorio“ i finału chóralnego z tekstem „Magnificat“. Ale

*) Por. piękną książkę p. Cosimy Wagner p. t. „Franz Liszt. Ein Gedenkblatt von seiner Tochter“, Monachjum 1911, F. Bruchmann.

Liszt nie wyszedł w swej inspiracji z pojęć teologicznych, lecz z „Divina commedia“ Dantego. Tylko tak fantastyczny opis mógł podsyć jego wrażliwą, plastyczną fantazję, której dowody złożył w „Bitwie Hunów“ i tyła drobnych utworach, będących jakby szkicami z natury. Obok przejmających do głębi ustępów, które są jakby jękiem odwiecznie pokatujących dusz, skazanych na nieustające katusze moralne, obok tych potężnie działających, jak spojrzeń w krater wulkanu, fragmentów, illustrujących przychajone ślepia zła *), obok gienjalnej sceny spotkania dantejskich kochanków (Franceski i Paola), unoszących ze sobą i w przepaści wiecznej zgaby wibrujące jeszcze miłosną ekstazą zmysły i tęsknotę za nią—istnieją fragmenty, graniczące niestety z teatralnym stylem, będące pustym patosem i prawie bezwartościowe. I tu skróty wyjdą dla dzieła na korzyść. Wiele momentów w instrumentacji wzbudza nawet wyrozumiały uśmiech z powodu przeładowania perkusyjnych instrumentów i szerokich kleksów dźwiękowych, wyrzucanych przez rozjuszone pazony. Jest to jedna, co prawda rzadko zachodząca i w innych dziełach, wada Liszta, że zamiast wydobyć siłę wyrazu przy pomocy konsekwentnego ustawiania proporcji, stopniowania i—że się tak wyrażę—akustycznego ustosankowania, sprawiającego, że w niektórych razach „piano“ = „forte“, posługuje się Liszt jaskrawym szczegółem, robiącym nieraz efekt, ale nie na długo. Od tego wolna jest faastowska symfonia. Bardziej przekonującym jest w dantejskiej symf. demonizm.

Styl instrumentalny Liszta jest w przeciwstawieniu do właściwego stylu symfonicznego (np. u Wagnera) prze-

*) Koncepcję i styl tych fragmentów, będących obrazem satanicznej potęgi, możnaby porównać z dziełami Saszy Schneidra — nawet Goyi.

ważnie harmoniczno-akordowy, ustępy zaś polifoniczne są — o ile niema ścisłych form kontrapunktycznych — nimi pozornie. Jest to dekoracyjno-freskowe prowadzenie głosów, w figuracjach często bogate i pomysłowe; w średnich głosach nieraz spotykamy się ze szczegółami, które są godne nie tylko Chopina i Wagnera. Ale na ogół polifonii symfonicznej niewiele; tam, gdzie ją spotykamy, mamy przed sobą zazwyczaj t. zw. głosy dopełniające, służące do zaokrąglenia brzmienia harmoniczno-orkiestrowego. Mimo to widzimy w obydwu symfoniach i w sonacie fortepianowej łagata niemniej wartościowe, jak w utworach organowych. Jest to kontrapunkt nie dla kontrapunkta, lecz dla charakterystyki. Liszt wiedział dobrze, iż organy — to jedyny instrument, wymagający polifonii i polifonicznej struktury — ale nie wierzył w jego zastosowanie w „muzyce przyszłości“. To była z pewnością jego omyłka. A dowodem tego nie tylko mistrzowskie dzieła M. Regeera, ale i R. Straussa, następcy i spadkobiercy ideałów Liszta. Strauss połączył, jak wiadomo, lisztowski pomysł, t. j. poemat symfoniczny z polifonicznym stylem Wagnera i zabezpieczył dłuższe życie ideałowi Liszta, dając mu silniejszą podstawę techniczną. Czy na długo?

Zwrócić jeszcze musimy uwagę na jedną właściwość stylu Liszta, mianowicie na ciągłe używanie t. zw. *progresji*, czyli sekwencji (powtarzanie tego samego motywu lub jego części w kierunku wyższych lub niższych tonów). Środek ten w klasycznych utworach ma znaczenie formotwórcze i jest ściśle niemal określone, jako zadanie łącznika między zwartymi kompleksami myśli muzycznych. W nowszej muzyce (zwłaszcza neoromantycznej) ma znaczenie środka ekspresji. Jeśli jest stosowany w miarę, umiejętnie i z harmonicznością — w danym razie i instrumentacyjnym — urozmaiceniem, wtedy jego oddziaływanie jest potężne. Najbardziej klasycznym tego pomnikiem jest

„Tristan i Izolda“ Wagnera. Liszt nadużywał tego środka w swych wielkich utworach, tak, że można je często nazwać tak, jak nazywano je w pseudoklasycznych sonatach, symfoniach, awerturach: „rosalje“ („Schusterflecken...“). Natomiast w pieśniach i drobnych utworach fortepianowych stosował je tak szczęśliwie, jak niewiele...

Był *wielkim pieśniarzem*, bo twórcą epoki nowej pieśni, epoki, którą o mało nie zapoczątkował Schumann, tworzący wraz z Robertem Franzem pomost od Schuberta do Wagnera i Liszta, jako pieśniarzy; a od tych ostatnich wywodzą się: w Niemczech Piotr Cornelius, Hugo Wolf i Ryszard Strauss, we Francji Chausson, Duparc, Bréville. Brahms łączy w sobie kierunek Schuberta i Schumanna, Reger idzie dalej i dołącza elementy zaczerpnięte z pieśni Wolfa i Straussa, jednocześnie je tak, jak nikt przedtem (z uwzględnieniem indywidualnych cech stylistycznych w formie i opracowaniu szczegółów). U nas powstaje praeteritisannis kierunek obojętny, dający się określić słowy: „pieśń — melodia akompaniowana ze słowami“. Przyczyną stagnacji, obecnie usuniętej, jest mały kult pieśni artystycznej z powodu braku takich tłumaczeń tekstów, któreby odpowiadały prawidłom stosunku tekstu i słowa wraz z jego walorem dźwiękowym i znaczeniem logicznym do muzycznej frazy, jej formy i psychologicznego charakteru *) A to ma już wielkie znaczenie u Schuberta; daleko zaś większe u Liszta i jego następców.

Jeśli Wagner zrehabilitował poezję w stosunku do muzyki w swych dramatach (i niektórych pieśniach), to Lisztowi przypadła ta sama rola w pieśni. Stąd nazwano jego lirykę: „*pieśnią dramatyczną*“, będącą jakby frag-

*) Por. mój artykuł o pieśni polskiej w obecnej dobie, „Sfinks“ 1909.

mentem z dramatu muzycznego, w którym—jak wiadomo—główne zadanie leży w poezji i dążącej z nią równolegle muzyce instrumentalnej, będącej wiernym tłumaczem sytuacji i jej przemian, tłumaczem dosłownym i współzrędnym, co do wartości, zazwyczaj zaś głębszym, bezpośrednim, wymowniejszym. Partji wokalne przypada zaś w udziale to, co starzy florentyńscy twórcy pierwszych oper nazywali: „recitar cantando“, a więc melodyjna deklamacja, pełna wyrazu, realizująca niejako słownymi symbolami to, co *wyraża* muzyka. Jest to stosunek ścisły — tem ścisły, im bardziej obiektywny; tem silniejszy, im więcej część muzyczna jest wierna i wartościowa. Już Schubert zna ten rodzaj pieśni. Wystarczy wskazać na „Króla Olch“ lub „Wędrowca“. Są to pieśni dramatyczne, podobnie jak „Młoda zakonnica“. Dlatego nie można uważać za szczęśliwy pogląd, iż Liszt jest twórcą takiej kategorii pieśni. Ale szczególnie ponętnym musiał być dla niego ten rodzaj, ponieważ dokładne odmalowanie, czy wyrażenie sytuacji wymagało zdolności do charakterystyki muzycznej, czyli do zastosowania muzyki programowej w pieśni. Następnie wiele pieśni Liszta nie ma wcale charakteru dramatycznego (choćby w znaczeniu przedstawienia niejako akcji psychologicznej). Panuje w nich taka różnorodność gatunkowa treści, iż jedynie można ten rodzaj, który Liszt stworzył, nazwać: *pieśnią programową, pieśnią charakterystyczną*. Polega ona na tem, że muzyk nie wprowadza nas, jak w pieśniach dawniejszych w gotową sytuację, lecz *przeprowadza* przed nami wraz z poetą sytuację, jej przebieg i wynik. W takiej pieśni wyraz muzyczny nie jest czemś absolutnem, samem dla siebie, lecz wartością niedwuznaczną, określoną. Forma poematu ma wpływ na formę muzyczną, ale nie forma zewnętrzna (np. budowa stroficzna), lecz dachowa treść. Pieśń, w której każda strofka ma tę samą treść muzyczną, przyczyni-

niała się niejednokrotnie do ignorowania zgody między treścią poetyczną a wyrazem. Tę formę musiał Liszt odrzucić i tak powstała *pieśń przekomponowana* („durchkomponiertes Lied“), w której temat wzgl. tematy nie są powtarzane stroficznie, ani też kładzione obok siebie, lecz są kunsztownie przeprowadzane. W wielu swych pomysłach miał Liszt poprzednika w wielkim pieśniarzu niemieckim *R. Franzu*, u którego podnosi ze szczególnym naciskiem pełne taktu zbliżenie poezji i muzyki. Ale Franz nie wyciągnął ostatnich konsekwencji i bądź co bądź mimo „podziwu godnego mistrzostwa formy“ i „bogactwa subtelnych szczegółów“, jak pisze Kretzschmar *), nie wprowadził „dramatycznego“ pierwiastka do pieśni, tego samego, który znajdziemy np. w madrygale XVI i XVII stulecia. Trzymał się formy, dyktowanej przez pieśń ludową, a to zdecydowało o strukturze jego pieśni. U Liszta jest forma pieśni tak samo niezależna od wyłącznie muzycznych schematów, jak we wszystkich jego dziełach. Panuje w nich rozmaitość (uzasadniona tekstem), jakiej nie spotka się u wielu jego następców (najwięcej u *R. Straussa*). Od najprostszej formy aż do „poematu symfonicznego“ w mińjatarzel! Ale nie bardziej obcego, jak rozwiany amorfizm! Przyznaje to także Kretzschmar, który, choćby jako historyk muzyki i gorący zwolennik Brahmsa, nie może być podejrzewany o propagandę Liszta za wszelką cenę. W swej pracy o pieśni po Schumannie **) pisze: „Wiele pieśni Liszta posiada w sobie pierwiastek rapsodyczny, improwizatorski; melodia snuje się częściami nie zaś w płynnej równomierności. Jest ona często nie śpiewem, ale deklamacją.. Błędem byłoby

*) L. c. str. 23.

**) L. c. str. 26 i nast.

jednakże mniemanie, jakoby te pieśni nie miały formy. W żadnym razie nie można o nich tak sądzić. Mimo przerywania, wstrzymywania, pauzowania, mimo ciągłej zmiany motywów i rytmu, mimo wszelkich symptomów nieregularności, które *zewnątrznie* objawiają się bardziej, niż u innych kompozytorów, nie są pieśni Liszta rozluźnionymi i bez związku. Przeciwnie—są bardziej jednolite niż wiele innych, jakkolwiek wiązania, jednoczące poszczególne części, niezawsze są zewnętrznie widoczne. Zawsze *odczuwa się* ognisko, w którym skupiają się słowa, zebrane w silny i całkowity obraz, przez co robią zawsze jako całość wrażenie, zajmujące całą uwagę i przejrzyscie jasne. Są to produkty swobody, ale swobody genialnej. Zresztą Liszt napisał wiele prostych pieśni ze zwartą i ludową melodią. Towarzyszenie fortepianowe jest zupełnie łatwe, śpiew zaś tylko częściowo; utrudnia go często chromatyka i wymogi w zakresie wykonania. „Pieśni te napisane są z największą energją fantazji, która w jednych powoduje gorączkowość, gdy w grze są namiętności, i coś wizjonerskiego i niesamowitego, gdy ciche myśli rządzą“.

W pieśniach Liszta, wymagających od wykonawcy wielkiej inteligencji i zrzeczenia się koncertowego popisu swego głosowego materiału, znajdziemy wiele szczegółów, które przeszły do Wagnera, jako harmonisty, specyficznie tristanowskiego *). Jaki wpływ wywarł Liszt, jako pieśniarz, na następne generacje, wspominaliśmy już poprzednio.

Trzecim wielkim domenem jego twórczości była *fortepianowa muzyka*. Miał w tym wypadku poprzednika

*) Zwrócił na to uwagę Edward Reuss w swej bardzo cennej pracy „Liszt's Lieder“ (Lipsk 1907, str. 70); szczegółowiej A. Göllerich w swym „Liszcie“.

w Chopinie, niejednokrotnie naśladowanym przez niego*). Twierdzić, że Chopin stworzył wszystko, na co może się zdobyć nowoczesna muzyka fortepianowa, jest konwencjonalnym kłamstwem, wypowiedzianym zazwyczaj przez biografów Chopina lub przez jubileuszowy zapal. Chopin dał podstawy—to nie ulega wątpliwości. Ale ileż idei mógł w swym nazbyt krótkim życiu tylko naszkicować, otwierając dla przyszłości szerokie horyzonty, liczne punkty zaczepienia dla dalszych usiłowań i prób! Co prawda niemałe talenty, rzadko wielkie, najczęściej zaś tylko genialne indywidualności mogły prowadzić dzieło Chopina na dalsze tory. Do nich należał Liszt, umiejący zawsze znaleźć się w historycznej sytuacji. Zaawazył to już H. v. Bülow, gdy, pisząc o naśladowcy Chopina, Lührs, dodaje: „Jakkolwiek stanowisko Chopina w świecie artystycznym jest wysokie i jedyne, to jednak nie znaczy bynajmniej, aby na tem polu nie miano zdziałać rzeczy jeszcze dalej idących, aby jego kierunka tak, co do formy jak i zastosowanej techniki nie miano w dalszym ciągu kształtować“. Z tego, że kilka bardzo szacownym talentem nie udało się osiągnąć wyżyn artystycznej doskonałości Chopina w zakresie jego genre'u, a cóż dopiero przewyższyć, nie wynika bynajmniej, aby genialnie-twórczemu talentowi miało to być uniemożliwieniem*). Już w samej technice wirtuozowsko-kompozytorskiej posunął się Liszt daleko naprzód, tak, że dzisiejsza muzyka fortepianowa opiera się nie na Chopinie, a przynajmniej w bardzo małym stopniu, lecz na Liszcie. (Dość wskazać na ostatnie dzieła Paderewskiego!). Zapełnić godzić się musimy na zdanie dra J. Wł. Reissa,

*) Por. np. „Berceuse's“ obydwu kompozytorów (obydwie w des-dur).

*) L. c., str. 116.

wypowiedziane w pierwszej syntetycznej polskiej pracy o Liszcie *): „Paralelli pomiędzy techniką Liszta a Chopina przeprowadzać nie można: są to tak odrębne duchem światy, że prócz czysto zewnętrznych przypadkowych analogji głębszego pokrewieństwa trudno się dopatrzeć“. „Fortepianowy styl Liszta zamknął w sobie cały poprzedni rozwój muzyki fortepianowej; prawda, że od czasów Liszta, technika niezwykle się pogłębiła i wysubtelniła dzięki udoskonaleniom mechaniki fortepianowej, ale niezaprzeczoną jest rzeczą, że pod względem formalnym wyniósł ją Liszt na najwyższe szczyty; traktując fortepian w sposób orkiestralny, zainaugurował Liszt nową epokę w rozwoju muzyki fortepianowej“. Mimo to Chopinowski „genre“ nie pozostał bez wpływu na Liszta. Świadczą o tem ballady, nokturny, polonezy, etiudy, walce, kołysanka. Chopin był tym, który wywarł wpływ uspakajający na Liszta i uwalniający go od naśladowania Paganiniego—wpływ wysoce uszlachetniający. Z pośród tych utworów jest kilkanaście, nie ustępujących co do wartości analogicznym kompozycjom naszego mistrza; inne są słabsze, niektóre zaś tak pełne reminiscencji, że możnaby je uznać za plagjat (np. kołysankę). Z tej pierwszej epoki pochodzi nadto wiele zbyt tanio pomyślanych utworów, obliczonych na brawurowy efekt i gust przeciętnego zjadacza chleba, salonowych aż do przykrego uczucia śmiesznej kokieterji, co było powodem słynnie złośliwego aforyzmu Fryderyka Nietzschego: „Schule der Gelassigkeit nach der Weinbern“. W istocie, erotycznego elementu wykazują sporo prawie wszystkie dzieła Liszta — ale ileż ich u Chopina! Przyznać musimy Lisztowi, że mimo to

*) Franciszek Liszt i jego czyn. „Przegląd muzyczny“ IV, nr. 5—6.

salonowy styl mazyeczny uszlachetnił (na wzór walców Chopina) i „podporządkował wirtuozowstwo prawdziwie twórczym myśлом“ (Kretzschmar). Ta mieszanina zewnętrzności z głębszym uczuciem, dźwięków żalonych i skarg, interjekeji, cząstek recytatywnych i szerokich melodji, może się niejednemu wydać na pierwszy rzut oka czemś pozbawionem stylu, ale właśnie jednolitość i głębia nastroju, przeglądająca przez te różnogatankowe objawy, działa przejmująco. „Jeśli Liszt niekiedy jest w swych fortepianowych utworach tak samo słodki i wygodnie próżny, jak inni ludzie z wyższego towarzystwa, to w każdym razie znajdzie się u niego zawsze ten ton, który przynajmniej pragnie wznieść się ponad tę sferę“. Prawdziwie gieńjalne i dalekie od tych wszystkich cech są jego cykle: „Impressions et poésies“, „Tre sonetti di Petrarca“, „Années de pelerinage“, Legiendy, „Harmonies poétiques et religieuses“, „Apparitions“, „Liebesträume“, „Consolations“, niektóre etiudy, sonata L—moll i obydwie koncerty z orkiestrą. Wrażenia z przyrody, uczucia religijnego mistycyzmu, hymny miłosne, epizody tragicznego smutku, nie zmniejszonego przez wykwiint języka i stylu mazyecznego—rozmaitość w formie odpowiada rozmaitości w treści, a wspólną jest im powaga, szczerłość i nastroj. Liszt, jako liryk o podwójnem azdolnieniu, jako ekspressjonista i impresjonista w jednej osobie, często brał tematy pozornie banalne. Ale czyż walc Chopina, ten osławiony „Minutenwalzer“ (des-dur) nie jest wobec najmniejszego preludjum Bacha (lub Chopina!) czemś niezwykle banalnem? Czy przez to twórczość Chopina traci, czy jego stanowisko w dziejach mazyki zmniejsza się przez to? Czyż do tego produktu rozweselonej (z pewnością nie przy lekturze Szekspira lub Dantego) mazy można przykładać miarę którejkolwiek z jego sonat? Liszt, ten książę, rozdający jałmużnę na prawo i lewo,

nietylko małeczkim, ale i—potężniejszym od siebie (wszak Wagner przyznawał się do reminiscencji z Liszta w swych dziełach), mógł, jako pobłażliwie patrzący na objawy „ludzkiego — nazbyt ludzkiego“, mógł sobie powiedzieć: „Mandus vult—Schundus“, trawestując „mandus vult decipi“ (Schund—po polsku: tandeta). Ale też i mógł z dumą artysty wyrzec pamiętne słowa: „*Mogę czekać*“ (na uznanie). Nie pomylił się. Dziś jego nazwisko jako pieśniarza i kompozytora jest wymieniane jednym tchem obok Chopina, Schumanna, co jednak nie uprawnia do stawiania go na tej samej wyżynie (czysto muzycznej). Zapoczątkował epokę neoimpressionsjizmu w muzyce fortepianowej i w jej małych formach. Debussy doprowadził je do ostatnich konsekwencji. Antytezą jest M. Reger, spadkobierca ideałów Schumanna i Brahmsa, wzbogaconych przez się nowymi środkami harmonicznymi.

Konsekwencję w zakresie przekształcenia muzycznych większych form wykazują jego dwa *koncerty fortepianowe* i *sonata*, dziś jeszcze potępiana przez niektórych krytyków, sonata, o której Wagner wyraził się: „ponad wszelkie słowa piękna, wielka, godna miłości, głęboka i szlachetna *). Tak koncerty, jak i sonata są jednoczęściowe, t. j. jednocześnie wszystkie części składowe w jedną, rozwijającą się bez przerw całość. Podział na ustępy, odpowiadające dawnej formie sonatowej, jest widoczny; struktura zdradza w najdrobniejszym szczególe żelazną logikę, rozmiary zaś całości są tak szczęśliwie dysponowane, jak w żadnym z innych dzieł mistrza. Dlatego wszystkie te kompozycje nie straciły po dzień dzisiej-

*) Wystarczy słyszeć ją w wykonaniu d'Alberta, Busoniego, Friedheima, Stavenhagena, Lalewicza, Schnabla i t. p. wielkich artystów, aby odczuć, jeśli nie zrozumieć, potęgę tego dzieła natchnienia, godności i kunsztu.

szy ze swych świeżych barw — i dlatego rzadko słyszymy „Solo koncertowe“ Liszta na 2 fortepiany), choć ma pięć-kne tematy (zwłaszcza II). Połączenie orkiestry z fortepianem jest w koncertach miarodajne; obydwaj czynniki są równouprawnione, mimo, że wirtuoz znajduje tu pole do popisu. Tylko na to ostatnie obliczona jest „Fantazja węgierska“ i „Danse macabre“ (na temat „Dies irae“. — Z *organowych* dzieł mistrza wymieniamy przedewszystkiem preludjum i fugę na temat „BACH“ i fantazję z fugą z tematem zaczerpniętym z gregorjańskiego chorału „Ad nos, ad salutarem, un dem“. Są to najznakomitsze dzieła organowe, jakie od czasu Bacha powstały i zajmują równe stanowisko z analogicznymi kompozycjami Mendelsohna i Cezara Francka, przewyższają je w kunszcie (niekiedy i w głębi myśli) fantazje, preludja, tokkaty i fugi M. Regera *). Czwartym wreszcie działem, w którym Liszt przeprowadził reformę jest *muzyka religijna* (msze i oratorjum). Mimo wszystkich pozorów i sprzeczności, mimo filozoficznej i życiowej brawury, mimo swego udziału w filantropijnych masonerjach, był szczerze wierzącym i głęboko religijnym, praktykującym katolikiem. Dowodzą tego liczne szczegóły z życia, które nie świadczą o tem, jakoby religijność Liszta wynikała z jego bezprzykładnej dyplomacji życiowej. Uczucie religijne było dla niego w wielu wypadkach ostoją życiową, podporą w słabych chwilach. Podsycała je lektura dzieł filozoficzno-religijnych (Saint-Simon, Lammenais, Wittgenstein), a przedewszystkiem wpływ księżny Karoliny Sayn-Wittgenstein *), z domu Iwa-

1*) Temu mistrzowi, który obok Straussa i Debussy'ego, jest największym dziś kompozytorem, poświęcimy osobną pracę.

*) Informuje nas w tym zakresie wspomniana książka p. Cosimy Wagner. — Ryszard Wagner wyrażał się żartobliwie o religijności Liszta, nazywając go: „Ave Maria-Bruder“.

nowskiej. Jako artysta, mający ustawicznie przyszłość sztuki przed oczyma, nie mógł Liszt nie spełnić reformatorskich idei, o których już pisze w swej młodości następujące słowa: Sztuka religijna „musi *bud* i Boga uznać za swe źródło życiowe, uszlachetniać, pocieszać i oczyszczać ludzi, a błogosławić i wielbić boskość. Aby to osiągnąć, koniecznym jest stworzenie *nowej muzyki*. Ta powinna być pełną uroczystego ducha, wzmacniającą, działającą, i połączyć w wielkich rozmiarach teatr i kościół, powinna być równocześnie dramatyczną i świętą; okazałą i prostą; uroczystą i poważną; silną w wyrazie, nieokiełzaną, burzliwą i pełną spokoju, jasną i uczuciową“. Znajdziemy to w jego mszach, z których najlepsze są „Msza uroczysta“ (ostrzychomska) i „M. koronacyjna“. Cała skala wyrazów, od mistycznej askezy do pompatycznego patosu, zawarta jest w tych dziełach, w których obok poważnego chorału gregorjańskiego znajdujemy nawet świeckie motywy, a jednak poczucie stylu zdradzają one w wyższym stopniu, niż wszystkie msze Haydna, Mozarta i ich naśladowców. Bardziej subiektywne, lecz równie swobodne w formie są psalmy (13, 18, 116, 129, 23, 137). Mimo to nie brak konwencjonalnych i dość pustych ustępów. Widzimy to nawet w jego pięknych oratorjach: „Legiendarz św. Elżbiety“ i „Chrystas“. Liszt wprowadza do oratorjów więcej, niż jego poprzednicy od czasów Händla dramatyczny pierwiastek, przyczem prawdopodobnie pod wpływem Wagnera posługuje się dramatycznym recytatywem i formą dialogów. Kościelny pierwiastek utrzymany jest w swej zupełnej czystości dzięki gregorjańskim motywom, użytym w sposób dramatyczny, tak samo, jak w „Parsifalu“ Wagnera, choć nie z tą przekonywującą argumentacją mazyčno-

*) L. c., str. 298 i nast.

dramatycznej techniki, co zresztą w jakimkolwiek oratoryjnym stylu nie jest najwyższym wymogiem. Jest rzeczą ważną zwrócić uwagę na ustępy symfoniczne, zastępujące wielokrotnie rolę „testo“ (t. j. opowiadającego świadka zdarzeń). Nie jest to zupełna nowość; wszak już Haydn czynił to samo. Jednak całość, jako forma jest tak indywidualnym pomysłem Liszta, że zupełnie słasznem było zdanie Bülowa, wypowiedziane pod adresem nie wierzących w możliwość rozwoju form: „Jedynie produktywnemu gieńjuszowi jest danem udowodnić w istocie słowa: „Eppur si muove“. Mimo to nie przyczynił się Liszt do nadania oratorjum podstaw, pozwalających obalić pogląd na tę formę, będącą „nieszczęśliwym małżeństwem dwóch różnych czynników, kompromisem między tem, co jest (artystycznie) szczerem i nieszczerem, co maści, ukrywa i przekrzywia właściwą artystyczną istotę, której najpełniejszym kwiatem jest *dramat*“ (Bülow tamże). Przyznać jednak musimy, że i pod tym względem Liszt nie pozostał bez wpływu. Bez Liszta (i Bacha) nie mielibyśmy tak wielkiego dzieła, jakim są „Les Beatitudes“, Cezara Francka, najlepsze oratorjum od czasów lisztowskiego „Chrystasa“. Dla uzupełnienia tego ustępu dodać należy, że trzeciem oratorjum, którego temat pochodził od ks. Wittgenstein, był „Święty Stanisław“; pozostało torsem nie wydanem dotąd w całości. Nadto stworzył Liszt szereg dzieł *chóralnych* z towarzyszeniem instrumentów i „a capella“; z tych zaledwie kilka utrzymało się po dzień dzisiejszy (n.p. „Ave Maria“). Inne są utworami okolicznościowymi.

Jeden rys charakterystyczny uderza nas w twórczości Liszta. Mianowicie przy całym swym rewolucyjnym, reformatorskim temperamentem umiał zachować bezgraniczny *pietyzm dla przeszłości muzycznej*. Nikt w tym stopniu jak Liszt nie popularyzował w słowie, piśmie i czynie

dzieł *Bacha, Beethovena, Schuberta*. Dla swych współczesnych — dla *Chopina, Berlioza, Wagnera, Schumannna, Franza*, poświęcał swą literacką i dyrygenką i wirtuozowską działalność, mało miejsca dla siebie pozostawiając, często spotykając się z zawodem, trudnościami, ciemnotą i ograniczeniem, złośliwością i zazdrością. Gdzie zauważył zdolności w młodych talentach, poświęcał swój czas, swój spokój i majątek, aby pomóc świeżej i zdrowo pulsującej myśli. Wależyć w imię dobrej i szlachetnej idei, ludzkiej, czy artystycznej—to było dlań obowiązkiem, od którego nie usawał się nigdy. A zawsze towarzyszyła jego czynom miła i pociągająca forma zewnętrzna.

„W ludzkim znaczeniu został Liszt królem nowoczesnych artystów” — pisze Feliks Weingartner. Dodajmy — „ostatnim z królów“.

Monachjum, we wrześniu 1911 r.





STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

MOCNY CZŁOWIEK. *)

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy*).

II.

Stał przed jakąś tajemną bramą, którą kazano mu otworzyć, by mógł się wreszcie tam dostać, dokąd go jego tęsknota gnała.

Ale brama była zawarta, gdzieś w mroczny cień nieba sięgać się zdawała.

Szukał klamki, ale jej nie było. Widział tylko cieniutką szparkę między dwoma ogromnymi skrzydłami, a przez nią przesunięty olbrzymi rygiel, który bramę od wnętrza zamykał.

Stał i nie wiedział, co począć, ale myślał, że będzie musiał wracać z powrotem tam, skąd przyszedł: w krainę bolesnych snów, rozpacznych tęsknot, rozszalałych szamotań i krwawych zmagani się z czemś, czego nie

*) *Prawa przedruku oraz tłumaczenia na wszystkie języki zastrzeżone.*

znał, a co kipiącym warem w jego żyłach się gotowało, głowę jego strasznym bólem ocierniało, tak go przerażyła, że przywarł do bramy i już od niej nie odstąpić postanowił.

Niezem Chrystusowa droga na Golgotę, niezem wieczność niewypowiedzianych męczarni drogi skazańca, wobec tej, którą on przeżył, a teraz miałby się wracać?!

— Otwórz się, otwórz! — błagał rozpacznie — niech się za mną na wieki zawrą twoje skrzydła, niech raz na zawsze zamknie się księga mego żywota, niech piorun świadomości na twoim progu mnie spopieli, pokaż mi twoje tajemnice na jeden błysk, chociażby już na zawsze miał zgasić światło mych oczu...

Nie wiedział, jak długo tak błagał, modlił się i zaklinał, ale snąc pokora, z jaką się kajał, niebiosa przebiła, żar jego błagań i słabów skruszył nieugięte Moece: zaskrzypiały zardzewiałe wrzeczadze, ciężkie żelazne skrzydła się rozwarły.

Przed sobą ujrzał ogromną równinę, która gubiła się w nieskończonej dali w czarnych cieniach nocy, a cała jakby była wysypana popiołem, pokryta czarnym żużlem: popiołem pokuty hardych i grzesznych dusz ludzkich, żużlem wygasłych pragnień, daremnych wysiłków, zrozpaczonych borykań się z nieznanemi mocami.

Wzdłuż długiego kanału, którego woda lśniła martwym, kosztownym połyskiem, jakby zastygła, starannie oszlifowana i opolerowana ciecz stopionego kruszcza, stały po obu stronach rzędy czarnych cyprysów, gdyby olbrzymie magiczne świece, a na ich wierzechołkach paliły się błędne światełka ogniem, który nie grzał, ani też świecić się nie zdawał — wyglądały one na czarnem niebie, jak złote ćwieki weń powbijane.

Z brzegów kanału, tuż nad wodą, zwieszały się w dół ogromne grona z bezlistnych prętów krzewów

Asphodelusa, a w dali ciemna pineta z odwiecznymi pińjami, których olbrzymie korony, rozpostarte w kształt czarnych, krągłych baldachimów nad zmarszałymi pniami, rysowały się na niebie, gdyby jakiś olbrzymi archipelag niezliczonych, czarnych wysepek.

I w tej ciężkiej, martwej ciszy ozwały się głosy, których wśród jarmarecznego rozgwaru, kramarskiego rozgiełku życia nigdy nie przeczuwał. Milezenie wokół niego stało się głośnem, ale nie słyszał ni głosu, ni dźwięku; próżnia poza nim i przed nim jęła się wypełniać nieprzeliczoną mocą dziwnych, rozumem nie objętych kształtów, ale spostrzegł się, że nie widzi ich nigdzie wokół, tylko w sobie, a im więcej wyteżał się, by zrozumieć, co jest w nim, a co poza nim, tem więcej zlewały się z sobą granice zjawy i rzeczywistości, zewnątrz i wewnątrz tworzyło jedną nieprzerwaną ciągłość, przeszłość i przyszłość stopiły się w jednym kotłującym się wirze: tem, co jego „teraz“ stanowiło.

Przeraził się, gdy milezenie coraz głośniej przemawiać, próżnia coraz gęściej zaludniać się jęła, a miliard wieków w jednej chwili stężały; kamieniał z przestachu, gdy przez wrota jego duszy olbrzymią falą cały świat zjawy się przewalił i w nim się rozlał oceanem nigdy nie widzianych kształtów, nie słyszanych nigdzie dźwięków, rozpalil się odgłosem przeżyć, których nigdy nie przeżywał, i takich, które w miliard lat odległej przyszłości, gdyby słupy graniczne, sterczały, a które on już teraz w błyskawicznym pędzie mijał.

Czas z wszystkimi nawrotami, powrotami, z tysiąc-nogłową hydrą przeszłości i wszystkie wieki oplatającym ogonem przyszłości, stopił się w nim w jedno, całe dno duszy rozświecające oko, w którym ujrział rozwiązane tajnie przyszłych czasów i wszelkie losy tych, które dopiero nadejść mają.

I nagle ogarnęło go uczucie niesłychanego tryumfu. Z duszy rwały się płomienne krzyki uniesienia, ognisty wicher radosnego szału porwał go i okręcił wokół, by tjrzał, jak wszystko dokoła niego szalało w tych samych płomieniach wyzwolenia: Gdyby olbrzymie pochodnie zapłonęły odwieczne pińje po niebie, rozżagwiły się żaźle na bezkresnej równinie, rozпалиł się popiół i wyrzucił z pod siebie snopy iskier, roztopiła się na nowo zastygła ciecz kruszcowa kanału i przelewała się przez brzegi kipiącym warem—milezenie wokół rozszalało się blazgającymi, ogniem niebo rozrywającymi krzykami, i wśród tej szalejącej burzy ognia, wyciągnął w błędnem upojeniu radości swe ramiona, bo wreszcie zrozumiał, że umarł.

Umarł! Umarł!

Szerzej, szerzej jeszcze rozwarł ramiona, bo zapragnął nimi ogarnąć cały ocean swych widzeń — rósł, potężniał w nieskończoność, bo Boga dosięgał, z oczu jego, wytężonych w swoją, wszechbyt i wszechboskość ogarniającą wizję, biły pioruny, gdyby lepka ciecz ognia, głową sięgał ponad obłoki, a pod stopami cała ziemia, gdyby krachy, chwiejacy się podnózek, a w rękach trzymał tablice praw, przed którymi jedno i drugie i trzecie morze zajękło, a ziemia w posadach swych się trzęsła, jakby nią konwalsje szarpały.

Chwilę jeszcze, a Bogiem się stanie przez śmierć — przez śmierć zapanuje Bogiem nad życiem całym, nowego Szatana zapłodni w sobie przez śmierć, na nowe tory rzuci gwiazdy, by się wzajem porozbijały, w pył skruszy tę marną ziemię, słońce zagasi — by mocą swoją nowy, doskonały twór i nowe doskonalsze światy do życia wskrzesić.

A wszystko to się stanie przez śmierć.

Długi, ciężki kaszel rozbudził Górskiego, ale już go nie męczył, dusza jego cała jeszcze była spowita płomien-
ną wizją śmierci, cała jeszcze apojona boskim tryumfem
panowania nad życiem, jakie tylko śmierć daje.

Pasek krwi ściekał mu z kącików ust, odruchem
otał usta, spojrzął bezwiednie na chusteczkę i uśmiech-
nął się.

Jakie to życie głupie, pomyślał, takim błazeństwem,
jak chorobą, chce człowieka odstraszyć od tak świętej,
rozkosznej, moey i panowanie dającej śmierci.

Ha, ha, ha... *Tod, wo ist dein Stachel* — różą mis-
tyczną jesteś, arką przymierza pomiędzy Bogiem we mnie,
a Bogiem pozamną. Lękał się mnie i opętał mnie kaj-
danami życia, a ja je teraz rozerwę i przekroczę próg,
poza który mnie wygnał, i potężniejszy od niego, z tronu
go zwalę, by doskonalszy twór i doskonalsze światy
do życia powołać.

Dźwignął się nagle z łóżka, uczuł świadomość nie-
znanych, nigdy nie przezuwanych sił w sobie, stanął
wyprężony na środku pokoju i obejrzał się dokoła.

Oczy jego padły na biurko i na stosy papierów.

Uśmiechnął się z pogardą.

O, głupie, błazeńskie życie — tem więc musiał je so-
bie wypełniać — on, w którego moey leżało, by za chwilę
stać się Bogiem; obracał w ciemnym lochu żarna, na
dnie galery dzień i noc wiosłami pracował, smagany żę-
laznym prętem, biczowany bezustannie kańczugiem, pod
stromą górę toczył ciężki kamień, który wciąż na nowo
na niego się zwał... O nie! nie!

Całego wypełniło jakieś wielkie, majestatyczne po-
stanowienie, a po przez czarne odmęty jego myśli, prze-
błyskiwał wielki tryumf śmierci.

Chwilami opadał, a wtedy majaczył mu się Bie-
lecki.

Zachichotało coś w nim — Bielecki czyha już dawno na jego śmierć — Bielecki zbierze plon jego zasiewów... a gdyby zboże na pniu spalić? gdyby ta wszystko zao-
rać, zniszczyć — pasty ugor pozostawić?

Zląkł się nagle. Wyraźnie czuł, że ktoś zdziera z niego płaszcz jego królewskiego majestatu, że ktoś wy-
trąca mu z rąk berło panowania nad życiem i śmiercią
i znowu się wzmógł.

Podszedł do biurka, ułożył papiery, zeszyty, notatni-
ki, wyciągnął kartę białego papieru i szerokim giestem
możnowładcy napisał:

„Plewy mego mózgu przeznaczam dla Henryka Bie-
leckiego.

Niechaj ziarna, które w nich znajdzie, go nie udławiać“

Jerzy Górski.

Kartkę przypiął szpilką do teki, w której manuskryp-
ta uporządkował i odetchnął swobodnie.

Teraz już się ze wszystkim załatwiłem, pomyślał —
teraz już tylko pozostaje, by się godnie i iście po kró-
lewsku wybrać w tę niedaleką podróż.

Umył się, przybrał odświętnie, wyciągnął z szafki
fiolę ze strychniną, popatrzył na nią miłośnie, zawiął
starannie w papier, z szufladki od biurka wyjął pieniądze,
przeliczył je i schował do kieszeni — raz po raz drażniła
go ta myśl, że nie ma dokładnej świadomości jawy:
wszystko, co robił, wydawało mu się, jakby sennem ma-
jaczaniem.

Ktoś pukał do drzwi.

Miał wrażenie, że już dawno to pukanie słyszał,
ale teraz dopiero sobie uświadomił, że istotnie ktoś
pukał.

Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

— A! Imci pan Bielecki — witam, witam — ścisnął z wylaną serdecznością rękę Bieleckiego — istotnie niezwykły zaszczyt, ale na razie przyjąć nie mogę. Niezmiernie mi przykro, że taki zawód ci zrobił, ale jeszcze nie zdążyłem wyjechać—jutro, jutro rano, około 6-ej będziesz Pan mógł wejść bez pukania, drzwi będą na oścież otwarte—cały ten pokój będzie do rozporządzenia pańskiego—cały—całateńki wraz z dobytkiem, który w nim zastaniesz. A teraz, wybaczy pan, ale muszę pozostać sam... Jakto, jakto? Pan nie zaciera rąk z radości — twarz Pana nie oblała się szkarłatem szczęścia? Nie pada mi Pan do nóg, że sny najgorętsze się ziściły? Ale właściwie pocóż? Nie mam prawa wymagać od niego wdzięczności — pozostawiam tylko plewy, plewy — zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz.

Słyszał teraz dokładnie, jak Bielecki schodził na dół po wschodach, i oprzytomniał.

Stał się zimny, nieugięty, to, co w pół we śnie, w pół na jawie postanowił, teraz się stało jasnym, świadomem postanowieniem, pełnem jakiegoś spokojnego wyczekiwania.

Pojął wreszcie i rozumiał, czym jest śmierć — koryzył się w dachu przed tym początkiem istotnego życia i uczył głęboką pogardę przed tym błazeńskim, idjotycznym, obłąkanem preladjum, jakim było to życie, które przeżył. Wydało mu się sennym majakiem, błąkaniem się bezcelowem po tysiącznych ścieżkach w kółko, wciąż w kółko — złośliwy i pełen hamora szatan wodzi człeka po wertepach, moczarach, kałużach i umyślnie myli trop jedynej, prostej drogi do życia w mocy, sile i boskości przez śmierć...

Tak — tak — tak!

Już nie rozumował — bo był pełen takiej ogrom-

nej wiary, że nie już tego postanowienia zachwiać nie mogło.

Tego tylko pojąć nie mógł, że tak długo pozwolił się przez takiego głupiego prostaczego djabełka za nos wodzić, na ślepo mu ulegać, dać się po podszwach łechtać.

Zdjął go wstręt i obrzydzenie.

Cezął nagle potrzebę ruchu.

W pokoju szarżało.

Wziął kapelusz, zwrócił się ku drzwiom i nagle przystanął.

Czyżby nie lepiej od razu? pomyślał — pocóż się już męczyć?

Ale chęć, by się przejść, przemogła jego rozważania, mimo tego nie ruszał się z miejsca.

Więc na co jeszcze czekał? Z trudem zbierał myśli, ale ustawicznie mu się rozsypywały, tańczyły jak iskierki parnego słońca na rozbijającej fali jeziora, a w jedno pasmo zlać się nie chciały.

Zdawało mu się, że słyszy odgłos jakiejś muzyki — oderwane piskliwe dźwięki — jakieś błyskawiczne pasaż — szybkie, jak poświst wicheru kadencje, ognistą rakieta strzelające w górę gamy chromatyczne w wyjących oktawach, a to wszystko na tle jednego, olbrzymiego tonu, który wył, pieniał się, cichł, gasł, by znowu w zmożonej potędze cały przestwór wypełniać.

Rozumiał tę muzykę, rozumiał, że ten jeden ton wszystkie inne zagłuszać masiał, i był szczęśliwy mocą tej zasadniczej dominanty.

Posłyszał głos śmierci, i uśmiechnął się.

Wołasz mnie, wołasz — masisz jeszcze trochę poczekać. Kocham cię, tęsknię bezbrzeżnie za tobą, gorąco pragnę twe wrota przekroczyć, ale panować nad sobą nawet tobie nie pozwolę.

Masisz zaczekać, aż sam do ciebie przyjść zechcę— ja sam — poczekaj, aż cię zawołam: poznałem twoje tajemnice i teraz ja jestem panem, panem nad życia ohydą i pięknością twoją... A teraz się przejdę, jeszcze mam parę godzin czasu...

Wziął kapelusz, laskę, zapalił papierosa i wyszedł.

Na wschodach zrobiło mu się słabo, nogi zaczęły drżeć i gdyby się szybko nie był schwytał poręczy, byłby runął w dół.

Zaklął wściekły i zawstydzil się. Nad życiem i śmiercią chce panować a nędzny cherlak nóg swoich opanować nie może — a wstyd! a hańba!

W głowie czuł ogień, jakąś ognistą mgławicę... teraz się gwiazdy rodzić poczną, pomyślał — a w ustach jakiś słodkawy smak — a! to krew — odkaszlnął, wypluł skrzep krwi i teraz już raźnie szedł na dół.

Dawno już nie był na ulicy.

W pierwszej chwili pociemniało mu w oczach. Ładnie sunęli, jak cienie bezwymiarowe, czarne nietoperze przelatywały bezgłośnie tuż obok niego — ehe! to welo-cypedy—czarne, chyże chmurki toczyły się zwolna po bruku — to pewno dorożki — a całe powietrze wyło, huczało, dudniało, tak! jak najwyraźniej powietrze samo czyniło ten nieznośny łoskot, gwar, hak i szum — bo przecież te cienie, te nietoperze i te chmurki całkiem bezgłośnie fruwały naokoło niego.

Wlepił oczy w cały szereg białych, świetlanych globów, co wyciągniętym rzędem wisiały w tym nieznośnie rozbrykanem powietrzu. Zastanawiał się, jakim cudem te białe księżycy, a tyle ich było, mogły tak swobodnie wisieć w przestworzu, a nagle drgnął, oprzytomniał.

Toć to lampy elektryczne, pomyślał uradowany — już, już widocznie chciała go gorączka opanować, ale on, pan życia i śmierci, nie pozwoli, by cośkolwiek miało mieć

władzę nad nim. A będzie czuwał, wszystkimi siłami czuwał, by jasności jego mózgu nie nie mąciło, by majaku rzeczywistości nie opanował majak gorączki. Wprawdzie to na jedno wyjdzie, bo to majak i tamto również, ale tamten majak stały, więc wygodniej go kontrolować.

I uczał teraz taką moc, że zdawało mu się, iż gdyby zechciał, mógłby zapanować nad obiegiem krwi — i istotnie panował, bo serce, które przed chwilą swoim naporem o mało co żył mu nie porozrywało, teraz biło spokojnie i leniwie — teraz mógłby nawet, gdyby zechciał, wolą swoją wpłynąć na wymianę materji, mógłby ją przyspieszyć, albo też całkiem zatrzymać tak, że można by go żywcem pogrzebać, a onby po paru miesiącach z grobu powstał.

To poczucie siły radowało go niezmiernie, bo czuł, że dojrzał do śmierci.

On jeden!

Bo nawet Chrystus krwią się pocił i błagał swego ojca, by ten kielich od niego odwrócił, a na krzyżu jęczał, czemu go opuścił... A cóż dopiero to dwunożne, niechlajne robactwo, które wokół pełzało, roło się i jego spokój zakłócało!

Dojrzeć do śmierci! Ile mocy na to potrzeba, by te straszne kajdany życia, którymi człowieka Bóg czy też Szatan spętał, rozerwać i życie kopnąć, jak coś nieczystego, niechlajnego, co daszę plagawi...

Poprzez ciżbę ludzi, tłoczącą się na chodnikach i ulicach kroczył dumnym, królewskim krokiem, wyniosłym swoim majestatem sterczał nad nią, jak wysmakły chajer nad gęstwiną zagajnika; nadpływająca i odpływająca fala tej czerni ludzkiej zdawała się przed nim rozstępować, a on szedł i szedł w natchnionem poczuciu swej mocy.

Tylko to nieznośne światło go raziło i ten piekielny rozgwar męcił mu myśli, a przytem miał to przykre wrażenie, że ktoś za nim idzie. Oczywiście, pomyślał, nie ktoś, ale setki, tysiące ludzi...

Skręcił w boczną ulicę, zawrócił potem w jakiś ciemny prawie zaułek, ale bezustannie słyszał czyjeś kroki poza sobą.

Irytowało go to, ale nie przyszło mu na myśl, by się odwrócić i zobaczyć, kto za nim idzie.

Zdjął go tylko niewymowny lęk, że to ktoś, ktoby go mógł zatrzymać.

I w tej samej chwili zawstydził się, że mógł nawet taką myśl dopuścić, by jeszcze, jeszcze ktoś mógł drogę zastąpić i zatrzymać go, przystanął, odwrócił się i czekał.

Ten ktoś przystanął, a raczej oparł się o ścianę kamienicy.

Górski podszedł bliżej i stanął oko w oko z jakąś kobietą, która wlepiła w niego szeroko rozwarte, błyszczące oczy.

Tak patrzyli na siebie w milczeniu długą chwilę.

— Nie poznajesz mnie? — pytała nieśmiało.

Górski patrzył z wytężeniem.

— Trudno w tym ciemnym zaułku kogoś poznać, którego się długo nie widziało... A muszę cię znać, jeżeli mówisz mi ty. Ale czego chcesz?

— Chodź, chodź — tam przy latarni mnie poznasz. Poszli kilkanaście kroków dalej.

— Jeszcze mnie nie poznajesz?

Górski ujrzał drobną, zbolałą twarz — jak mu się teraz wydało — dziwnie piękną, pięknością, jaką bliska śmierć daje: w błyszczących, jakąś gorączką trawionych oczach dziewczyny widział, jak w jasnowidzeniu, ów ka-

nał wizyjny z zastygłego kruszcu, starannie oszlifowany i wypolerowany.

— I czego chcesz?

— Wiesz, kto jestem?

— Nie!

Spojrzała na niego przerażona.

— To pan mnie nie poznaje? A ja cały rok żyłam tem jednym wspomnieniem, że ktoś w mojem życiu był dla mnie dobry, tak nieskończenie dobry. Nie pamięta pan przed rokiem, kiedy mnie spito jak nieboskie stworzenie, a pan mnie już nieprzytomną uwolnił od całej plugawej zgrai, która mnie bezcześciła, zniechęcała, świnila, zawlókł mnie pan do dorożki, ułożył na swoim pościu, a sam całą noc na kanapie przespał?

— Aha! pamiętam, Łucja, no i cóż z tego?

Szerzej jeszcze rozwarły się jej oczy.

— Cóż z tego? Prawda — prawda... zachwiała się — pan rzucił mi ochłap swej dobroci pod nogi, a dla mnie była to królewska uczta, którą rok cały żyłam.

Nagle urwała.

Górski przetarł czoło.

— Prawda — teraz sobie dobrze przypominam... a, a.. muszę panią prosić o przebaczenie — tak, w istocie, prosiła mnie pani wtedy, byś mogła raz po raz do mnie zachodzić...

— Chodziłam, chodziłam, jak pies warowała u progu drzwi pańskich, ale drzwi były dla mnie zamknięte, na drzwiach pańskich wiecznie ta sama kartka: wyjechałem! A przecież pan był w domu — widziałam pana w oknie — pan mnie nie widział, nie chciał widzieć...

— Byłem chory, pani wybaczy, ale czem teraz mogę pani służyć?

— Spotkałam teraz pana na ulicy i szłam za panem zdala, nie chcąc być natrętną...

Górski zamyślił się nagle. Stał długo, patrzył na nią, nie widząc jej, to znova w dół, jakby czegoś szukał—wreszcie po długiej chwili zdawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale się znova zamyślił.

— Co, co? co pan chciał powiedzieć? — pytała z gorączkowym niepokojem.

Ocknął się.

— A prawda, mam parę godzin czasu, teraz mi już nie przeszkadza, ani przeszkodzić nie może, wszystkie moje sprawy załatwione, jestem całkiem swobodny, do odejścia pociągu jeszcze parę godzin czasu.

— To pan wyjeżdża?

— A tak, wyjeżdżam, droga pani, ale pocóż tak to wszystko ceremonialnie, mówiliśmy sobie przecież ty — kiedy to było — prawda przed rokiem... a, a — coraz jaśniej sobie przypominam — aha! poznałem cię w towarzystwie Bieleckiego—tak, to wtedy było — spolił cię — nie, fałszywie się wyraziłem — Bielecki miał dobre zamiary z tobą — kształcił cię, otwierał ci nowe horyzonty, zeskrobywał z ciebie małomieszczańską skórę, włosy kazał ci krótko obciąć, papierosa kładł ci w usta i lał wódkę w ciebie, i rozkładać ci się kazał, byś w królewskim bezwstydzie piękność twej nagości...

— Milcz Pani!

— He, he... Cóż się pani tak oburza, przecież Bielecki —

— Nikezemny łotr! — zgrzytnęła zębami i nagle wybuchła spazmatycznym płaczem.

Spojrzał na nią cicho i spokojnie, jakby się jej z jakiejś dalekiej gwiazdy przypatrywał.

— Niech pani nie płacze, po co? na co? Przecież to wszystko takie głupie, nędzne, małe, i wie pani, niech pani wybaczy, ale mnie żaden płacz nie wzrusza... nad czym pani płacze? Zwichnięte życie? Ha, ha, ha — ja-

kie to śmieszne, przecież życie to tylko głupie, idjotyczne preladjam... urwał, nie chciał o swej głębokiej tajemnicy mówić.

— Panią wielka piękność oczekuje, trzeba tylko do niej dojrzeć... Nie płacz pani, dajmy temu spokój...

Ucieła.

Szli długo obok siebie w milczeniu.

— Panie, panie — szepnęła błagalnie.

— Mów mi ty.

— Nie mogę, jesteś zbyt dla mnie wielki i święty...

— Jeszcze nie.

— Panie!

— Cicho, cicho... Górski zasłuchał się w siebie.

Nagle zmiarkował, że szła pokorna i wystraszona kilka kroków za nim.

— Chodź tu ze mną. Wziął jej rękę i wsunął pod swoje ramię.

— A jednak nie zdołał mi duszy zniszczyć — mówiła szybko i namiętnie — Wszystkimi siłami pracowałam nademną, by zrobić ze mnie ostatnią ladacznicę, spijałam mnie, bił, kopał, pastwił się nademną, ale tyś stał zawsze przed moimi oczyma święty swą niezmierną dobrocią, czysty, niepokalany — schwyciła go nagle za rękę i przycisnęła do rozpalonych ust...

— Daj spokój — Górski szarpnął ręką i wsłuchiwał się w głuchą ciszę swej duszy.

Ale silniej jeszcze uczepliła się jego ramienia.

— Uwolnij mnie od niego! Błagam, zaklinam cię. Ty jeden to zdołasz zrobić, on się ciebie boi, on ustawicznie o tobie majaczy, ja będę ci służyć, jak najwerniejsza sługa, niczego od ciebie nie chcę, tylko pozwól, bym mogła być przy tobie. Mówił mi, że pan chory, on cieszy się, żeś pan chory, będę pana pielęgnować, daj mi pan to największe szczęście, jakie mnie spotkać może...

Górski zdawał się nie słyszeć.

— Pan nie wie, co to za rozkosz będzie dla mnie panu służyć, i pan, pan taki dobry, taką radość będzie panu sprawiało, jak rany mej daszy się poczną zablizniać, jak, jak, jak to wszystko wróci, czem byłam, zaczem go poznałam, tego złego szatana, jak, jak...

Plątała się, powtarzała jedno i to samo w kółko, a nagle zamilkła i spojrzała uważnie na Górskiego.

— Panie ?

— Co ?

— Pan może myśli, że ja pijana? Nie, nie, widzisz, zaciągnęli mnie do knajpy, jakąś tajemniczą stypę po-grzebową chcieli urządzić, a ja się wymknęłam, uciekłam, taki mnie wstyd, takie obrzydzenie, taki wstręt ogarnął, duszę chciałabym ze siebie wyrwać, rzucić sobie pod nogi, spluć, stratować, i wtedy ciebie ujrzałam i powlokłam się za tobą cicho i pokornie, czekając, aż mnie spostrzeżesz...

Górski przystanął, spojrzał na nią długo i przenikliwie.

— A może on cię wysłał ?

— Kto, kto? Spojrzała na niego zdumiona.

Górski patrzył jej długo w zdumione, wystraszone oczy, potem cicho pocałował jej rękę i szepnął:

— Niech pani wybaczy.

— Co, co ?

— Nie, moje dziecko, tu niedaleko jest mała kawiarnia. Cicho tam i zacisznie, ja mam jeszcze parę godzin czasu...

— To pan rzeczywiście wyjeżdża? — pytała z obłęd-nem przerażeniem.

Nie nie odpowiedział.

— Wyjeżdżasz? Jezus, Marja, cóż ja wtedy pocznę?

— Co poczujesz? — Górski przystanął i uśmiechnął się. Na ustach jego rozgościł się bezustanny, cichy uśmiech — Co poczujesz bezemnie? A na co ja ci potrzebny?

— To prawda, prawda—powtarzała błędnie te same słowa — na co ja panu potrzebna. Wstyd mi teraz, żem się tak przed panem obnażyła, niezem cielesna nagość wobec tej, w jakiej się panu pokazałam. Pan się pyta, na co mi jesteś potrzebnym, na co ja tobie byłabym potrzebną, ja, ja... ścierka—wybuchnęła nagle. — Wiesz, Biejecki ścierką mnie nazywa, jak jest wściekły, a nie wiem dlaczego jest teraz ustawicznie wściekły.

Górskiego zdjęła nagle bezbrzeżna litość.

— Nie mów już, zapomnij, przecież jeszcze nie wyjechałem, jeszcze kilka godzin... Wsłuchiwał się uważnie w siebie, ale nie, prócz wielkiej, świętej, wieczystej ciszy.

A może ją wziąć ze sobą? Ale nie! Do tego trzeba samemu dojrzeć, inaczej to paskudztwo — zawstydział się — razem, z kimś obcym, nie, nie! jak mógł coś podobnego pomyśleć.

— To tu! — Otworzył drzwi kawiarni.

Wahała się.

— No? Czemu nie chcesz wejść?

— Lękam się... pan taki dobry, a ja się do ciebie przyczepiłam.

— Jestem ogromnie rad, żem ciebie właśnie spotkał, chodź, bardzo cię proszę.

Górski był nad wyraz uprzejmy.

A ona wciąż jeszcze stała.

— Tu światło, pan mnie tak onieśmielił, ja, ja — dławiała się płaczem.

— Niech mi pani sprawi tę prawdziwą przyjem-

ność i posiedzi ze mną chwilę. Ja potem panią odprowadzę.

— Dokąd? Drżała z lęku i przerażenia.

— Jakto dokąd? do mieszkania pani.

— Wyciągnęła ręce, dygotała, jak w febrze, nerwowe, chude jej ręce latały w powietrzu, jak spłoszone jaskółki.

— Nie wrócę, nie wrócę!

— Nie chcesz wrócić — Górski uśmiechnął się dobrodusznie. No to wejdźmy, tam sobie spokojnie pogadamy.

Wziął ją pod ramię, weszli i siedli w pustej prawie kawiarni.

Kazał podać kawy. Przypatrywał się teraz uważnie dziewczynie. Taka młoda, piękna i już tak zniszczona — pomyślał.

I ona mu się przypatrywała, nieznacznie, ukradkiem, i czuła się coraz więcej onieśmielona.

— Niech mi pan wybaczy — mówiła cicho — żem się tak do pana dziś przyczepiła.

— Ależ pani się weale nie przyczepiła...

— Ale — mówiła, jakby nie dosłyszała Górskiego — gdym pana w tym całym obcym tłumie ujrzała, zupełnie nie wiedziałam, co robić, musiałam za panem iść, coś we mnie głośno krzychało, że w panu jest mój ratunek...

— Przed czym ja mam panią ratować?

— We mnie jest taka straszna walka — cała jestem wypełniona wstrętem, obrzydzeniem, chciałabym się wyrwać z tego życia, a nie mogę, jestem bez woli, bez sił... Bielecki mnie doszczętnie zmarnował, wysłał, zatruł mi duszę, czego się czepię, ręce mi opadają, o niczem myśleć nie mogę, bo tak się rozwieliło we mnie uczucie upodlenia i zmarnowania, że we mnie już nie, prócz

jadu i goryczy... I tak pomyślałam, że pan, pan jeden ze swoją bezmierną dobrocią... ale to szaleństwo, mnie już nie uratować nie może... mój mózg obłąkany, dusza do cna zatruta..

— Pani go kocha?

— Kochałam, kochałam, tak chyba żadna kobieta nie kochała.

Górski uśmiechnął się.

— Pan się śmieje, ja wiem, tak każda kobieta mówi o swej miłości, ale może żadna w rzeczywistości nie dała tyle, co ja. Przyjechałam tu z duszą czystą, niezem nieskałaną — w szale obłądnej miłości oddałam mu się bez wahania, bez zastrzeżeń, z rozkoszą — i z rozkoszą deptałam wszystko, co mi było dotychczas świętem, bo on nienawidzi to, co ludzie czystością nazywają. Zerwałam z całą rodziną, zerwałam ze wszystkim, co mnie łączyło z nimi, ze wszystkim, com dotychczas ukochała... Tak, tak, ma pan słuszność, rozszerzał mi horyzonty. Zdeprawował mnie, rozpasał moje zmysły, nocami całemi włóczył mnie od knajpy do knajpy — zmuszał mnie do rzeczy wstrętnych dla mnie i ohydnych, całą moją duszę wyrócił na ręby. — Niema brada, niema ohydy, którejbym nie poznała — a ja, by mu się przypodobać, starałam się wszystkich prześcignąć w plągawym cynizmie. Och, jaki on dumny ze swej pojętnej uczenicy — Aż nagle ocknęłam się... Wtedy, wtedy przed rokiem, gdym pana poznała... Jedno pana spojrzenie, gdym bluznęła jakimś sprośnym dowcipem, padło przeraźliwie jasną błyskawicą na dno tej odmętnej przepaści, w którą się staczałam... I wtedy, gdym jeszcze na wpół przytomna nad ranem na łóżku pana się obudziła, gdy się wszystkie wspomnienia na mnie zwały, wszystko podemną walić się jęło — wtedy postanowiłam wyrwać się ale już było zapóźno, już nie byłam zdolną do niczego...

W oczach jej skamieniała rozpacz.
Schwyła głowę w obiedwie dłonie.

— Och, och! za rychło się obudziłam, trzeba mi było tak spodleć, tak upaść, by nie już nie czuć, nie byłoby tego piekła we mnie... upić się, upić tak, by o niezem nie myśleć — tak się zaprzepaścić, by coraz haniębniejszy upadek rozkoszą mi się stawał...

Podniosła głowę i ujrzała Górskiego.

— Panie — chciała go chwycić za ręce i nagle umilkła.

Oczy Górskiego patrzyły przed siebie, ale były całkiem zagaste i jak ślepe. Twarz śmiertelnie biała i tak w sobie skupiona, że wydawała się być upiorną wizją. Cała postać, jakby stężała w nieludzkiem jakimś napięciu, jakby zastygła w kataleptycznym stanie.

Łucja patrzyła na niego przerażona, chciała na niego zawołać, ale głos zamarł w jej krtani, a ręka, którą ku niemu wyciągnęła, leżała ubezwładniona na stole.

Tylko jakiś ciemny huragan myśli przewalał się przez jej głowę.

Trwało to długą chwilę — wreszcie lekki skurez przebiegł przez skamieniałą twarz, w oczach załopotano życie. Górski spojrzał na nią, przetarł czoło, jakby sobie coś z trudem przypomniał.

— Przeraziłem panią, jak widzę — to nic, nic, już przeszło.

Drżącą ręką nalał z maszynki kawy.

— Pani to wszystko bierze zbyt tragicznie — to wszystko są złe sny w złych snach, istotnie życie jest wielką i świętą pięknoscią, tylko trzeba do niego dojrzeć.

— Do czego?

— Do jedynego życia, jakie istnieje, a które my naszym biednym mózgiem śmiercią nazywamy.

Pani mówiła, że pani postanowiła życie zakończyć ze wstrętem, z obrzydzenia, to ordynarne. To potrafi każda szwaczka, która w ciężę zajdzie, każdy nędzarcz, któremu głodowa śmierć grozi—nie! nie! O czem innym myślę—trzeba sobie uświadomić, że to życie, którem żyjemy, jest tylko śmieszną parodią innego, doskonalszego życia, w którym człowiek z Bogiem się brata—zateśknić tak gorąco za przeobrzynią pięknoscią tego istotnego życia, że z radością, rozkoszą, tryumfem wyzwolenia, bez żalu i rozpacy, człowiek sam dobrowolnie—jak już powiedziałem—z niewypowiedzianą rozkoszą, zaporę rozwała. Tylko ten, co z radością, z utęsknieniem, gorącym pragnieniem w śmierć idzie, ten tylko dostąpi królestwa niebieskiego. Umierają tylko ci, którzy ukochali to życie—małpie przedrzeźniania tamtego.

Przysunęła się do niego.

— Trzeba śmierć ukochać? — pytała cicho.

— Próg do wielkiej piękności i istotnego życia. Kto to zrozumiał, ten wszystko rozumiał. Dusza jest wieczna, ani skalana, ani zbrudzona w tem życiu być nie może, niema grzechu, ani potępienia, bo dusze skazane tylko na błądzenie — życie nasze jest tylko błądzeniem duszy, dopóki się nie odnajdzie w poznaniu, że jest inne życie, ku któremu wszystkie swe siły, wszystkie pragnienia i tęsknoty wyteńczyć musi. A gdy przyjdzie to poznanie, ustaje błądzenie, wszystko, co grzechem i zbrodnią, kalamaniem i zbrukaniem nazywamy, wydaje się dziecinną grą słów.

Kto nie dojdzie do tej prawdy, ten skazan na ciężkie boleśniejsze jeszcze błądzenie i w tamtem życiu. Kto tę prawdę posiadał, dla tego śmierć jest najwyższą pięknoscią, bo go z Bogiem równa.

Twarz jego uroczyściła, a jej przejrzysta bladeść zdawała się płonąć cichym blaskiem.

— Niema potępienia? — pytała i zdało jej się, że uchwyciła się jakiejś krawędzi skały tuż nad przepaścią.

— Dla tego niema, kto wdarł się na szczyt i ujrzał manowce, jakimi błędził, moczary, w których tonął, przepaście, w które się staczał. Kto stęsknione skrzydła rozwarł do lotu i z hymnem wyzwolenia szybkuje na drugi brzeg. Och, jakim śmiesznym wydaje mu się to całe życie tutaj, jak tanią jego enota, jak marną jego zbrodnia, jak potwornie głupie jego cierpienia i miłości i nienawiści, jaką nędzotą rozgłos, sława... ha, ha..., sława, to dobre dla takich nędzarzy, jak Bielecki... nie, nie, moje dziecko—ujął ją cicho za rękę — jak zrozumiesz to, o czym ci mówiłem, jak uwierzysz w prawdę moich słów, tak, jak ja w tych ostatnich dniach wierzę, to zaiste nie potrzebujesz Chystusa, któryby ci musiał powiedzieć: „idź w spokoju, wiara twoja cię uzdrowiła“ — sama się rozgrzeszysz. Twoja dusza wieczna, ani zbrukana, ani skalana, rozgrzeszy cię — tak bowiem Budha powiedział. Trzeba tylko objąć ogrom tych słów.

Mówił to wszystko mańjackim, przytłumionym głosem, powtarzając w kółko urywane zdania, i słowa, ale z taką wiarą i siłą przeświadczenia, że Łucja słuchała go z zapartym oddechem — nie potrzebowałaby nawet jego słów rozumieć—tylko patrzeć w jego twarz, by uwierzyć.

Nagle popadł w ciężką zadumę. I znowu widziała, jak twarz jego stygła, oczy gasły.

Schwyciła jego rękę.

— Mów pan jeszcze, mów, mów...

— Już ci wszystko powiedziałem.. wyciągnął zegarek, wpatrzył się weń długo.

— Teraz masz pójść — rzekł po chwili.

— Pójść — pójść?! Pan mnie chce teraz zostawić samą — pytała strwożona.

— Ależ nie, ja panią odprowadzę do domu...

— Ja tam nie pójdę—głos jej się łamał—ja tam już teraz nie wrócę — nie, nie, nie! W tobie jest moc i piękność—ratuj mnie — na klęczkach błagam, nie opuszczaj mnie teraz, kiedy czuję, że będę się mogła dźwignąć z twoją pomocą z mego upadku!

— Jakiego upadku? Co ty nazywasz upadkiem? żeś pokochała łotra, który chciał twą czystą duszę obłocić? On stokroć razy biedniejszy od ciebie. Tyś już rozumiała że dusza twa błądziła, a on nędzarz —straszny nędzarz, on taki nędzarz, że miałem nad nim zlitowanie... uśmiechnął się.

Łucja patrzyła na niego zdziwiona, miała wrażenie, że to wszystko śni, że to jakieś przywidzenie.

— On nędzarz? Ależ to szatan, zły, łotroski szatan.

— I dlatego go kochasz i kochać będziesz—bo jeszcze większym nędzarzem się stanie.

Zrobił nagle ręką szeroki gest.

— Ale to mnie już nie nie obchodzi. Gdybym mógł patrzeć na życie, tak, jak ty patrzysz — toby mi ciebie było żal — ale tak... machnął ręką, popatrzył na nią uważnie i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Raz ci jeszcze powiadam: jesteś bez winy, a gdybym był Chrystusem, rozpiętym na krzyżu, tobym ci powiedział: dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Wstał, podszedł do kelnera, zapłacił i wyszli.

— Dokąd cię teraz odprowadzić?

Przystanąła.

— Cheesz mnie się pozbyć — mówiła cicho, niewyraźnie, jakby do siebie mówiła — przyczepiłam się do ciebie, a ty mną gardzisz... ha, ha... jakbyś nie miał gardzić tą, którą nawet taki Bielecki ścierką nazywa — ha, ha, ha... Idź, idź — zostaw mnie w spokoju — rzucił mi

znowu ze swego królewskiego stołu ochłap dobroci — bym się nim udławiła — a potem idzie — idzie...

Górski wziął ją za rękę.

— Słuchaj — rzekł surowo i z jakąś straszną powagą — teraz nadchodzi chwila, w której muszę być sam. Rozumiesz?

Jakby się ocknęła, patrzyła na niego, jakby go teraz dopiero ujrzała.

Spojrzenia ich zwały się nierozzerwalnie.

— To ty... ty... — dławiło ją pytanie, którego ze siebie wykrztusić nie mogła.

— Tak!

Objęła go oburącz:

— Nie, nie, och! nie rób tego, nie rób... Ty jeden, jedyny, och dzień jeszcze... jeden, jedyny dzień... nie odpychaj mnie od siebie... ja ci teraz wszystko powiem, wszystko...

— Cicho, ludzie nadchodzą.

— Na cały świat to wykrzyknę.

Szarpnął ją i pociągnął za sobą.

Oprzytomniała.

Szli długo w milczeniu, siedli na ławeczce na pustym placu.

— Coś mi jeszcze chciała powiedzieć?

— Nic, już nic...

— Coś chciała na cały świat wykrzyknąć?

— Nędzę moją, moją małą, marną nędzę, mogę ci teraz powiedzieć... tak, tak mogę ci powiedzieć, boć przecież ciebie to nie obchodzi, nawet wstydzę się, żem mówiła, iż moją ciężką tajemnicę chciałabym wykrzyzczyć, nie, nie, pokornie, nieśmiało z tym twoim cichym uśmiechem nie z tego świata wyznaję ci, że cię kocham...

Górski patrzył na nią z zimnym uśmiechem, który zdawał się być przymarzniętym do jego ust.

— Biedactwo! Teraz dopiero widzę, jak go kochasz... Ostoi szukasz u mnie w twej obłąkanej miłości do innego... chciałaś się nie trzykrotnie ale po wszystkie wieki wyprzeć twej miłości, a opita jesteś żądzą za nim, chciałaś się pomścić, że twoją miłość stratawał — zamyślił się, a nagle powiedział dobrotliwie — Idź, moje dziecko, zastanów się, przestań się okłamywać, ja cię tak dobrze rozumiem: terazbyś się pierwszemu lepszemu na szyję rzuciła, a potem po chwili sama sobie głowę skrzyła ze wstydu, ze wstrętu, obrzydzenia, bo tylko jego jednego kochałaś i kochasz...

Górski wstał z wolna i ociężałe z ławki.

— Chodź — powiedział głucho.

— Zostań jeszcze, zostań — krzyknęła, padła na kolana, chwyciła go za nogi, tarzała się przed nim — zostań!

Starał się od niej uwolnić.

— Nie puszczać cię! nie puszczać! Zostań! — skomlała.

Zniecierpliwiony, prawie przemocą rozerwał jej splecione ręce i szedł szybko przed siebie.

Czołgała się na kolanach za nim, opadła z sił, przykuwała bezradnie, a nagle zerwała się i z cichym, obłąkanym uśmiechem zaczęła się za nim skradać w śmiertelnym lęku, by się wypadkowo za nią nie obejrzał i nie ujrzał, że za nim idzie...

Przystanął — przywarła w cieniu do muru, serce jej bić przestało: teraz się obejrzy, teraz zniknie na zakręcie ulicy...

Ale Górski się nie obejrzał — po chwili szedł dalej wolno, coraz wolniej...

Dochodzili do domu, w którym mieszkali.

Szła na palcach z nieskończoną ostrożnością.

Droga wydawała jej się niezmiernie długą. Górski pewnie pobłądził — z przerażeniem myślała o tem, że

mógłby pobłądzić, a wtedy musiałaby się za nim wlec bez końca, a już jej sił nie starczyło, teraz już przystanąć musiała, bo nogi już jej dalej nieść nie chciały.

Rozejrzała się i odetchnęła. Nie! nie pobłądził, dokładnie rozpoznawała ulicę... jeszcze parę domów.

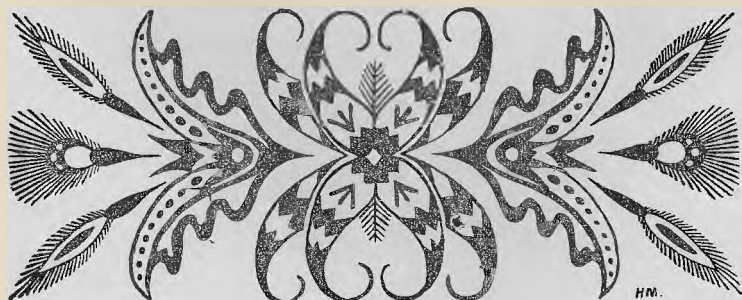
Górski zatrzymał się przed żelaznymi sztachetami, które na niewielkiej przestrzeni łączyły dwie kamienice, zamyślił się, spróbował, czy furtka otwarta, znowu się zamyślił, jak człowiek, który o czem innym myśli, potem począł szukać dość długo klucza po wszystkich kieszeniach, znalazł go wreszcie, otworzył drzwiczki i nagle obrócił się ku niej.

Dech jej w piersiach zamarł. Nogi się pod nią zatrzęsły.

Podszedł ku niej i wziął ją za rękę.

— Chodź—mówił—tam u mnie zacisznie, możesz tam spocząć. Tyś strasznie zmęczona. Teraz mi przykro, żem cię samą zostawił. Zdawało mi się, że miałem jakieś jeszcze obrachunki z sobą poczynić, ale ja się ze wszystkim już załatwiłem. Mam tam jeszcze na górze flaszkę wina... urządzimy sobie stypę — ale nie pogrzebną — stypę postrzyżyn, stypę dojrzenia do nowego życia... Chodź, chodź — tylko cicho, by sąsiadów tam z przeciwka nie pobudzić...

(Ciąg dalszy nastąpi).





PROTAGORAS HUMANISTA.

(Dokończenie).

M. W jaki sposób dowiedziesz, że różnie postrzegamy? jak chcesz dowieść, że różnimy się pod pewnymi względami, skoro jesteśmy jednakowi pod innymi.

P. Dobrze, Morozofusie. Ja zawsze twierdzę, że pojmujemy jednakowo, i zmysły nasze postrzegają jednakowo, dopóki ktoś nie zwróci uwagi, że jednak zgoda ta jest pozorną. Lecz nie znajduję, aby to było dostatecznym powodem do gniewu lub do wynajdywania jakiejś Jedności, która niczego nie tłumaczy. Sądzę raczej, że znajdujemy tu bodziec do rozwikłania bardzo poważnego zagadnienia, a mianowicie: *dłaczego pod pewnymi względami zgadzamy się, a różnimy pod innymi, i co znaczy „postrzegać“ jednakowo. Gdybyśmy wszystkie rzeczy postrzegali jednakowo, lub naodwrot, gdybyśmy je postrzegali*

całkiem różnie, nie byłoby żadnych trudności. W pierwszym wypadku nie mielibyśmy dostatecznych powodów, aby się spierać, a w drugim nic by nas nie łączyło i każdy snułby swoje własne życie, przez nikogo nie wyprowadzany z trybu. Lecz świat taki, jaki jest, czyż nie wydaje się mieszanym, dziwacznie złożonym z dobra i ze zła, z rozumem i nierozsądkiem, z przyjemności i z przykrości? Co zaś do drugiego pytania, czy znałeś Xantias, syna Glaukosa?

M. Tak. Zrobił na mnie wrażenie człowiekã zupełnie przeciętnego i całkiem niezdolnego do ułatwiania badań tego rodzaju.

P. Mnie zaś wydał się zdumiewającym człowiekiem i żywym dowodem prawdy, której bronię. Nieszczęśliwiec był całkiem niezdolny do rozróżnienia czerwonego od zielonego, koloru krwi od koloru trawy. Możesz sobie wyobrazić jego sytuację i jak dalece ośmieszano jego upodobania. Lecz to nie jego upodobania, ale oko szwankowało. Rozpytywałem go często i jestem pewien, że nie mógł na to poradzić. Poprosta inaczej widział kolory. Jak mianowicie i dlaczego, dojść nie mogłem. Lecz jego przykład i inne podobne, choć mniej jaskrawe, przekonały mnie, że prawda i rzeczywistość są dla każdego człowieka takimi, jakie mu się wydają. Jestem pewien, że różnice istnieją zawsze, lecz zwracają uwagę tylko wówczas, gdy są dość wielkie, aby wywoływać znaczne niedogodności.

M. Ależ Xantias był niezawodnie chory i jego sądy o kolorach nie mają większego znaczenia, niż sądy warjata.

P. Nie uwolnisz się od różnicy, twierdząc, że jest ona skutkiem warjactwa lub choroby. Jakże określisz istotę choroby lub warjactwa?

M. Nie o tem nie wiem. Zapytaj się Asklepiosa.

P. A! oto znów jeden z tych bogów, z którymi nigdy nie mogłem się zejsć. Pozwól raczej, że rzucę myśl, iż warjactwo i choroba są to poprostu dwa środki przeznaczone do wykazania naszej nieudolności utrzymania się w tym wspólnym świecie, w którym jesteśmy i nie jesteśmy jednocześnie, i z którego, zdaje się, znikamy zupełnie, umierając.

M. Oryginalne rozamowanie z powodu oryginalnego wypadku. Czy stosujesz je także do choroby? Wówczas trudność wynikałaby prędy z niewspółmierności człowieka z rzeczami, a nie z innymi ludźmi.

P. Z jednymi i z drugimi. Wszak gorączka nierozsądnie przenosi ze zwykłego świata w świat snów, pozbawiony sensu. A chore ciało stanowi przeciw część zwykłego świata.

M. Może, lecz ten bieg myśli nie obchodzi mnie. Zechciej mi raczej zdać sprawę z własnej choroby lub warjactwa, które polega na myśleniu, że świat wspólny może być złożony z mnóstwa poszczególnych światów?

P. I owszem. Wyobraź więc sobie przedewszystkiem Mnóstwo Różnolite, takie, aby każdy ze składających się na nie postrzegał przedmioty w sposób sobie właściwy.

M. Cheesz, abym sobie wyobraził świat warjatów?

P. Wszystko mi jedno, jak go nazwiesz. Pomijam też to, że nasz świat nie znalazł się nigdy w tak przykrem położeniu. Chcę ci tylko uświadomić, że ci „warjaci“ nie byłiby zupełnie zdolni do zgodnego myślenia lub działania i że każdy z nich żyłby zamknięty w so-

bie, niezrozumiały dla innych i niezdolny do zrozumienia innych.

M. Niewątpliwie.

P. Zdziwisz się, że z takiego życia wynikałaby wielka słabość.

M. Największa, jaką sobie można wyobrazić.

P. Może. Przypuśćmy teraz, że dzięki wstawieniu jakiegoś boga lub, jak to mówią, dzięki łasce boskiej, niektóre z tych dziwacznych istot od razu zyskują zdolność do porozumienia się i do wspólnego działania pod niektórymi względami, jak na przykład pod względem tego, co jest czerwone, albo słodkie, albo hałaśliwe, albo przyjemne. Czyż nie wynikałoby z tego wielka korzyść? Czyż nie staliby się oni zdolnymi do połączenia się i do utworzenia wspólnoty na mocy tej wspólności, jaką rzeczywiście mieli pomiędzy sobą? I czy nie byłiby o wiele mocniejsi od tych, którzy nie „postrzegają jednakowo”? I w ten sposób, czy nie odnieśli oni korzyści o tyle znacznej, o ile mogli „postrzegać jednakowo” i czy nie wyniknął z tego stopniowo świat „wspólnych” postrzeżeń i myśli?

M. Tak, jeżeli oni istotnie postrzegają jednakowo, bo „porozumieć się w celu działania”, a „postrzegać jednakowo” — są to dwie rzeczy różne, i gdy osiągnięto pierwszą, to jeszcze nie dowiedziono drugiej.

P. Dowodzenie moje posunąłem tylko tak daleko, jak to mi jest potrzebne. Pod jednakowem postrzeganiem rozumiem tylko *takie postrzeganie, które umożliwia wspólną działalność*. Na przykład gdyby nam powiedziano, że czerwone światło oznacza niebezpieczeństwo, a zielone — pomoc, i gdybyśmy się zgodzili na to, aby unikać pierw-

szego, a radośnie witać drugie, to mianoby prawo powiedzieć o nas, że „postrzegamy jednakowo“. Co zaś się tyczy tego, aby wiedzieć, czy to, co ja postrzegam, jako czerwone, jest pod jakimkolwiek innym względem tem samem, co ty postrzegasz, jako czerwone—to będzie niedorzecznością rozstrzygać podobne zagadnienie, gdyż ja nie mogę przenieść mojego „czerwonego“ do twojej duszy, ani też ty twojego do mojej i nie możemy ich porównać, oraz wiedzieć, w jakim stopniu są one podobne lub niepodobne do siebie. A nawet, gdybym mógł to uczynić, to *moje* porównanie mojego czerwonego z twojem może nie być takie same, jak porównanie, zrobione przez *ciebie*. Wyobraźmy sobie, że — co prawda z mojego punktu widzenia będzie to niedorzecznością, lecz z twojego rzeczą całkiem możliwą. Otóż wyobraźmy sobie, że kiedy ja postrzegam „czerwone“, odbieram akurat takie samo wrażenie, jak kiedy ty postrzegasz „zielone“, i że twoje wrażenie, kiedy postrzegasz „czerwone“, jest akurat takie samo, jak moje, kiedy postrzegam „zielone“. Wówczas nie byłoby żadnego sposobu dowieść, że nie postrzegamy jednakowo, gdyż zawsze zgodzilibyśmy się na odróżnienie „czerwonego“ od „zielonego“. *Tożsamość jest więc skutkiem, a nie przyczyną wspólnego działania.* Albo raczej pojęcie tożsamości jest innym sposobem, mniej dokładnym, lecz szybciej załatwiającym sprawę, aby stwierdzić wspólne działanie. W ten sposób powstaje mniemanie, że wszyscy postrzegamy jednakowo i że ten, kto postrzega inaczej, jest warjat. I to jest prawdą, *jako mniemanie* dogodne, zbawcze i dostateczne dla wspólnego życia. Lecz dla potrzeb *nauki* musimy być ściślejsi i uważać „jednakowe postrzeganie“ nie jako punkt wyjścia, lecz jako cel, *prawie* osiągnięty w niektórych przedmiotach, a *zupełnie* osiągnięty, gdy chodzi o niektóre potrzeby. Słowem, *nasze rozumowanie idzie zawsze od wspólnego działania do wspól-*

nego postrzegania, nie zaś w kierunku odwrotnym. Wynika z tego, że jeżeli chcemy mówić ściśle, to musimy wywnioskować, że dwa indywidua, których działania nigdy nie zgadzają się ze sobą, nie postrzegają jednakowo. To nam tłumaczy, dlaczego zgadzamy się w pewnych rzeczach, o których wydajemy jednakowe sądy, a nie zgadzamy się w innych, które osądzamy różnie. Zgadzamy się na punkcie tych rzeczy, co do których jest potrzebne, abyśmy się porozumieli, jeżeli chcemy móc żyć; nasze poglądy różnią się zaś co do tych rzeczy, które nie są niezbędne do życia codziennego, choćby nawet te ostatnie były zdolne poprowadzić nas do życia dobrego i pięknego. Lecz jedynie wówczas, gdy nie działamy wcale, jesteśmy zdolni do życia naszym prywatnym, izolowanym, własnym życiem i do odróżniania się w najwyższym stopniu od wszystkich innych.

☛ M. A czemże jest, proszę cię, to dziwne życie, w którym nie działamy wcale?

P. Czy nie przypominasz sobie słów Heraklitesa „dla ludzi obudzonych istnieje tylko jeden wspólny świat, lecz każdy z tych, co śpią, zaszywa się w osobną kryjówkę“? Przypaszczasz, że gdybyśmy działali w naszych snach, to moglibyśmy bezkarnie wykonywać wszystko, co śnimy? Czyż nie dla tego właśnie możemy paścić wodze marzeniom, że leżymy nieruchomi i spokojni?

M, Wszystko, co mówisz, Protagorasie, mogłoby być prawdziwe i przekonujące, gdyby, po-pierwsze, twój przeciwnik był mniej utrwalonym w prawdziwych zasadach odemnie, a po-dragie, gdybyś na początku nie postawił twierdzenia, że istnieje jeden wspólny świat, w granicach którego wszyscy są obowiązani wzajemnie się naśladować. Tylko wówczas, gdy zgodzą się na to, mogą żyć i to koniecznie żyć wspólnie, jak mówisz.

P. Nie jestem zdziwiony, Morozofusie, że mogłeś myśleć, iż takie było moje twierdzenie. Lecz, chociaż mówiłem nieściśle, ja mogę rozszerzyć mój sposób pojmowania rozwoju lub właściwie badowania świata na istoty bardzo odmienne od człowieka. *Pierwiastki także są połączone w pewien system, ponieważ nabrały one przyzwyczajenia do liczenia się ze sobą i ponieważ, postępując w ten sposób, czuły się lepiej. Może świat jest państwem, rządzone przez prawa, które są zwyczajami jego obywateli.* Przypomnij sobie tylko, że zwyczaj są podścieliskiem tej „natury“, którą my odkrywamy. One ją kształtują. Wyobrażamy sobie, że przychodzimy do świata już skończonego i niezdołnego do zmian. Ale to jest nieprawda. „*Odkrywamy*“ świat, *zrobiony dla nas, bo jesteśmy spadkobiercami przeszłych wieków, bo korzystamy z ich prac i cierpimy z powodu ich błędów.* My możemy częściowo odrobić i zmienić ów świat, który sam się stopniowo urobił. Czyż jednak moglibyśmy mieć pojęcie o tych wszystkich rzeczach, gdybyśmy nie byli zaczęli od spostrzeżenia, że Człowiek, każdy człowiek, jest miarą wszystkich rzeczy?

M. Zdaje mi się, Protagorze, że robisz teraz z człowieka nie tylko *miarę*, lecz jeszcze i *twórcę*. To dowodzi, że pierwszy twój aforyzm nie był jeszcze największą niedorzecznością, jaką kiedykolwiek wygłoszono.

P. Nawet ten aforyzm, że *człowiek jest twórcą swojego świata*—w pewnym znaczeniu *nie jest* niedorzecznością.

M. Człecze, czyż nie widzisz, że Rzeczywistość nie jest zrobiona przez ciebie? Rzeczywistość nieruchoma, damna, obojętna istnieje przed wszystkimi twoimi wysiłkami. Człowiekowi nie pozwoli ona objąć się zupełnie, nawet wtedy, kiedy ten ją *odkrywa!* Czyż nie odczuwasz

podniosłego łęku wówczas, gdy zbliżasz się do tego, co jest Wszystkiem, co jest, było i co będzie?

P. Prawdę ci powiedziawszy, nie odczuwam; natomiast twoje uczucie wydaje mi się nedorzecznem. Bo, *gdyby Rzeczywistość była istotnie niedostępną dla człowieka, człowiek nie mógłby jej wcale odkrywać, a gdyby tajemnica była istotnie świętą, to samo pragnienie odstąpienia jej byłoby bezbożnością.* Oto dlaczego nie wierzę, aby Rzeczywiste było niepoznawalne, albo nieruchome, albo preegzystujące tak, jak ty to uważasz. *Rzeczywistość, z którą ja mam do czynienia, jest rzeczywistością, którą znam i rozpoznaję dla tego, że moja działalność ją modyfikuje.* Wielekroć zmieniliśmy trochę świat i uczyniliśmy go trochę więcej zgodnym z naszymi upodobaniami, tylekroć mówimy, że on zawsze był takim, jakim w istocie stał się tylko dzięki nam za cenę zwalczonych przeszkód bez liku. Lecz to nasze złudzenie nie sprawia, aby świat w rzeczywistości był bezwzględnie preegzystujący, albo niezależny od naszej działalności, bo chociaż za punkt wyjścia dla naszych uczynków służą najczęściej rzeczy, które uważamy za uprzednio istniejące, jednak te rzeczy preegzystują tylko w takiej postaci, jaką im nadała nasza działalność, *kiedy zaczęła je modyfikować.* Tak więc to, co staje się rzeczywistem dzięki naszym wysiłkom, jest zawsze uważane za *więcej rzeczywiste* od tego, co wzięliśmy za punkt wyjścia i cośmy zmienili, wykazując przez możliwość dokonania zmiany, że owa pierwotna rzeczywistość punktu wyjścia nie była rzeczywistością bezwzględną, lecz tylko odpowiednią do naszych celów. Nie wiem, czy rozumiesz mnie, Morozofusie, gdyż wyrażenia naszego języka utrudniają jasne wyłożenie tych spraw.

M. Zrozumiałem przynajmniej to, że burzysz całą rzeczywistość, uzależniając ją od potrzeb ludzkich. Ja-

kże można powiedzieć o rzeczy, która zawsze zależy od przelotnego kaprysu chwili, że jest ona absolutnie rzeczywistą? A coż się stanie z filozofją, gdy usuniemy bezwzględną rzeczywistość?

P. Można na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób, który będzie istotnie filozoficznym. *Absolutną rzeczywistością będzie to, co urzeczywistni wszystkie nasze cele i czego wskutek tego nie będziemy chcieli już zmieniać, lecz postaramy się utrzymać.* Ta rzeczywistość będzie nieruchomą dlatego, że nikt jej ruszyć nie będzie chciał, a nie dlatego, że nikt nie będzie zdolnym do jej poprawienia. A twój błąd polega na tem, że wierzysz, iż podobna jedność albo harmonja *już istnieje*, jako coś, co może być wzięte za punkt wyjścia. I błąd twój jest jeszcze większy, jeżeli sądzisz, że wszystko, co zdaje się istnieć, nie jest rzeczywistością, lecz stanowi wytwór jakiegoś dziwnego złudzenia, dlatego, że owa jedność czy harmonja nie wydaje się istniejącą. *Absolutnie rzeczywiste może być osiągnięte jedynie poprzez pozornie rzeczywiste, zmienne i przekształcone w doskonałą harmonję.* Nie powiem, że bym ja lub ty byliśmy zdolni do dokonania tego przekształcenia, lecz nie ulega wątpliwości, że *powinniśmy spróbować je dokonać, co zresztą jest jedynie ważne.*

Filonous. Pozwól, Antimorusie, iż przerwę czytanie, aby ci powiedzieć, że twój Protagoras otoczył mnie swoim niewysłowionym urokiem. W tem, co mi podawano, jako jego doktrynę, zawsze nie podobało mi się jego upodobanie do tego, co jest czysto ludzkie, względne, co się wytwarza przez doświadczenie. Zdawało mi się, że taka nauka nie zostawia nie stałego, nie trwałego, nie pewnego. To też wdychałem do czegoś niezależnego od doświadczenia. Idee Platona i nieruchoma *Jedność* Parmenidesa, choć niedostateczne pod kilka innymi względami

mi i obce większości naszych interesów, wydawały mi się jednak rodzajem gwarancji, że wszelki porządek nie zostanie uniesiony przez bezładny przepływ wypadków. Widzę teraz, że błądziłem. Możemy pełni nadziei odnośnie do arcywystąpienia wszystkich naszych pragnień spojrzeć w przyszłość, *jeżeli tylko leży nam na sercu wykonanie tego, co wydaje się najlepszem*. Lecz przerwałem ci, a żądny jestem usłyszenia dalszego ciągu tej dyskusji. Wobec tak olśniewających perspektyw powinna była doprowadzić do wspaniałych wniosków. Powiedz mi, czy Protagoras przekonał Morozofusa tak, jak mnie przekonał?

Antymorus. Nie przekonał go. W rzeczywistym życiu dyskusja nie kończy się tak gładko, jak w dialogach Platona. Słyszałeś najlepszą część moich notatek. Mogę ci oszczędzić reszty.

F. Może opowiesz mi przynajmniej, jak zakończyła się dyskusja?

A. Morozofus, który na swój sposób był bardzo zręczny, rozpoczął zaraz roztrząsać kwestję rzeczywistości przemiany, którą, jak mówił, Protagoras uznawał. Wiesz, jak trudno obalić argumentację tych krętaczy Eleatów, którzy nie chcą uznawać oczywistych faktów, stwierdzonych przez ogólne doświadczenie. Zanim Protagoras miał czas dość daleko włączyć się w swoje objaśnienia, ten młody głupiec Sofomorus przerwał mu i stanowczo zażądał od swojego ojca, aby wyjął kilka innych „różg”. Protagoras, dobrze wychowany, jak zawsze, musiał odpowiadać na różne subtelności, dotyczące prawdy i użyteczności. Subtelności te były z tego gatunku, który zowią dzisiaj sofistmatami, lecz które ściślej mygłyby być nazwane „filozofatami”, gdyż większą ich część wymyślili filozofowie.

F. Na czymże polegała kwestja, dotycząca prawdy i użyteczności?

A. Chodziło o to, żeby się dowiedzieć, czy — jeżeli zgodzimy się na to, że prawdziwe jest pożytecznem — Protagoras przyzna, że i pożyteczne jest prawdziwem, i czy w ten sposób jakiegokolwiek kłamstwo, służące do jakiegoś przelotnego celu nie będzie absolutną prawdą, lub też czy pojęcie „prawdy“ wogóle niema żadnego znaczenia. A na zakończenie Protagoras, zaznaczając, że gdyby był przyznał, że pożyteczne jest *zawsze* prawdziwem, byłby zmaszonym przyznać także i to, czemu *zawsze* przeczył, a mianowicie: fakt istnienia niepożytecznego poznania musiał dać Sofomorusowi lekcję elementarnej logiki.

F. A czy nigdy nie nauczyłeś się od Protagorasa, co my mamy według niego czytać, aby osiągnąć cel przez niego przeczuwany, tę harmonję, która jest absolutną rzeczywistością lub tę absolutną rzeczywistość, która jest doskonałą harmonją?

A. Protagoras nie uczył o tem dokładnie. Sądził on, iż danem mu było znaleźć tylko początek drogi, którą należy iść, a droga ta, mawiał, będzie długa i ciężka, i dostępna tylko dla silnych i dla odważnych. I chociaż wzywał nas *zawsze*, abyśmy w naszych poszukiwaniach postępowali się z zaufaniem wszystkiemi naszymi zdolnościami, jednak, zdaje się, najwięcej liczył na zwiększenie się *poznania* i zwykł był przeczyć, że może istnieć niepożyteczne poznanie, *gdyż każde poznanie, mawiał, jest środkiem opanowania rzeczywistości.*

F. Jakież to piękne! Nie rozumiem, jak możesz mówić o tych rzeczach z tak zimną krwią? Czemuż nie

głosiłeś hałaśliwie tej Prawdy Protagora po wszystkich miastach helleńskich?

A. I czemu zostałem kapłanem Dionizosa? Czyż ci nie mówiłem? Jestem stary, wnuku Eudory, a ty jesteś młody; lecz będziesz musiał dużo dłużej żyć odemnie, zanim uda ci się przekonać Hellenów lub Barbarzyńców, że należy myśleć o Prawdzie! Gdybym był tak postępował, jak chciałeś, dawno musiałbym korzystać z usług hellebory z Antycyry, aby uniknąć cykаты ateńskiej. Czy możesz się dziwić, że ktoś, kto tyle przecierpiał, woli słodką truciznę z Mandej?

F. Lecz w Mandej przynajmniej mogłeś rozpocząć. Co mówię! Możemy to jeszcze zrobić. Nikt w całym mieście nie jest lepiej urodzony, niż ty, Asklepiades, lub ja, Nelida. Nikt nie cieszy się takim ogólnym uznaniem. Nikt też nie dorównywa nam inteligencją. Czemuż więc nie mielibyśmy we dwóch przekonać Mandejezyków o tej nowej „prawdzie“, a nawet mogą nas za to obsypać zaszczytami?

A. Zaraz ci wytłomaczę, Filonousie, dlaczego to jest niemożliwe. A oto dlatego, że dla Mandejezyków „prawda“ leży tylko w winie i jest użyteczna tylko pod tą postacią; dlatego, że Asklepiadom nie jest przeznaczone wyleczyć ludzi z ich głupoty; dlatego, że jestem kapłanem Dionizosa, którego cześć, jak wiesz, znaczy becześcić się samemu i mniej niż komukolwiek wypada mi wprowadzać nowe kultury; dlatego, że Mandejezycy chętnie wybiorą Nelidę na swojego wodza, jeśli się o to postarasz, lecz ani ciebie, ani kogo innego nie będą cześć jako swego mistrza, gdyż nie dążą oni do prawdy, lecz do zwycięstwa.

F. Ależ ich zaszczyty nie mnie nie obchodzą. Nie

przywiązuję żadnej wagi do odznaczeń obywatelskich. Chcę żyć dla samej prawdy, abym mógł z niej korzystać sam lub z innymi.

A. Jeśli zdołasz, Filonousie. Lecz obawiam się, że Mandejezyey nie pozwolą ci. Zmuszą cię do tego, abyś umarł waleczną śmiercią patryjoty w jakiej głupiej potyczce z tymi gburami Trakami lub z dzielnymi obywatelami Stagiry. Co do mnie zaś — jestem za stary i muszę zacząć myśleć o tej długiej podróży do domu w Hadesie, do tego obskurnego karczmyska (pandokejon), gdzie wszystkich nas przyjmą, dobrych i złych, i gdzie nigdy nie jest pełno.

F. Filozofja twoja nie znalazła więc środka przeciwko obawie śmierci?

A. Nie znalazła, bo niema środka przeciwko umiłowaniu głupoty! Poznanie jest potęgą, poznanie jest życiem, a ciemnota jest śmiercią, prowadzi do śmierci i kończy się śmiercią. A ponieważ najliczniejsi zaw sze kochali ciemnotę i nienawidzili prawdy — więc i ja muszę niebawem odejść, bez poznania, ale nie bez urazy.

F. Sądysz więc, że nasza wizja Prawdy była tylko snem warjata?

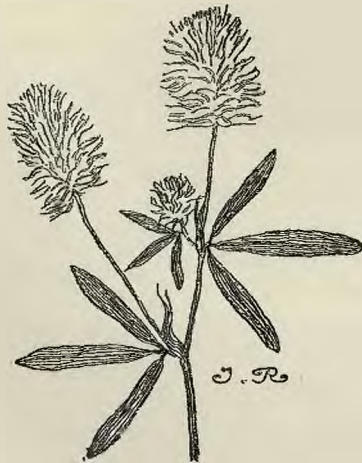
A. Usunąmy sny bezpłodne, jak i jawę rozpaczliwą! A jednak może sny są prawdziwsze od rzeczywistości, skoro to, co najlepsze, jest jednocześnie najprawdziwszem? Co mówię! Może to życie samo, w całości lub w części, jest złym snem. Lecz któż to wie? I po co się kłopotać? My dwaj nie będziemy tego nigdy wiedzieć. Urodziliśmy się o dziesięć tysięcy lat zbyt weześnie. Chodź

więc. Śpieszmy ku pociechom, jakie nam zsyła bóg, którego obsługuję, i wychylmy kilka szklanic najlepszego leku uśmierzającego!

FILONOUS SYN ANTINOUSA,

Nelida z Mandei.

(Z francuskiego tłumaczenia dra Jankielewicza*) angielskiego przekładu prof. F. C. Schiller'a z oryginału greckiego tłumaczył na język polski J. Kurnatowski).



*) *Études sur l'humanisme* par F. C. S. Schiller, traduit de l'anglais par le dr. S. Jankelevitch. Paris Alcan 1909. Rozdział XIV, str. 388—416.



KOMENTARZ DO POLSKIEGO PRZEKŁADU

DIALOGU „PROTAGORAS HUMANISTA“.

Rękopis, z którego przetłumaczono dialog „Protagoras humanista“ i „Dialog o bogach i kapłanach“, został znaleziony w starym kafereczku cynowym w ruinach świątyni Dionizosa w Mandeji, na wybrzeżu Trackiem. Mandeja (dziś Nowa Kassandra) leży na półwyspie Kassandra, jednym z trzech małych półwyspów, wrzynających się w morze z półwyspu Chalcedońskiego. Rękopis kończy się wzmianką, że dialogi te zawierają streszczenie dyskusji z Antimorusem, najmłodszym z kapłanów, w ostatnim miesiącu jego życia; że jest pisany ręką Filonousa, syna Antinousa, i ofiarowany przez niego bogom przed wyprawą na wojnę z Olintem.

Profesor Corpus Christi College (uniwersytetu oxfordzkiego), p. F. C. S. Schiller, nie wspominając o tem, czy sam dokonał przekładu, włączył obydwie dialogi, poprzedziwszy je wstępem p. t. „Papyrusy Filonousa“, w swoje dzieło „Study in Humanism“. Ja korzystam z francuskiego przekładu dzieła p. Schillera. Wstępu prof. Schillera, oraz „dialogu o bogach i kapłanach“ nie podaję w przekładzie, tymczasem przynajmniej. Dialog „Protagoras humanista“ wydaje mi się najważniejszym, zarówno ze względu na przeszłość, jak i na terażniejszość.

Ze względu na przeszłość, na historję filozofji, rzuca on nowe światło na Platona, Sokratesa i Protagorasa. Pomijając szczegóły biograficzne i chronologiczne, które prostaje w dialogu Antimorasa (czy Anti-moiros), mówiąc o teetecie Platona, widzimy że, że Platon (właściwie Arystokles, syn Arystona) odznaczał się głównie zdolnościami poety i dialektyka; Sokratesa maluje nam dialog, jako zręcznego sofistę, rozpastnego w życiu. Głębią myśli filozoficznej przetrasta ich obu Protagoras, uchodzący dotąd za sofistę. O Protagorasie wiadomo było dotąd bardzo niewiele. Jego główne dzieło „O prawdzie“ zostało skazane na spalenie, jako bezbożne, a jego

aforyzm „człowiek jest miarą wszystkich rzeczy“, który przetrwał do nas, nie dawał dostatecznego pojęcia o całokształcie jego filozofii. DIALOG zaś Platona, zatytułowany „Protagoras“, przedstawiał jego naukę w sposób zagmatwany i tendencyjny. Dzięki „papyrusom Filonousa“ dowiadujemy się istotnie po raz pierwszy, co chciał powiedzieć Protagoras.

To zaś, co chciał powiedzieć Protagoras, ma olbrzymie znaczenie nie tylko dla przeszłości, lecz i dla teraźniejszości.

Podobnie jak współczesny ewolucjonizm zwrócił się ze złości do starego Heraklita z jego *panta rej* *), jak współczesny hedonizm i neo-witalizm zwróciły się do Epikura, tak i współczesny *pragmatyzm* nawiązuje nie pomiędzy sobą a blizkim mu duchowo starym Protagorasem. Grecka filozofia jest jakby skarbnicą załączków współczesnych systematów filozoficznych, zarówno starszych, jak i najnowszych.

Pozatem, dialog „Protagoras humanista“ zawiera w sobie kilka zasadniczych myśli pragmatyzmu, i całe „Studja o Humanizmie“ prof. Schillera są jakby rozszerzeniem dialogu.

Podkreślam niektóre charakterystyczne ustępy.

„Człowiek jest twórcą prawdy, a prawda jest użytecznością i dobrocią“ (identyfikacja prawdy, dobra i użyteczności; antropomorfizm prawdy).

„Należy zbadać użytek, jaki robimy z każdej prawdy“ (jest to jakby pierwowzór słynnej pragmatycznej zasady Peirce'a, że „o prawdziwości i wartości danego twierdzenia rozstrzyga to, co z niego wynika dla jakiejś potrzeby ludzkiej“).

„Postępując różnie, postępujemy rozumnie, bo różnią się nasze doświadczenia“ (filozoficzne uprawomocnienie jaknajdalej idącej tolerancji, z zachowaniem poszanowania dla cudzej indywidualności).

„Przez jednakowe postrzeganie rozumiem tylko takie postrzeganie, które umożliwia wspólną działalność“ (jakie pobudki kierowały osobnikiem, decydując go na dany czyn—jest to rzeczą obojętną i niedostępną poznaniu drugiego osobnika. Dopiero czynem osobnik stwierdza, że „postrzega jednakowo“, jak wszyscy ci, którzy w spełnieniu tego czynu z nim współdziałali).

*) Wszystko płynie.

„Tożsamość jest skutkiem, nie zaś przyczyną wspólnego działania“.

„Nasze rozmowianie idzie zawsze od wspólnego działania do wspólnego postrzegania, nie zaś w kierunku odwrotnym“ (jeszcze Goethe powiedział: „na początku był czyn“. Rzaca się w oczy ścisły związek poglądów Protagorasa z współczesnym wolantaryzmem).

„Pierwiastki takie są połączone w pewien systemat, ponieważ nabrały one przyzwyczajenia do liczenia się ze sobą i ponieważ, postępując w ten sposób, czuły się lepiej. Może świat jest państwem, rządzone przez prawa, które są zwyczajami jego obywateli“. (Takie „zhumanizowanie“ wszechświata wynika logicznie z całej teorii. O „pierwiastkach“ sądzimy przez analogję z nami, przypisując im częściowo nasze zdolności. Prawa natury będą więc zaobserwowaną przez nas przeciętną przyzwyczajęń tych pierwiastków. Prawa natury obowiązują i sprawdzają się przez doświadczenie w przestrzeni, lecz należy wątpić, czy działają one w czasie. Prawa natury mogą podlegać ewolucji, jak i przyzwyczajenia, których są zaobserwowanym symbolem. Rozwinięciu tego niezmiernie ciekawego problemu prof. Schiller poświęca 18-te swoje studjum, p. t. „Liberté“).

„Odkrywamy świat, zrobiony dla nas“ (rozwinięciem tej myśli są właściwie prace H. Poincaré'go: „Nauka i hipoteza“, oraz „Wartość nauki“. Poincaré doszedł do podobnego wniosku na zasadzie wgłębiania się w matematykę, co jest tem ciekawsze, że matematyka służyła zawsze za twierdzą obronną przeciwnikom pragmatyzmu).

„Rzeczywistość, z którą ja mam do czynienia, jest rzeczywistością, którą znam i rozpoznaję dlatego, że moja działalność ją modyfikuje“ i dalej *„każde poznanie jest środkiem opanowania rzeczywistości“* (innemi słowami—rzeczy poznajemy tylko o tyle, o ile wchodzą one w zakres naszego oddziaływania. Myśl bez celu jest nietylko bezcelową, ale i bezmyślną. Owym celem zaś nie może być inna myśl, lecz czyn, modyfikujący rzeczywistość i znów z kolei zapładniający myśl).

Oczywista rzecz, że kilka tych łącznych awag nie wyczerpują zawartości myślowej dialogu „Protagoras humanista“, a tembardziej całego pragmatyzmu.

Jerzy Kurnatowski.



ELJAN.

JAK ODŁAMANA GAŁĄŻ...

Powieść.

(Ciąg dalszy).

VII.

Noc, która po tym dniu, pełnym wrażeń, nastąpiła, była dla Szymona straszna.

Zaledwie zamknął za sobą drzwi pokoiku na górze, rozpięta się w nim burza, o jakiej dotychczas nie miał pojęcia. Zmysły, krew, wola, rozum—wszystko to razem podniosło w nim krzyk. Zbantował się sam przeciw sobie. Powstał przeciw losowi, przeciw obowiązkom, przeciw obietnicom i przysięgom, przeciw ludziom i Bogu. Wyrwały się z głębin jego istoty potwory, wypełzły gady, i z wyciem i wściekłością szalały.

Ból fizyczny, ostry ból zatargał jego wnętrzościami. Gniew i żałość duszą jego zatrzęsły. Widma ohydne go otoczyły, powaliły bezwładnego na łóżko i zaczęły męczyć go i pięścić. Wstrząsał się ze wstrętem przed niemi, lecz poddawał się im z lubością. Pot zimny występował mu na czoło, serce biło głośno, krew kipiała,

ciało się przeżyło w dziwnej męce, ramiona same się rozwierały, ogień w nim płonął. Wił się w udręczeniu, a zarazem w rozkosznej tęsknocie.

A dusza wciąż płakała.

— To pokusa — myślał. Wiedział, że przyjdzie ona kiedyś musi. Lecz nie wiedział, że przyjdzie taka potężna i że go tak odrazu w swe szpony pochwyci. Pokusa! I święci przecie kuszeni byli. Bronili się modlitwą.

— I nie wódź nas na pokuszenie — wyszeptał.

Lecz nagle ujrzał w pamięci obraz, gdzieś niegdyś widziany. Pokusa ś-go Antoniego. Trzy nagie, przepiękne kobiety zbliżały się w uśmiechach do starca pastelnika. I oto przed sobą, tuż blisko je zobaczył. Trzy piękne, nagie kobiety... Pochylały się nad nim i z błyskami białych zębów śmiały się... i ramiona ich, białe atlasowe ramiona ku niemu się wyciągały, czuł miękkie dotknięcie ich rąk, czuł na ciele pieczętującą ich dłoń, czuł ciepło i zapach od nich bijące... Weźcie mnie...! — zawołał — I jedna z nich położyła mu się na piersi. Ujrzał tuż blisko przepaściste oczy czarne, i usta czerwone, ust jego szakające. Wyręczył się w ostrem, aż bolesnym uczuciu rozkoszy, już, już miał w niej atonąć... Aż znikło wszystko...

Marą była naga kobieta o przepaścistych oczach czarnych i czerwonych ustach.

I on był sam, sam jeden ze swem rozkołatanem sercem i płonąjącą w żyłach krwią.

Gdy się rozwidniło trochę i świtać zaczęło, Szymon wstał i wyszedł na balkon. Był zmęczony, rozbity i smutny. I wstyd mu było, jakby po dokonaniu jakiej wielkiej a tajemniczej zbrodni. I miał do siebie wstręt, jakby się czemś zbrudził. Zdawało mu się, że coś złego, bardzo złego popełnił, że cięży na nim grzech. Coś się z nim stało,

coś w nim przełamało się i ranęło w ciągu tej nocy samotnej. I nie mógł już on tak spokojnie patrzeć w to niebo przed sobą i słuchać głosu budzących się ptasząt.

Było mu źle, strasznie źle i ciężko. Czuł w sobie obecność grzechu.

Ale jednocześnie nie czuł ani żalu, ani chęci poprawy. Dawniej w seminarjum, gdy zgrzeszył, z całego serca za grzech swój żałował, korzył się przed Bogiem, o przebaczenie błagał, obiecywał sobie i Bogu, że już nigdy... nigdy...

A teraz nie.

Czuł w sobie myśli grzeszne i brudne. Lecz zarazem mówił do siebie: Inaczej być nie może! Po co mnie na to skazali? Ze świata mnie wykluczyli, okali w kajdany przysięg, bronią żyć życiem ludzkim i zwykłym. A oto natura głos swój podnosi.

I oto chcę, chcę żyć!

I tej chęci, tego parcia ku życiu nie już... nie nie ugasi. I będzie to pragnienie paliło go i żarło we dnie i w nocy, przez lata całe. Aż starość chyba je ukoi, starość niedołączna.

I młodość przejdzie w walec, na zgnębieniu w sobie tej żywiołowej siły, o której Hela mówiła: To jedno coś warte na świecie, dla tego jednego warto żyć, a poza tem niema nic, nie!

Och! zrzucić kajdany—i żyć!

Ks. Szymon sam się przeraził myśli swojej. Jakto, więc on, świeżo wyświęcony kapłan, już żałuje? I dla czego? Wiedział przecie, dzieckiem nie był, szedł z wolnej i nieprzymuszonej woli.

O, Boże! O, Boże! ratuj!

I znowu, jak dawniej, zdało się Szymonowi, że idzie wążką kładką ponad przepaściami, a przepaście bez dna, bez miary. Idzie i niesie w obu rękach skarb swój je-

dyny. Ale ręce ma drżą i nogi odmawiają posłuszeństwa. A głosy z przepaści wołają na niego, i nęcą, i wabią, i ściele się tam jasność, i wre życie, i rodzi się moc i wstaje czyn, i miłość — miłość cudna rozkwita. A on, samotny, iść musi dalej i skarb nieść, aż do bezpiecznego portu... Ale gdzież ten port? Miał nim być sakrament kapłaństwa. A namaszczenie otrzymał, przysięgę, złożył, łaski obiecane spłynęły, ale na dnie człowiek pozostał. Więc gdzież ten port? W niebie chyba... Aż w niebie? Ach, tak daleko! a kładka taka wązka, a głosy, wzywające z otchłani, takie słodkie i wabne!

O, Boże! O, Boże! ratuj!

Nagle postanowił: pójdzie do miasteczka, uklęknie przed proboszczem, wyspowiada się, wyzna wszystko i otrzyma rozgrzeszenie.

Rozebrał się, zimną wodą oblał się obficie, ubrał się na nowo, wziął kapelusz i poszedł.

Miasteczko było odległe o pięć wiorst, lecz Szymon znał drogę, bo raz jeździł tam z panią Głuszyńską na mszę. Poszedł więc śmiało przed siebie przez budzące się pola, pod pierwszymi promieniami słońca wschodzącego, a gdy na gościńcu spotkał wózek chłopski, ku miasteczku dążący, przysiadł się i za złotówkę prędko dojechał.

W plebańji zaledwie się budzono. Powszedni był dzień, żniwa w całej okolicy, więc i pewność prawie, że nikt księdza nie zapotrzebuje i do żadnych nabożnych praktyk nie zatekni. A proboszcz rad był wyspać się dłużej. Człowiek to był lat średnich, który wygodę lubił. Gdy się jednak dowiedział od gospodyni, że przyjechał młody ksiądz z Głuszyna i chodzi koło kościoła, czekając widać, aż otworzą, poruszył się żywo, nogi z łóżka spuścił, przetarł oczy zaspane i krzyknął na całą plebańję:

— Wicek! dawaj, błaznie, bity! a pędzej! I niech zakrystjan rusza otwierać kościoł! Nie marudź! Żywo

Po chwili do kościoła szedł, ziewając jeszcze i resztki senności otrząsając po drodze. Ale do spowiadania zasiadł aprzejmie, jak gościnnie gospodarz.

Zdziwił się jednak trochę, gdy mu Szymon swój grzech nocy abiegłej wyznał. Zrazu nie zrozumiał.

— Aha... więc tego... do dziewczyn chodziłeś, co?

— Nie, nie! Tylko gdy ogarnęła mnie pokusa, gdy nadeszły jakieś obrazy, wyobrażenia grzeszne, ja... ja się przed nimi nie dosyć broniłem. Owszem, rozkoszowałem się nimi... zatrzymywałem się myślą zbyt chętnie...

— E, daszo moja, to jeszcze nie. Bywa gorzej. Bywa gorzej. Cóż dalej?

Szymon zawahał się.

— A potem, myślałem... żałowałem, że kapłanem jestem... i to dlatego żałowałem, że... że ciężko mi wytrwać... w czystości... gdy widzę koło siebie zwykłych ludzi, naturę całą.

— Aha! Tak... Więc zazdrościsz im, daszo moja? No, cóż robić! cóż robić! Bywa to, daszo moja, z niejednym z nas. Bywa. Ot tak, na innych ludzi popatrzysz, kobieta... dzieci... dom rodzinny... zdaje się, raj na ziemi! A nam, nie można. Tłucz się, daszo moja, samotnie, jak ten palec, przez całe życie. No, cóż robić! cóż robić! Przywykniesz zczasem, ot, sobie to owo obmyślisz, i przywykniesz. Póki młody jesteś, daszo moja, to tak zdaje się, nie wytrzymasz. Bo i prawda, trudno nam, trudno! I mało który wytrwać może. Wiadomo, duch ochotny, ale ciało mdłe. Ale choć tam czasem co się i trafi, to i tak niema czego desperować. Pamiętaj, daszo moja, wszyscyśmy grzeszni, co tu gadać, wszyscy, co do jednego! Więc nie robić z byle czego wielkich rzeczy. Pan Bóg miłosierny, nad siły nie wymaga. A za-

łować, żeś kapłaństwa dostąpił, duszo moja, nie trzeba. Toż najgodniejszy stan, piękne powołanie, piękne!

Ale Szymon nie był zadowolony. Widział, że jego grzech zbyt lekko jest traktowany, a on go wciąż miał jeszcze na sumieniu, jak kamień olbrzymi.

— Ojeze — wyszeptał — ja się czuję takim grzesznikiem wielkim... Te zmysły moje... I żale, i bunt... i tęsknoty... To przecież także są grzechy.

— Skrupułał, widzę, jesteś, duszo moja. A to bardzo źle. Ksiądz nie powinien bawić się w skrupuły. Tak to tak, a nie to nie. I sprawa skończona. Gdzie niema złego czynu, tam niema i grzechu. Bądź spokojny, bądź spokojny! Gorzej bywa na świecie, gorzej! No, nie rozmyślaj nadaremnie. I jeśli nie więcej sobie nie przypominasz, duszo moja, to i dobrze. Mszy mojej wystuchasz, a potem możesz sobie także odprawić. Wzbudź-że teraz żal za grzechy. No, absolwo te...

Ks. Szymon nachylił się i gorąco się modlił. I nagle uczał, że ma wszelki ciężar spada z duszy pod rozgrzeszającą dłonią kapłana, że znów staje się lekki, czysty i dobry, i może znova wznieść myśl i serce do Boga. A gdy ukląkł w ławce przy ołtarzu i z twarzą, w dłoniach ukrytą, słuchał odprawianej przez proboszcza mszy świętej, coraz większy ogarniał go spokój, radość, i miłość, i wiara. A gdy wreszcie stanął sam u ołtarza, i nad kielichem i nad hostją pochylony, własnymi usty wywoływał cud, Boga z wysokości na ziemię sprowadzał, i z Nim się łączył przez Ciało i Krew, zdało mu się, że już nie jest człowiekiem, lecz czystym duchem, który wprost od tego ołtarza wzniesie się wysoko, wysoko, i u stóp tronu Bożego zasiądzie, i tam już pozostanie na wieki. I zdało mu się, że szczęście i miłość serce mu rozsadzą i wyzwolą go z ciężaru tego ciała i z ciężaru życia. Umrzeć w takiej chwili! Ostatnie wydać technic-

nie i ulecieć w górę, jak ptak! Ulecieć wprost na ojcowskie łono!

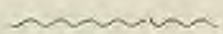
Ach! umrzeć...!

Ale nie był tego godny. Więc gdy, zdjawszy szaty kościelne, odmawiał w zakrystji dziękczynne psalmy i modlitwy, co chwila przerywał sobie i bił się w piersi, mówiąc:

— Domine, non sum dignus...

I nie mógł modlić się przepisaniem słowy, lecz sam własnymi modlił się do Boga:

— Chcę, chcę, Panie, ci służyć przez całe życie, i kapłanem być ci wiernym. Nie chcę grzeszyć nigdy ani czynem, ani myślą nawet. Ale Ty, Boże, zmiłuj się i nie pozwalaj na tak straszne pokusy! Bo ja słaby jestem i czuję, że ulegnę. Nie próbuj moich sił, o Boże, bo się boję... A nie chcę Ciebie zdradzić, i chcę być czystym i uczciwym. Więc daj mi Boże spokój i siłę. A pokasę oddalaj. Niech odejdzie odemnie... niech odejdzie.



VIII.

I odeszła. Ks. Szymon wrócił do Głuszyna uspokojony zupełnie, pogodzony z losem i pełen dobrych postanowień. Obawiał się samotności i nocy. Ale niet przyszła noc. Żadne mary się nie pokazały, zasnął cicho w swoim pokoiku, pod promieniami gwiazd, które przez szeroko otwarte drzwi balkonu w oczy mu zaglądały I tak też było dalej. Złe myśli, złe żądze odleciały na dobre i już nie wracały.

Tymczasem wśród pensjonarzy głuszyńskich zaszły zmiany. Pani Kranicka z Helą wyjechały. Doktor z ro-

dziną masiał wracać do miasta, studentów paru znikło. Kółko zmniejszyło się, tembardziej że i Andrzej Głuszynski do jakiegoś egzaminu zaczął się przygotowywać, zamknął się u siebie i nawet na obiady przestał przychodzić. Na opróżnione miejsce przybyło parę rodzin spragnionych wsi mieszczuchów, ale „dawni“ trzymali się razem.

Popołudniowe czytania trwały w dalszym ciągu, ale były już mniej liczne. Stale im przewodniczyła poetka Liniecka, profesor Szale, Dorszówna i parę pań brało w nich udział. Ale nowi goście woleli co innego. Szymon do tych czytań się przyłączył. Przyjęto go uprzejmie. Linięcką oddawna interesował ten młody ksiądz milezący i samotny, który zdania wygłaszał szablonowo-teologiczno-seminaryjne, ale którego oczy bardzo ciekawie i jakoś indywidualnie przyglądały się światu i ludziom, a uszy nastawiały się ciekawie do każdej nowej kwestji. Poza księżowskim szablonem odezwała w nim coś... coś ludzkiego, coś młodego, coś, co się rwało naprzód. Starła się go ku sobie przyciągnąć i skłonić go do poufnej rozmowy. Dorszówna, z którą stosunek jego stawał się coraz bliższym z powodu owych pogadanek i porad naukowych, okazywała mu również wiele życzliwości. I on coraz bardziej lgnąć zaczął do tych dwóch kobiet, i coraz mniej czuł się względem nich skrępowanym. Aż pewnego dnia, gdy o zachodzącym zmroku siedzieli we troje na werendzie, Liniecka rzekła nagle, patrząc na niego dobrze oczami:

— Tak niby blisko się znamy, a ksiądz nam nigdy o sobie nie powiedział. Proszę nam coś powiedzieć o sobie.

On się wzruszył tą prośbą. Mówić o sobie... Ach, jakże tego potrzebował! Jak mu się chciało przed jaką życzliwą duszą wylać wszystkie swe myśli! Więc zaczął

mówić, zrazu nieśmiało, potem coraz szerszej, o dzieciństwie swem, o rodzinie, o wsi, o młodości i latach seminaryjnych, wreszcie i o rodzicielskich dla niego marzeniach, o owej plebańji, której obraz majączył przed oczami rodziny, jako przystań szczęśliwa i nagroda za poniesione wysiłki.

— Ale mnie — kończył swe opowiadanie — nie to w głowie. Przyznaję, radbym zapewnić ojca i matce starość spokojną za to wszystko, co zrobili dla mnie. Ale przedewszystkiem, ja dziś... kapłanem jestem. I chcę... chcę z całej duszy być kapłanem prawdziwym, godnym i uczciwym sługą mojego Pana.

Zamilkł. Głowę podniósł, wzrok wypuścił w niebo daleko — i nagle wyrwało mu się z piersi głębokie, smutne westchnienie.

Chwilę trwała cisza.

Liniecka wglębiona w fotel, z nizko pochylonem czołem, maskała leciachno palcami trzymane na kolanach kwiaty. Dorszówna, z brodą na ręką opartą, milczała posępnie.

Aż nagle zerwała się.

— Och! nie mogę, nie mogę słuchać takich rzeczy! — zawołała gwałtownie — Toż jest zbrodnia! Wziąć duszę dziecka, i gnieść, i uciskać, i gwałtem w tę formę pecha! I związać na życie całe, i otamanić, i skrępować tak, aby już nigdy, nigdy wolna nie była. Ach, Boże! i to dziecinne, nieświadome dusze... do życia zrodzone, do wolności...!

Tętu jej zbrakło. Zamilkła.

Liniecka przemówiła powolnym głosem:

— Tak. To bardzo smutne.

— Niechby dorośli ludzie szli na księży — zaczęła znów Dorszówna — tacy, co wiedzą, co rozumieją, co

poznali już życie. Ale dzieci! Dzieci gwałtem do tego pchać!

— Ależ proszę pani — ujął się Szymon — tam niema żadnego gwałtu. My z wolnej i nieprzymuszonej woli... Jeszcze z seminarjum, kto chce, wystąpić może... Gwałtu niema...

— Ach, tak? gwałtu niema? A to wmawianie od lat najmłodszych: księdzem będziesz, proboszczem będziesz! A to odgrózenie murem wysokim od świata, od młodości, od ludzi zwykłych? A ten dozór przez dzień i noc, aby się jaka myśl obca nie wśliznęła? A to seminaryjne więzienie przez całych długich pięć lat, najlepszych lat życia, gdy się umysł rozwija, rozciekawia i szuka prawdy! To więzienie dla ciała, i dla duszy, i dla umysłu, do którego nie dopuszcza się ani promyka światła zzewnątrz! Ach, to nie gwałt? To nazwać można dobrą i nieprzymuszoną wolą? tę waszą wolę ku kapłaństwu, was, którzy nie domyślacie się nawet, czem jest wolność! Biedne duszyczki!

— Proszę pani — zaczęła powoli Liniecka — tak brać rzeczy arbitralnie nie można. Zastanówmy się, czy na tej biednej naszej ziemi nie oni właśnie są najszczęśliwsi, ci kapłani wierzący, żyjący zgodnie ze swoją wiarą i pewni nieśmiertelności, pewni wiecznej i niezrównanej nagrody w niebie. Pomyślmy! Któż z nas, inaczej wierzących, pochwalić się może takim szczęściem, takim spokojem?

— Tak, tak! — przytwierdził ks. Szymon!

— Ależ tu chodzi o prawdę! Przecież oni żyją w błędzie, w atopji! Łudzą się jakimiś nadziejami, wierzą w nagrodę i t. d. A to wszystko czemże jest? Bańką mydlaną!

Liniecka smutno pokiwała głową.

— Czy pani to wie napewno? Może pani dowieść, że oni się mylą, a że pani zna prawdę? Może pani?... A co! widzi pani. Dowieść i tego nie można. Tak, tak! Wszystko na tym biednym świecie może być prawdą, i wszystko może być kłamstwem. Niema nic pewnego.

— Jednakże... nauka... postęp wiedzy... — zaczęła Dorszówna. Lecz urwała. I była między tymi trojgiem siedzącymi na werendzie długa chwila milezienia.

— Tak, tak! — zaczęła wreszcie Liniecka, jakby mówiła do siebie, a palcami pieściła trzymane na kolanach kwiaty — dobrze ktoś tam powiedział: „Nie Bóg nas stworzył, lecz każdy z nas stwarza sobie Boga“. A jeśli ci — wskazała ręką na Szymona — stworzyli sobie takiego Boga, który im daje spokój i szczęście, to czegoż więcej potrzeba?

Dorszówna nie odrzekła nic. Wyprostowana, z rękami w tył założonemi, ze spuszczoną głową, przebiegała werendę wzdłuż i wpoprzek. Pod jej wielkimi stopami, w ciężkie buciki obutemi, podłoga głucho stękała.

Ks. Szymon patrzył na jej wielką, kościstą figurę, na jej dobrą twarz, na jej gładziutko i biednie uczesaną głowę, na szarą suknię, codzień tę samą, której jedyną ozdobą był biały kołnierzyk i mankiety, na te ręce trochę czerwone, grube i niezgrabne, na tę całą postać nie piękną, nie kobiecą, od której wiało jakimś ascetyzmem prawie zakonnym, i myślał: Jeśli ona nie wierzy w Boga i w życie przyszłe, to pocóż się poświęca? pocóż sobie odmawia wszystkiego? Dlaczego tak żyje, jak rzadko który kapłan? jak dążąca do doskonałości istota? I nie rozumiał tego.

Spojrzał na Liniecką. O, ta była inna! Poetka, filozofka, dach smatny, zniechęcony i niepewny. Czytał już niektóre jej utwory. Bóla pełne były i łez. Ale co za wznio-

słość! Jaki wysoki lot! Ta przecież wierzyć musiała. Bo inaczej... jakżeby...

I nagle spytał:

— Proszę pań, proszę mi powiedzieć wyraźnie. Bo ja nie rozumiem. Panie obie są zacne, dobre, poświęcające się, enotliwe, słowem, panie żyją po chrześcijańsku, nawet enotliwiej, niż wielu chrześcijan, prawda? Więc... jakże? Czy panie wierzą w Boga i we wszystko, czego nas Kościół Święty naucza, czy nie?

Oczy jego niespokojne i trwożnie pytające utkwily w twarzy Dorszówny, która stanęła przed nim poważna, prosta, silna. Milczała chwilę.

— Czy panie wierzą, czy nie? — powtórzył ks. Szymon pytanie, a głos mu drgał dziwną męką.

— Ja — stanowczo nie — rzekła Dorszówna.

— Ja... nie wiem... — szepnęła Liniecka, i rozłożyła ręce bezradnie. — Długie mam życie za sobą i dużo w niem przemyślałam. A teraz, stoję u jego kresu, nie nie mogę powiedzieć innego, jak: nie wiem. Nie wiem nic, nie nic...

I znova zapadło milczenie długie i ciężkie.

Ksiądz ukrył twarz w dłonie i myślał. Dziwne mu myśli przez głowę przechodziły. Wszakże oto ma przed sobą dwie dusze niewierne, a zatem potępione, a zatem skazane na ogień wieczny. Dwie ofiary szatana. O ile przed śmiercią się nie nawrócą, ma się rozumieć. Jedna mówi: stanowczo nie. Druga mówi: Nie wiem. Więc cóż? Potępione są, nie inaczej. One, te dobre istoty, o sercach kochających i myśli szerokiej. Potępione, bo nie wierzą w to, czego uczy Kościół Święty. Nie wierzą, a więc łaski nie mają, i wszystkie ich uczynki enotliwe i słowa dobre, i starania, i poświęcenia, i życie bez skazy, wszystko to nie nie jest warte. One są już szatańskim łapem. Boże! Boże! Czyż taką niesprawiedliwość dopuścić można?

Czyż wierzenie w taki absurd nie jest największą obrazą dla Twojej mądrości i dla dobroci Twojej? A jednak... Ks. Szymon porwał się za głowę. Myśli, zda się, rozsadały mu ją, jak podłożone miny rozsadzają skałę.

— Nie mogę... nie mogę... — wyjęczał.

A w tej chwili poczuł, że miękka, stara dłoń Linieckiej spoczęła na jego ramieniu.

Podniósł głowę i ujrzał nad sobą dobre jej oczy. Zdało mu się, że ona wszystko w nim dostrzega i wszystko rozumie. Chciał wziąć tę jej dłoń starą, która na jego ramieniu leżała, i do ust ją ponieść, tak, jak się matki rękę do ust niesie. Ale tego nie uczynił, i nawet zawstydził się sam przed sobą, że ma taka myśl przyszła do głowy. I wogóle, poczuł niezadowolenie z siebie i z rozmowy swej z temi kobietami. Poczuł, że oni, ksiądz, niewłaściwie postąpił, dając im wglądnięć do głębi swojej duszy, pozwalając im przypaść, iż miotają nim jakieś zwątpienia czy zniechęcenia. Im — kobietom świeckim, niewiernym, może już potępionym na wieki.

Nie, nie! Precz z rozrzewnieniem! On, kapłan, nie potrzebuje ludzkiej, a zwłaszcza kobiecej pomocy, ani współzucia, ani zrozumienia, ani roztkliwiań się żadnych. On, silny i świadomy, sam stać powinien, jak filar granitowy przed obliczem Pana. Sam... zawsze sam...

— Jak odłamana gałąź — zadźwięczał mu w głębi głos Heli.

— Nie! Jak filar granitowy — odpowiedział.

I wstał z krzesła, i ku wyjściu parę kroków postąpił. Lecz nagle, opanowała go trwoga przed tą samotnością, trwoga tak wielka, że zwyciężyć jej nie mógł. Ach! mieć kogoś swojego, kochającego! jakąś duszę sobie oddaną, jakieś miłujące serce, jakieś ramiona otaczające a troskliwe, w które by mógł ukryć swą zmęczoną

głowę! O, i nie być sam! sam jeden na szerokim świecie.

Jak liść oderwany z drzewa. Jak odłamana gałąź...

Wrócił na miejsce swe i milezał...

Aż Dorszówna mówić zaczęła.

— Ze stanowiska społecznego — mówiła — pewnie, że szczęśliwsi są ci, którzy wierzą, i odbierać im wiary nie trzeba i nie godzi się. Chodzi tylko o jedno. Oto, aby moralności nie utożsamiać z wiarą, bo z tego wypływają zatargi, fanatyzm i nienawiść. Gdyby raz uznali ludzie, że są prawa ogólne, z ludzkich potrzeb i natury wypływające, obowiązujące tu na tym świecie, a niezależne od tego, czy się wierzy, czy się nie wierzy w życie przyszłe, toby odrazu usuniętą została jedna z wielkich między ludźmi różnic, i od razu zapanowałaby większa między nimi zgoda. Wiara w to lub owo i wykonywanie tych lub owych przepisów przez wiarę nakazanych, stałoby się sprawą prywatną każdej oddzielnej duszy, nie widzielibyśmy tego monstrualnego gwałcenia ludzkiego ducha, jakie widzimy teraz, i miłość braterska z pewnością zapanowałaby na świecie. A teraz co?

— Ależ, moja pani! — odezwał się nagle gruby głos męski — Baniałuki pani prawisz, jak Boga Kocham!

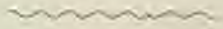
Pan Głuszyński stał we drzwiach, z cygarem w ustach. I, korzystając z przerwy, sam zabrał głos:

— A to mi piękna byłaby moralność, słowo daję! którąby się nie opierała na religii. Więc pocóż wtedy człowiek ma być uczciwym, jeżeli za to nie czeka go żadna nagroda? A! pani moja! Żeby nie strach piekła, tożby każdy szedł kraść, mordować, rozbijać! Ja pierwszy, jak Boga Kocham!

Dorszówna zaśmiała się trochę lekceważąco i usunęła się od dalszej dyskusji, jakby się jej zdawało, że z panem Głuszyńskim mówić poważnie niewarto.

Ale Liniecka podniosła z nad kwiatów zmęczone swe, wyblakłe a dobre oczy i rzekła:

— Nie, panie, to nieprawda. Marna mrówka ma już w sobie wrodzone uczucie braterstwa i jedności z gromadą, umie pracować nie dla siebie i życie swoje nawet oddać w ofierze, gdy trzeba. Jaskółki siostry swe bronią z narażeniem własnem. Bociany i żórawie mają swe prawa i swoją moralność. A człowiek by jej nie miał! Nie, panie! Nie groźba pickła i nie wiara w niebo powstrzymuje nas od mordów i kradzieży. Lecz owa tkwiące w nas, w najlichszym z nas dążenie do doskonałości, do postępu, do ideała, owa tkwiąca w nas z przyrodzenia — Miłość.



IX.

Wakacje miały się ku końcowi, i pensjonarze Głuszyńscy rozjeżdżali się na gwałt. Wracali nauczycielki do swych lekcji, uczniowie i uczennice do szkół, matki i ojcowie do codziennych trosk i do pracy. Jeszcze pięknie było na świecie, jeszcze ładna jesień polska zaledwie zaczynała malować drzewa i niebo wspaniałemi farbami swemi, a już wracać trzeba było do murów miast, do ciasnych horyzontów i do codziennego deptaka. Wzdychając, wracano.

Tylko ks. Szymon Broniez czuł algę na myśl, że wraca. Tu mu było coraz milej. Przez czytanie i rozmowy, przez lekcje z Dorszówną, umysł jego oświecał się i jakby się rozszerzał z każdym dniem bardziej. Ale też samienie miał coraz bardziej niespokojne. Zdawało mu się chwilami, że doprawdy skarba swego nie dość już pilnie strzeże.

Więc gdy po wielu pożegnaniach i obietnicach powrotu, i grzecznych słowach, i szczerze wzruszonych aściśnieniach dłoni, usiadł w kącie wagonu i znalazł się sam, gdy pociąg ruszył, on z głębi piersi westchnął, przeżegnał się pobożnie i szepnął: „Chwała Bogu, skończyło się!”

Skończyło się dziwne, grożące, a jednak czarowne niebezpieczeństwo, które w ostatnich dniach pobytu wzra- stało stale. Skończyła się ciągła pokusa dla umysłu, któ- ry się na wolność rwał i nie chciał, wprost nie chciał już starych formatek, tylko pędził sam na nowe drogi, i szukał, i badał, i głodnym zaczynał być tak, jakgdyby mu nie wystarczała dotychczasowa strawa. Pokusa dla serca, które się rozszerzało i ogarniało coraz więcej, więcej i nie chciało kochać tylko — swoich, lecz owszem i cudzych, i obojętnych, i odpadłych nawet objąć pragnęło, i tych, którzy żyli, i tych, co umarli przed wiekami, i tych, co się jeszcze urodzić mają, i to bez względu na to, kim są lub kim byli, i jakim się znamieniem odznaczali, i jakie od- prawiali obrządki, lecz wprost przez nagle zrodzony w nim kult dla ludzkości, dla jej siły rozrodczej, dla jej wszystko łamiącej energii, dla jej wspaniałego postępu, dla jej zwy- ciężkiego przez szeregi wieków pochodu naprzód, wciąż naprzód.

Pokusa ogromna. Niebezpieczeństwo groźne...

„Chwała Bogu! skończyło się!” powtórzył. I zaraz uczuł żal. I zdało mu się, że tam w cieniściej ogrodzie głuzyńskim, w lipowych szpalerach, nad brzegami je- ziora, na polach szerokich i nad strumieniem, co pod olehami szemrał, i w małym pokoiku na górze, gdzie pachniały lewkońje i gwiazdy nocami zaglądały, zdało mu się, iż wszędzie tam zostawił część swej duszy. I to nie tej, dobrze mu znanej, przez całe życie towarzyszącej mu duszy — lecz jakiejś nowej, młodej i świeżej, a ciekawej i jak ogień płomiennej, co się niedawno w nim naro-

dziła, i wyrosła, i wybijała już, i chciała żyć, żyć, i wiedzieć, i czuć, i sama naprzód iść.

A teraz część tej duszy została tam, pod lipami głąszyńskiego parku.

Żał mu jej się zrobiło. Ale rozumiał, że zabrać jej ze sobą tam, gdzie teraz będzie, nie może. Że mu tam taka dusza byłaby nietylko zupełnie niepotrzebną, lecz stanowiłaby ciężar. Że wystarczy mu tam najzupełniej ta dawna, posłuszna, wyuczona, karna i porządnie w formę ulana dusza. Tak, wystarczy najzupełniej. Bo teraz, wakacje się skończyły, robota czeka i nie do marzeń, rozmyślań i niepotrzebnych badań pora, lecz do pracy. Wiedział, że go teraz przeznaczono na wikarego do jednego z kościołów miasta, a potem pewnie na wieś gdzie wyszłą, a potem...

„Proboszczem będziesz....“ przypomniały mu się słyszane od dzieciństwa słowa.

Tak, proboszczem będzie. Będzie spowiadał dewotki, chrzczył i śluby dawał, i nieboszczyków chował, i z parafjanami targował się o każdą złotówkę, o każdą świecę, o każdą odśpiewaną modlitwę, o każdą prośbę do Boga, i będzie za miłe rable łaski z nieba sprzedawał i wiecznymi losami swych owieczek rozrządzał. A owieczki garnąc się będą do niego skwapliwie i bić mu pokłony, i przynosić mu w dani swe serca naiwne, i sumienia, i kieszonki otwarte, i zapasy gospodarstw swoich, i poddańczą pokorę. A on będzie brał i spożywał, będzie zbierał i zgarniał, gdyż panem ich będzie na tej ziemi i na tamtym świecie, przełożonym i królem nad nimi.

„Nie, nie! nie chcę!“ zawołał nagle w głos. I zerwał się z miejsca.

Obejrzał się, zawstydzony. Sam jeden był w przedziale, ale stropił się jednak i usiadł znowu nieśmiało. Zawstydził się. Skądże ten wyskok nagły i nierozsądny?

Co to jest, nie chcę—kiedy rzecz już się stała! Już jest kapłanem i tego już żadna na świecie moc przerobić nie potrafi. Więc i konsekwencje wszelkie przyjąć musi, zgodzić się z niemi i żyć.

A najlepiej zapomnieć, co najprędzej zapomnieć o tych wakacjach głuzyńskich. Zapomnieć o wszystkim, co tam słyszał, o wszystkim, co go rozeickawiło i wzbudziło w nim myśli nowe, myśli niedozwolone... O tych światach innych, które mu się ukazały, jak miraż... Zapomnieć! Ująć w karby umysł swój, nie dać mu szukać i szperać. A wprzęc w jarzmo i iść wytkniętą drogą, tą jedynie bezpieczną i pewną drogą, która tu na ziemi daje spokój sumienia, a tam w niebie — szczęśliwość wieczną. I już nie myśleć, nie szukać...

Wzrok jego padł na leżącą obok niego paczkę. Spojrzał na nią i odwrócił głowę.

Były to książki, które ma Dorszówna ofiarowała przy wyjeździe, książki naukowe, przeważnie podręczniki najelementarniejsze. Przypomniał sobie jej słowa, przytem wyrzeczone: „Niech mi ksiądz obieca — mówiła, patrząc mu w oczy przyjaźnie — że codzień choć godzinę poświęci nauce, nie byle jakiemu czytaniu, lecz nauce prawdziwej, tej, która sama dla siebie istnieje, bez żadnego ubocznego celu. Ksiądz, choć ma umysł wypaczony fatalnem uczeniem, mógłby jednak przy staraniu pójść dzielnie naprzód. Zdolności są, pamięć ogromna i niezłe, wcale niezłe objęcie. Szkoda byłoby takiej roli, żeby tylko chwastami miała zarosnąć. Niech mi ksiądz obieca. Ja w każdej chwili stażę radą, czy pomocą,—dodała. A gdy on, biorąc książki, rzekł poważnie: — „Przyrzekam. Będę się uczył. I pani dziękuję... za wszystko...“ widział w jej oczach wzruszenie. „I proszę koniecznie zajść do mnie czasem“ rzekła jeszcze — „porozmawiamy spokojnie, o wszystkim, tak, jak tu“.

„Dobra — ach, jaka dobra! — myślał teraz Szymon. I rękę położył na paczce z jej książkami. Niech tam będzie, co chce, a uczyć się będę“, rzekł nagle do siebie. Będę. Bo ona ma rację, ja nie umiem jeszcze nic z tego, co mi prawdziwie potrzeba. Nie! kapłanem jestem, a więc niby kierownikiem dasz i filarem społeczeństwa. No, i tak dalej! A czy ja znam ten świat i tych ludzi, którymi to mam kierować? Czy znam chociażby tak, jak znają tamci, młodszy odemnie? Czy ja wiem, co się dzieje, już nietylko gdzieś dalej, ale w moim własnym kraju? Kiedy czytam gazetę, to zaledwie coś nie coś rozumiem. Czy ja wiem, czego u nas ludzie chcą, do czego dążą, czego się obowiązują, o czym marzą? Czy ja wiem, co jest dobre, a co złe? Co popierać, a co nie? Nie nie wiem, nie! I dla tego taki Andrzej Głuszyński, nawet taka Hela śmieje się z moich argumentów. I mają rację.

Wstał i wyprostował się. I przyszło mu na myśl, że jednak przed dwoma miesiącami tego nie byłby powiedział. Była więc w nim zmiana. O, była zmiana głęboka!

Zmianę tę w sobie uczuł wyraźniej jeszcze, gdy się znalazł wśród dawnego otoczenia. Wysokie mury, ciasne podwórza, zimne i stęchłe powietrze korytarzy poklasztornych, brak słonecznego światła, brak szerokich powiewów od pól, brak szerokiego na niebo widoku, to wszystko rzuciło na niego jakby obłok czarny. Rozmowa z księżmi, dziś kolegami swymi, zdała mu się zrazu dziwnie nudną. Jednych zajmowały drobiazgi, głupstwa, pieniądze, posady, jakieś marne kwestyjki miejscowe, niesnaski, zmiany. Drugi, korzystając ze sprzyjających okoliczności, paszczali się na pole działań społecznych. Nikt z nich nie mówił i nie myślał o tych wielkich zagadnieniach, które przed jego daszą stanęły teraz jak znak zapytania.

Nikt o nich nie myślał i myśleć nie potrzebował, gdyż były one przesądzone od dawna. Po cóżby kto miał się nad nimi głowić! i wybijać otwarte drzwi, i Amerykę odkrywać?

A jednak... A jednak...

Z początku czuł się ks. Szymon Bronicz strasznie samotny między nimi.

Ale powoli to uczucie zaczęło ustępować. Powoli atmosfera kościołów i zakrytych ogarnęła go znowa, uspiła rozbudzone w nim życie. Dawna dusza się zbudziła, a ta nowa zaczęła drętwieć. Wyspowiadał się z grzechów i myśli złych, otrzymał absolucję i przy codziennej swej mszy zaczął usilnie prosić Boga o oddalenie od niego pokas.

Rozpoczęło się też wkrótce życie pracowite i pełne po brzegi rozmaitych obowiązków. Został wikarym przy jednej z parafji, a nad sobą miał proboszcza starego, mocno już schorowanego, który pracy podolać nie mógł i rad był jak najwięcej jej zepchnąć na młode barki. Chrząty, słaby, spowiedzie, chorzy, pogrzeby, śpiewanie sumy i nie-szporów, wszelacy interesanci, prośby i gospodarskie nawet zarządzenia zaczął więc załatwiać ks. Szymon, pod kierunkiem swego proboszcza. Dzień okazał się krótkim, coraz krótszym. Czas wypełnił się, jak czara po brzegi. Na sen, na wypoczynek, na książkę, na myślenie — coraz mniej, coraz mniej było miejsca. Czynności wciąż te same, giesty, sprawy, wyrazy do siebie podobne, myśli utarte już, przeżute po tysiąc razy, na których osiadła pleśń wieków, koło rozpędzone i kręcące się równo, jak w maszynie.

„Jak w pierwszej lepszej maszynie...” powtarzał sobie smutnie ks. Szymon, śpiesząc od jednej czynności do drugiej.

I wciągał się w swe życie — i godził się z niem.

I chodził w kółko, jak koń w kieracie, bez zapału, ale i bez banta.

Czasami tylko, późnym wieczorem, gdy pokończył wszystkie dzienne sprawy i zamknął się w swych sklepionych celkach, gdzie jeszcze jakby się tulały widma dawnych mnichów, otwierał okno i patrzył na podwórze poklasztorne w dole, otoczone renesansową kolumnadą, na którym rosło kilka suchotniejszych drzewek, i na kwadrat nieba w górze, gdzie świeciły gwiazdy. I wtedy myśl jego odrywała się od drobiazgów dnia i leciała w przestrzeń. I wtedy w ciszy nocnej, w samotności, wobec nieba gwiaździstego, dokonywało się w nim dziwne rozdzielenie. Duch wyzwalał się z ciała, otrząsał się z powłoki swej, zrzucał z siebie więzy i kajdany, odrzucał szablony i formy i sam, czysty, jasny i wolny, leciał się zatopić w morzu Nieskończoności. Leciał się połączyć z wielkim nieobjętym Duchem wszechświata, z Tym, który jest. Wtedy czuł wyraźnie w sobie samym, dokoła siebie obecność Jego. Nikła ziemia, nikło życie, znikwały stulecia, pokolenia przeszłe i przyszłe, zniknęło wszystko to, co obejmuje zmysły i rozum, wszystko, co działał czyn, wszystko, czego zapragnęła wola, a zostawał tylko Duch. Jawił się tej człowieczej lecącej ku niemu duszy, brał ją w siebie i ze sobą stapiał. I gdy wracała do życia i do ciała swego ta człowiecza dusza, jasna była, i cisza w niej wielka zalegała.

Były to szczęśliwe chwile w życiu Szymona. Lecz były to chwile rzadkie.

Zwykle, pomimo modlitw, sakramentów i ciągłego obcowania z rzeczami świętymi, obecności Boga nie czuł. Kościoły wydawały mu się najeczęściej pustymi, a słowa modlitw czezą formą. „Jest to objaw pospolity, oschłość serca“ pocieszał go jego spowiednik — „najwięksi święci przebywali takie próby. To szatańska pokusa, na którą

Bóg się zgadza, aby naszej stałości doświadczył. Bo jeśli dusza, pomimo braku pociech nie ulegnie — lecz owszem wiernie stać będzie przy Panu i nie ustanie w gorliwości swojej, to ją Bóg stokrotnie wynagrodzi i zesze potem niezliczone pociechy. Tylko wytrwać mężnie!

Więc ks. Szymon trwał. Swoje robił dalej gorliwie i sumiennie. Ale czuł wciąż, tam na dnie, trawiący go jakby głód. Robaczek—widać—tam się ulękł i choć mały żył i główkę czasem podnosił.

Razu jednego, przechodząc mimo księgarni, ujrzał ks. Szymon w oknie wystawiony drzeworyt. Ze skały urwistej, po nad przepaścią, zrywał się do lotu ze skrzydłami rozwiniętymi potwór cudowny—pół konia, pół młodzieńca. A do niego ucepciona, obejmując mu szyję, ustami lgnąc do jego twarzy, gotowa do skoku w przestrzeń bez dna, ufna w moc jego skrzydeł, cała podana naprzód, tylko jedną stopą dotykając ziemi, leciała z nim razem kobieta. W niej znać było oddanie się ślepe, zapamiętanie się, szal. Na jego twarzy nie było radości, ani uśmiechu, tylko oczy w górę wzniesione szukały czegoś daleko, usta bólem się krzywiły, włosy wstrząsały się i jeżyły, jakby wylekłe, i biła zeń, nie tryumf, nie nadzieja, lecz żrąca, ogromna, rozsadzająca duszę tęsknota. A tam przed nimi roztwierała się przestrzeń bez granic, góry, ziemie, skały, najwyższe szczyty zostały w dole, orły nawet dosięgnąć ich nie mogły, a oni rwali się wyżej jeszce, zawsze wyżej, ku nieznanym słońcom.

Podpisano: Chimera. G. Moreau.

Stał i patrzył. Dokoła szli ludzie, potrącając się na ciasnych chodnikach, tarkotały po braku wozy i dorożki, płynęła fala codziennej troski, pracy, starań i zabiegów, przesuwiał się szereg istot, zapatrzonych w ziemię i szukających na niej żeru, i przewalała się jakby mgła żądź poziomych, marnych, nizko się ścielących, szara, ciężka

mgła. A tu ze szczytów skał wylatywała w górę tęsknota, zrywał się potwór, co na dnie dusz spooczywa, Chimera ludzkości, jej niezaspokojone marzenie, jej piekąca ciekawość, jej nienasycony nigdy głód, jej wiara w coś lepszego, jej parcie się wciąż naprzód i naprzód, Chimera tajemnicza i smutna. Potwór cudowny, co nie daje usnąć biednym dzieciom tej ziemi, a z najwyższego szczytu jeszcze wyżej chce lecieć. Widzenie nieskończoności, może wspomnienie innych bytów, odwieczna i grozy pełna zagadka.

Ks. Szymon długo stał przed oknem księgarni, popychany przez przechodniów na wązkim chodniku. Stał i patrzył. Aż wreszcie wszedł do księgarni i drzeworyt kupił.

I odtąd co wieczór, zamknięty w swojej celi klasztornej, gdy już ukończył dzienne sprawy, i cisza zapanała dokoła, on otwierał szufladę biurka, wyjmował swoją Chimere i długie chwile w nią się wpatrywał.

A wtedy i jemu wyrastały skrzydła, i on się rwał do lotu, tam, tam, ponad szczyty, ponad ziemię, ponad orły, ku nieogarniętym wysokościom. Nikła ziemia, nikły stulecia, znikał czas, a on leciał się połączyć z Duchem wszechświata z Tym, który jest.

Nie przyznał się nikomu ks. Szymon do swych tęsknot i marzeń, i nie pokazał kupionego drzeworytu. Naga kobieta. Byłoby zgorszenie. A może uśmiechy dwuznaczne i przyjemne zacieranie rąk. „Che, che, pani moja. Ot jaki!” zdawało mu się, że słyszy głos księdza rektora. Wolał z Chimere pozostać sam.

W tych czasach, po wielu latach zastoju i apatji, budził się wśród miejscowego duchowieństwa ruch. Nowo przybyły biskup okazał się człowiekiem nadzwyczaj czynnym. Wierzący całkowicie w nadziemskość i boskie pośłannictwo Kościoła na ziemi, przejęty czecią dla każdej

myśli, która z Rzymu szła; nie uznając pozatem nic, i z całych sił pragnął dla tego Kościoła wielkości, potęgi panowania nad całym światem. To jedno było w pojęciu jego ważne. Wszelkie idee, wszelkie ludzkie ukochania, cierpienia, i dążenia nikły wobec tego jedyne go celu—Potęgi Rzymu.

Ale także i potęgi jego przedstawiciele. Ta była koniecznym wynikiem i dopełnieniem tamtej. Duchowieństwo, aby godnie Kościół reprezentowało, powinno być wszędzie na świeczniku, powinno brać wszystko, co się da, w swoje ręce, zagarniać każdy objaw społecznego życia, wszędzie być, wszystko dojrzeć, o wszystkim wiedzieć, i wszystkim po swojemu i dla celów swoich kierować. Nie, absolutnie nie, działać się nie powinno bez jego wiedzy, rady, opieki i dopilnowania. O, zwłaszcza dopilnowania! Ksiądz powinien się stać niezbędnym wszędzie, w rodzinie, w szkole, w ochronce, w szpitalu, w stowarzyszeniu zawodowym, w księgarni, w kółku samokształcenia, w dziennikarstwie, w politycznym zebraniu, w sklepie spółkowym, w teatrze amatorskim, w klubie oszczędności, w czytelnicy i w szwalni, w sali rzemiosł i przy rodzinnej uroczystości, a kolebki noworodka i a łoża konającego. Nie bez księdza! Nie bez jego cenzury i aprobaty! Nie poza kołem jego wiadomości i wiedzy! Poza Kościołem niema zbawienia. Poza księdzem, bez niego nie dobrego działać się nie może.

Tak postawiona zasada znalazła wielu adeptów i wśród księży i w społeczeństwie. W społeczeństwie zwłaszcza. Zgnębone, zbiedzone, i ogłupiane od lat wielu, nie nauczyło się ono sądzić, ani rozróżniać, nie umiało potrzeb swoich ani pragnień jasno sobie określać, z łatwością przyjmowało to, co mu dawało jakąkolwiek nadzieję i szło na lep obietnic i zaklęć, najchętniej widząc dobro w cudzie. Społeczeństwo chętnie reagowało na rozbu-

dzoną gorliwość duchowieństwa. Otworzyły się przed niem domy, serca, dusze i kieszenie, spadły wszelkie zapory. Weszło ono wszędzie — i zapanowało.

Przykład szedł z góry. Biskup stał się niezbędnym we wszystkich arystokratycznych domach miasta. Te, których nie stać było na biskupa, zaopatrywały się na gwałt w księdza. Tylko zupełnie wolnomyślnie i całkiem podejrzanym jednostkom robiły dalej swoje bez duchownego patrona. Tych było niewiele. Naogół czarna sutanna kapłańska awijała się wszędzie, a nad każdym objawem życiowym rozciągnęła się błogosławiąca lub wyklinająca dłoń duchowna.

Wśród duchowieństwa nowy prąd rozbudził nowe życie. Wprawdzie byli tacy, którzy przekładali po dawnemu spokój luby ponad wszelkie możliwe odznaczenie się i znaczenie w świecie. Ale młodsi, ambitniejsi, którym życie, schodzące na spowiadaniu dewotek, nie mogło wystarczyć, rzucili się z zapalem na szeroką arenę, która się przed nimi otworzyła i, przejąwszy się hasłem biskupa, „Nie bez księdza!“, działać zaczęli. Nie pytano się ich i oni też nie zapytali się sami siebie, jakie mają na to kwalifikacje? Kwalifikacji powinien być dostarczyć Bóg, w którego imieniu zaczęły działać się różne rzeczy. Otworzyły się szkoły, ochronki, przytulki, szpitale, szwalnie, koszykarnie, warsztaty ślusarskie, szewskie, stolarskie, patronaty, stowarzyszenia i żłobki. Zawięzały się kółka rzemieślnicze, robotnicze, służby domowej, szwaczek, praczek, pań, panien, uczących i uczących się, nawracających i oświecających, adorujących i pokutujących. Rozpoczęły się przeróżne praktyki naukowo-pobożne, rekolacje, dyskusje, konferencje, czytania wspólne, referaty. Otworzyły się nowe pisma. Zaczęły przerzucać się z rąk do rąk książki poważne, filozoficzne, treści społecznej i ekonomicznej. Ci, a zwłaszcza te, które dotychczas nie

prócz powieści nie miały w rękę, teraz pochylały czoła nad dziełami „O socjalizmie chrześcijańskim“ lub „O kasach Reiffeisena“, i przeczytawszy parę broszurek, wygotowywały wspaniałe referaty ku pożytkowi młodszych braci w Chrystusie. Widać było panny, które dotychczas mówiły tylko po francusku, dające lekcje języka i literatury polskiej i wykładające wzrastającym pokoleniom dzieje narodu. Widać było poważne matrony, które dotychczas nad Przeglądem Politycznym w gazecie zasypiały stale i błogo, rzucające się w tłum na zebraniach stronnictwa „chrześcijańsko - demokratycznego“, zainicjowanego przez Biskupa. Widać było solidnych obywateli, którzy grosz do grosza składali przez lat wiele i procent dodawali do procentu, a nigdy żadnem społeczeństwem nie zawracali sobie głowy, otwierających kieszenie swe i ogniotrwałe kasy na potrzeby powołanych teraz do życia instytucji. I widać było księży, którzy zaraz po wyjściu z murów seminaryjnych doskonale znali stan kraju, wszelkie warstwy jego mieszkańców, jego historję, stosunki prawne, obyczajowe, ekonomiczne, handlowe i przemysłowe, stawiali niezbite horoskopy na przyszłość, oceniali wszelkie ewentualności polityczne, rozcinali wszelkie węzły gordyjskie, w każdej dziedzinie wiedzy ludzkiej posiadali nieomylnie wiadomości, i już nietylko, że rozdawali lub odbierali szczęśliwość wieczną w niebie, ale tu na ziemi znali się doskonale na przygotowaniu farby do malowania, na podręcznikach do geografji, na kroju koszul i bluzek, na buchalterji i towaroznawstwie, na stylach architektonicznych i na higienie niemowląt. I sprawdzały się słowa Ewangielji: że dach, kędy chee, tehnie.

Ks. Broniez zrazu zajęty parafjalną pracą, a w chwilach rzadkiej swobody rad dorwać się do swoich podręczników naukowych, nie zwracał uwagi na to, co się wokoło działo. Stary proboszcz dbał tylko o swój spo-

kój i o zdrowie, i żadnych nadprogramowych zajęć nie pożądał, ani dla siebie, ani dla swego wikarego. Ale tak być nie mogło wobec ogólnej działalności, jaka się rozwinęła po wszystkich parafjach. Ulegając wyższej władzy, zgodził się wreszcie stary proboszcz, narzekając, gderząc i klnąc „nowe mody“, założyć przy kościele ochronkę, dla dzieci z parafji. Zaprosił do siebie paru znanych działaczy na tem polu—i odbyła się narada.

Najrząd wystąpił z długą przemową ks. Hosko, młody człowiek, znany ze swej bogobojności i życia asectycznego. Wiadomo było, że wszystko, co posiada, oddaje na cele „oświaty“, a będąc jeszcze wikarym, założył przytułek dla bezdomnych chłopców. Teraz, wezwany na naradę, z zapalem mówił o ukochanem dziele.

— Mam ich już stu dwadziestu, a codzień przybywa. Ot, i dziś przyprowadzono mi maleństwo może czteroletnie, matka leży w szpitalu, ojciec porzucił, a ten malec, nie mając co jeść, zebrał na ulicy. Przygarnąłem. Niech będzie. Ja nawet już nie pytam, z czego ich nakarmię, bo funduszów na to nie mam żadnych. Wczoraj naprzykład, nie mieliśmy ani grosza, a tu trzeba jednak coś dać zjeść..

— I cóż ksiądz zrobisz?

— A cóż, chleba wziąłem na kredyt, kartofli mamy jeszcze, kazałem ugotować i z solą jedliśmy przez cały dzień.

— Biedne dzieci! — rzekł ks. Żaliński, młody, przystojny mężczyzna, opięty w doskonale skrojoną sutannę.

— No, ale teraz jestem już spokojny. Wynałazłem sposób, że będzie wszystko dobrze. Oto urządziłem w dużym pokoju śliczną kaplicę i kupiłem obraz Matki Boskiej, bardzo pięknie olejno malowany. Około stu rubli kosztuje. Teraz już Matka Boska będzie musiała czuwać

nad moimi dziećmiakami i dostarczać im chleba, bo to jakby jej dom. Już teraz musi o nich myśleć.

Mówiłyby ks. Hosko dłużej, lecz proboszcz, którego to nadziło, przerwał:

— No, zebraliśmy się, więc powiedzcież mi teraz, jakże to się robi taka ochronka?

— Ach, to rzecz bardzo prosta — zaczął ks. Żaliński. Założył nogę na nogę i tłumaczył:

— Trzeba mieć pokój oddzielny naturalnie. Proboszczowi chyba łatwo o to w tych murach? No, i zapowiedzieć której niedzieli z ambony, żeby rodzice przyprowadzili swe dzieci, że się zakłada ochronka dla nich...

— Oni nie rozumieją, co to jest ochronka. A szkoła, nie można mówić — przerwał proboszcz.

— Wszystko jedno! Któżby tam wdawał się z nimi w tłumaczenia! Jak z ambony posłyszają, żeby dzieci przyprowadzić, to przyprowadzą — rzekł ks. Trojno, drugi wezwany działacz, posiadający wielkie zaufanie biskupa.

— Ma się rozumieć! U mnie, gdym raz tylko to ogłosił, to nazajutrz był taki tłum na podwórzu, że dobieć się nie mogłem do mieszkania. Oni nawet nie wiedzą, czego idą...

I ks. Żaliński wzruszył pogardliwie ramionami. „Był słówko powiedzieć... idą owczym pędem — prawdziwie jak owce...

— No, przypuśmy, więc cóż dalej? Mamy pokój i mamy tłum. Cóż dalej?

— Dalej — trzeba dzieci zapisać, naznaczyć godziny i niech przychodzą.

— Dobrze, ale cóż z nimi robić? Uczyć? A któż ich uczyć będzie? I czego?

— A no przecie musi być jakaś nauczycielka. A niech ksiądz wikary uczy religii!

— Nauczycielka? Proboszcz zamyślił się.—Przyznam się, że ja tych bab nie lubię. Zawsze tylko kłopot z niemi.

Ks. Żaliński i ks. Trojno uśmiechnęli się dowcipnie.

— Kłopot to kłopot!—Ks. Żaliński poprawił pięknie zaczesaną fryzurę. — Ale teraz takie czasy nastały, że bez nich nie zrobić nie można.

W tej chwili zaszła przerwa w rozmowie, bo wszedł do pokoju człowieczek mały i bardzo chudy, w wyszarżaną sutannę ubrany i, przywitawszy się z obecnymi, usiadł w ciemnym kąciuku.

— Ot, ks. Janowski nam poradzi—rzekł proboszcz, bo to praktyk.

— Ja... nie! Ja... broń Boże! Cóż... ja!—zapiszczał cienki głosik z kąta. I mała postać jeszcze głębiej zasunęła się w cień.

— Jak tam jest, to jest—zwrócił się do proboszcza ks. Trojno. — Ale w szkole, czy tam w ochronce, bez kobiety ani rusz! Któż będzie bachorom nosy obcierał, a kto ich nauczy abecadła? Kto? Tu musi być baba.

— Niech będzie baba—zgodził się proboszcz z westchnieniem. — Tylko uprzedzam, ja z nią nie chcę mieć do czynienia. Dam mieszkanie, dam pieniądze, a niech ks. wikary pora się tam z niemi. Bo ja ani tych nauczycielek, ani tych dzieci widzieć nie chcę.

— Oho! ksiądz wikary będzie bardzo rad!—zaśmiał się ks. Żaliński.

— To już jego rzecz—westchnął proboszcz i głębiej w fotel się zasunął.

Ks. Szymon dotychczas nie odzywał się prawie. Niespokojny i niepewny słuchał rozmowy starszych księży. Ale teraz do niego się zwrócono. Zmieszany, zaczął:

— Ochronka, czy tam szkoła, to owszem, bardzo dobra rzecz.—Doskonała! Tylko... trzeba ją umieć prowa-
dzić. Bo lepiej nie uczyć wcale, lepiej nie robić, niż

zrobić źle. A któż tu z nas ma o tem pojęcie? Ks. Hosko ma wprawdzie u siebie ochronę, ale tam chodzi głównie. jeśli dobrze zrozumiałem, o przytułek dla dzieci żebrzących. Mnie, przyznaję, chodziłoby o co innego, o danie dzieciom elementarnej, ale porządnej nauki, o oświatę. A o tem...

— Przedewszystkiem religja! — przerwał ks. Hosko. Religja — pobożność, katechizm...

— Ależ i religja nie przyjmie się bez jakiej takiej oświaty.

— No, tak. Czytać można nauczyć. Nie mam nic przeciwko temu.

— I czytać, i pisać, i początków przynajmniej arytmetyki, i choć trochę geografji—i choć trochę dać pojęć o przyrodzie, o historii kraju własnego.

— No—to już bardzo szeroki program.

— To jest najelementarniejszy zakres, na jaki można się zgodzić. Ja przynajmniej tak myślę—mówił ks. Szymon, zapalając się.—Ale wiem także, iż wprowadzić to w życie i robić porządnie—nie łatwo. Ja, przyznaję, zupełnie na tem się nie znam. Nie wiem, ani jak uczyć, ani z jakich podręczników, ani co po czem ma następować. Dzieci nie znam, nie potrafię tak odrazu zastosować się do nich. Jabył musiał sam popraktykować chyba przy dobrej szkole. Ja nie umiem nic. Jakże mógłbym taką ważną pracą kierować?

Księża spojrzeli po sobie. Mała postać wysunęła z ciemności ciekawą twarz.

— Ks. wikary skrupulat, jak widzę — zawyrokował ks. Trojno.

— Nie, weale nie skrupulat—odparł Szymon, którego drwiący jego ton trochę uraził — weale nie skrupulat. Ale ja mam sumienie i nie mogę się brać do tego, cze-

go nie umiem robić. Prowadzić szkołę! to przecież zadanie ważne i odpowiedzialne bardzo.

— Czekać nie możemy. Jego Ekscelencja kazał, żeby przy każdej parafii była ochronka — rzekł ks. Trojno — słuchać trzeba.

— Tak, w niedzielę po kazaniu zapowie się rodzicom. Niema rady.

Proboszcz, smutnie pokiwał głową.

— Ja kierować tem nie mogę — rzekł ks. Szymon. I naraz przyszła mu na myśl Dorszówna. — Ale — zawołał — mam myśl doskonałą! Znam tu jedną osobę bardzo wykształconą, społeczną, ona od lat kilkunastu zajmuje się oświatą, uczeniem dzieci. Ma wiele doświadczenia. Ją poprosić o kierownictwo! Przyjmie z pewnością.

— Któż to taki? — spytało razem kilka głosów.

— To jest panna Marja Dorszówna.

Na dźwięk tego imienia zapadła wśród zgromadzonych cisza. Spojrzeli po sobie wszyscy, proboszcz chrząknął znacząco. Ks. Trojno obrzucił Szymona badawczym spojrzeniem i westchnął. Aż wreszcie odezwał się ks. Żaliński chłodno:

— My takich Dorszówien nie potrzebujemy.

Szymon protestować nie śmiał, bo uczuł, że tu nie miejsce na to. Prawda! Ci ludzie „takich“ Dorszówien nie potrzebowali, tak jak nie potrzebowali uczeiwej roboty, gdyż wystarczała im w zupełności tandeta, byle na niej był ich własny stempel. Bo w całej tej sprawie o ochronkę nie o nią im chodziło, nie o dobro dzieci, lecz o wiele innych zupełnie postronnych względów.

Zamyślił się nad tem głęboko i smutno. I nie słyszał, co dalej mówiono. Aż ks. Żaliński zwrócił się wprost do niego:

— Wybiore księdzu jaką miłą, poczciwą panienkę, i przyszlę — mówił wstając — bo go już znalazła ta nara-da. — Możeby tę Karolinę — spytał ks. Trojny — co to wiesz kolega...? Ta czarna...?

— A... wiem, wiem... A cóż, może... Była przez czas jakiś u ś-go Marcina...

— I u mnie była — wtrącił ks. Hosko. — Bardzo, bardzo bogobojna panna...

— Tak. Bardzo dobra dziewczyna. Przyszlę ją jutro.

— A wieleż jej trzeba płacić? — spytał proboszcz.

— A no, nie wiem. Myślę, że jakie piętnaście, dwadzieścia rubli miesięcznie trzeba dać.

— Dwadzieścia! Zmiłuj się, kochany! Skądże ja wezmę! I tak już na mieszkaniu tracę... A opał, a światło. I to jeszcze dwadzieścia rubli na miesiąc! Nie, ja tyle nie mogę, nie mogę.

— Niech się proboszcz z nią potarguje. Może i piętnastu będzie dosyć.

— A zresztą, proboszczu — rzekł ks. Trojno — trzeba, żeby parafjanie sami się złożyli na ochronkę. Przecież to się robi dla ich dzieci. Zebrać składkę, naznaczyć tyle od bogatszych, tyle od biedniejszych, to i będą pieniądze. Inaczej nie można. Nawet dla zasady...

— Tak to tak! Święta prawda! Niech płacą! A to przywykną, że wszystko z naszych kieszeni... A nam i tak już coraz ciężiej żyć! Dawniej, bywało, jak otworzysz skarbonki, to sypią się półimperjały... A teraz, same miedziaki! Śmiecie takie, że i wstyd do ręki wziąć. Na kościół przestali całkiem dawać.

Aż z ciemnego kąta odezwał się głos:

— Niech płacą! Tak, tak! sprawiedliwie! Od czegoż oni są? Owieczki głupie! niech weinę swoją dają

pod nożycę. Niech dają. Tak, tak! Dobry pasterz umie dobrze strzyć. Che, che, che...

Wszystkie oczy zwróciły się na księdza Janowskiego. A on śmiał się przykro i ręce zacierał. Proboszcz machnął ręką, jakby się chciał od słów jego opędzić, a ksiądz Żaliński szepnął do księdza Trojny:

— Warjat!

Przez chwilę milczeli wszyscy.

Ks. Trojno rzekł wreszcie, zabierając się do wyjścia:

— Więc jakże będzie?

Szymon odważył się.

— Ja — rzekł — od kierownictwa usuwam się stanowczo i nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności. Lekcje religji, jeżeli trzeba, dawać będę, chociaż i o tem nie mam pojęcia, ale postaram się. Ale wszystko inne, cały zarząd, program, i tak dalej, kto się tem zajmie? Czy ta panna... Karolina... taka jest, że potrafi?

Ks. Żaliński uśmiechnął się.

— Ał, sprytna bestyjka. Może i potrafi...

A ks. Trojno dodał:

— Co niema potrafić! Nie święci garnki lepią... Ale, niechby tam dla pewności przychodziła jeszcze która, z pań, może z naszych Niepokalanych która, co? i niech nagłada. Dobrze? Jutro mamy sesję, mogą im powiedzieć, dobrze?

— Ale może i te panie Niepokalane nie mają pojęcia o uczeniu dzieci? Trzebaż kogoś kompetentnego — upierał się Szymon.

— E, księżę wikary! Dajcież pokój ze skrupułami! Dziś się na tem nie poznają...

— Co oni wiedzą! Co oni rozumieją! Bydło ciemne!

I znova cienki głosik zapiszczał:

— Tak, tak! Bydło ciemne! Śmiało możemy ich dalej ogłupiać. Oni się na tem nie poznają.

Ale na to z uniesieniem ozwał się ks. Hosko:

— Religji im potrzeba przedewszystkiem, religji! Mniejsza o naukę, byleby była religja! Byleby ich nauczyć Wiary!

— No, do widzenia — przerwał ks. Żaliński.

— Do widzenia — rzekł ks. Trojno. I zaczęli się żegnać.

(Ciąg dalszy nastąpi).





MARJAN ZBROWSKI.

STARY DOM.

P. Julji Malinowskiej

poświęcam.

*Na wielkim oceanie,
Co szumi Francji snom,
Maluje serce moje
Daleki w Polsce dom.*

*W pierścieniu lip go widzę,
W bieli drewnianych ścian.
Któż wie, jak dawno nad nim
Obłoki wodzi Pan?*

*W niskie mu okna patrzą
Kwitnące krzaki róż,
Wysmukłe malw anioły,
Gałęzie starych grusz.*

*Ganek w zielonym płaszczu,
Utkanym z winnych łóz,
Na białych wspart się słupach
I patrzy w słońca wóz.*

*W dziedzińcu jesion stary
Szumi i noc i dzień.
O dawnych szumi czasach,
Co wsiąkły w jego cień.*

*Tak rośnie mi w błekicie —
Na piersiach szumnych wód —
Kochany dom, daleki,
Dla serca mego cud.*

*Kołyszą się na falach
Dom, róże, małwy, sad.
Za nimi serce moje
Miłośnicie płynie w ślad.*

*I widzę: ktoś wstępuje
Na ukochany próg;
Ktoś młody, promienisty,
Ma w ręku złoty róg.*

*Na ganku rycerz staje,
Na złotym rogu gra —
Lśnią wody, dom mój płynie,
Jakò kwitnąca kra.*

*Nowa to pieśń rycerska
Z ganku starego brzmi,*

*Słucha jej wielkie morze
I szumnym wtórem grzmi.*

*O młodym śpiewa Bogu,
Co męski kocha czyn,
Radosne pieśni kocha,
Mężnym — nie liczy win.*

*O hufcach duchów, które
Niezlomną wolą tchną,
O przyszłych krwawych bojach,
Od których światy drgną.*

*Zwycięskie wieści wience
Radosny rogu głos.
Słyszysz, Ojczyzno moja? —
Twój to się śpiewa los.*

*Stuletnie zdejmiesz kiry,
Stuletni zmyjesz wstyd.
Słyszysz, Ojczyzno moja?
Widzisz daleki wid?*

* * *

*O, domie, domie stary,
Nie wie o tobie świat,
Lecz czarodziejskie jabłko
Twój cichy wyda sad.*

*Mchy są na dachu twoim,
Spróchniała przycieś twa;*

*Lecz przyjdzie budowniczy,
Co przycieś nową da.*

*A gdyby topór zimny
Twe ściany zburzyć miał,
Nie zginiesz, stary domie,
Na sercach będziesz stał.*

*Aż przyjdzie taka pora,
Dzień jasny, gwiezdna noc,
Że znów na dawnym miejscu
Staniesz na wiek, na moc.*

*Znów lipy cię otoczą,
Zakwitnie róży krzak,
U okien klękną malwy,
Radosnej ciszy znak.*

*Ja wtedy w chłodnej ziemi
Głęboko będę spał,
Wiatr cichy niepamięci
Nademną będzie wiał.*

*Cóż?... Losu nie odmienić —
Wszystko ma los i czas.
Lekka jest czasu stopa,
Szybko prześciga nas.*

*Ale zostanie po mnie
Niezlomnej wiary ton,
Że kiedyś w mej Ojczyźnie
Bohaterstw zagrzmi dzwon.*

*A jeśli to zostanie,
Niech idą kości w pył.
I bezimienny będę
W Ojczyzny sercu żył.*

*Tak to na obcych morzach,
Bijących w skalny złom,
Maluje serce moje
Kochany, stary dom...*





JADWIGA LIPIŃSKA.

S O N E T Y.

BEZ POWROTU.

*Codzień wieczorem stoję na tym brzegu,
Gdy fale płyną coraz bielsze, gładsze,
Myśląc, czy czasem twego żagla śniegu
Na horyzoncie mglistym nie wypatrzę.*

*I w zamyśleniu, na piaszczystym brzegu
Kreślę twe imię, zakłęcie najrzadsze,
Aż póki fala w cichym, sennym biegu
Pieszczotą swoją śladów tych nie zatrze.*

*I gdy tak muszę w wieczory półśnione
Czekać powrotu twojego samotnie —
Myśle, dlaczego tylekroć kreślone*

*Imię twe ginie zawsze bezpowrotnie,
A w mojem sercu, choć niewymówione,
Bolesnem echem oddźwięcza stokrotnie.*



NIEWOLNICA,

*Natarłszy usta karminem, a nardem
Ciało, w miedzianym lśniące się połysku,
Oczekująca łaski i uścisku,
Przyszła w milczeniu pokłonić się hardem.*

*W zapamiętaniu szła przemożnem, twardem
A w piorunowym czarnych oczu błysku
Tliła się iskra, tłumiona w ognisku,
Krzeszana w sercu rozpaczy oskardem.*

*Słodką jest zemsta, gdy spragnione usta
Napoić może nienawiść, krwi głodna.
W blaskach się mieni złotem dzięna chusta,*

*W której ukryta zbawcza, niezawodna
Szczypta trucizny... Panie, czara pusta...
Wina doleję... Panie, wychył do dna...*

ARTYSTA.

*Kochanki swojej kształt ryjąc w marmurze,
Daremnie pragnął czar cudnego ciała
Odtworzyć wiernie i wykraść naturze
To, co wybrance swojej łaską dała.*

*Albowiem zawsze w pożądań purpurze
Tonęła twórcza moc, artysty chwala,
Gdy niósł miłością ślepy wzrok ku górze
Na ów piedestał, kędy naga stała.*

*Więc zrozpaczony żelazne kowadło
Wielekroć ciskał o upartą bryłę.
Aż raz — szaleńczym ruchem pchnięte — padło*

*Na skroń kochanki, rozcinając żyłę.
A gdy jej ciało na marmur pobladło,
Ujrzał w niem boski wzór... i poczuł siłę.*





JILJAN OCHOROWICZ.

JAK POWSTAŁY PIERWIASTKI?

(Dokończenie).

Musimy tedy do poprzednich dodać jeszcze następujący wniosek:

Odstępy między w. a. pierwiastków, należących chemicznie do jednej rodziny, ale ewolucyjnie do różnych warstw, są stałe i wynoszą między 1) i 2) średnio 16, między 2) i 3) 42, między 3) i 4) 47, między 4 i 5) 89.

Co to znaczy?

Że te różnice są coraz większe w miarę głębokości warstw, to się tłumaczy tak samo jak powyżej, tem, że, ażeby się mogło wytworzyć coś odrębnego przy bardzo wysokiej temperaturze i przy bardzo wysokiem ciśnieniu, różnice muszą być większe, aniżeli przy niższych temperaturach i przy niższem ciśnieniu.

Ale dlaczego przy zachowaniu wskazanych stosunków liczbowych powstają podobne, gdy bez zachowania

tych stosunków powstają wogóle różne, bądź podobne, bądź niepodobne?

To jest najważniejszą tajemnicą gieny pierwiastków i to trzeba wyjaśnić.

Czy jest to już możliwem w obecnym stanie wiedzy?

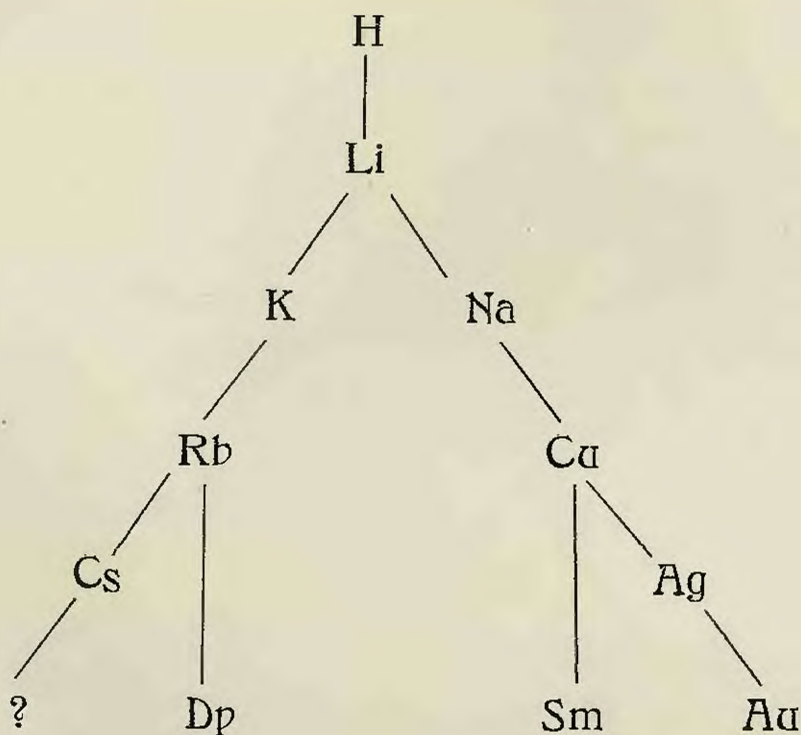
Jeszcze nie. Ale możemy i w tym względzie wypowiedzieć pewne domysły.

Ramsay, który szuka prawidłowości szematycznej w wagach atomowych, czyni to dlatego (podobnie zresztą jak wielu innych znakomitych chemików), iż wierzy jeszcze w możliwość wyprowadzenia wszystkich pierwiastków z jednego: z wodoru Prouta, albo z protyla Crookes'a. W innej swojej, wiele zajmującej, choć zbyt treściwej pracy, mianowicie we „Wstępie do chemji fizycznej“, zaznaczywszy, że hipoteza Prouta upadła w skutek nierówności cyfr, wyrażających wagi atomowe, dodaje: „Niemniej jednak jest rzeczą godną uwagi, że przeważająca liczba wag atomowych stanowi cyfry przybliżenie całkowite i że jest ich więcej, niżby z rachunku prawdopodobieństwa spodziewać się było można; być więc może, że o hipotezie Prouta nie wypowiedziano jeszcze ostatniego słowa, chociaż niewątpliwie w pierwotnej swej surowej postaci nie budzi ona już zaufania“.

Jednem słowem, Ramsay przypuszcza jeszcze możliwość wielokrotności wag przy powstawaniu pierwiastków i dlatego właśnie szuka jej w układzie perjodycznym.

Tej wielokrotności jednak niema; i chociażby ją przyjąć w pewnej liczbie wypadków, jako zasada ogólna wydaje mi się niemożliwą, ponieważ szukałem jej na próżno w najrozmaitszych próbach, a ta, jaką przedsięwziął bardzo pracowicie Morozow, doprowadziła go tylko do hipotetycznych *proto*-pierwiastków.

Bliższym już prawdy wydaje mi się „system gene-
tyczny“ Wilhelma Preyera, znanego fizjologa, który wpraw-
dzie także wyprowadza jedne pierwiastki z drugich, już
gotowych, cięższe atomowo od lżejszych atomowo, ale
przynajmniej za główny czynnik tej przemiany uważa nie
związki jednych z drugimi i nie prostą wielokrotność, lecz
zgęszczanie się lżejszych *). Tak np. jeden z „pni“ w jego
„drzewie genealogicznym“ pierwiastków, wraz ze swemi
„pokoleniami“ (Generationen) przedstawia się jak nastę-
puje:



Wodor więc, zgęszczając się, wydał według Preyera
lit, lit, zgęszczając się, wydał z jednej strony potas, z dru-
giej sod i t. d. Ale jakim cudem z wodoru mógł pow-
stać lit, z sodu miedź, albo ze srebra złoto, tego oczy-

*) W. Preyer: Das genetische System d. chemischen Ele-
mente. Berlin 1893.

wiecie nie objaśnia, bo to się objaśnić nie da. Trudność zaś objaśnienia polega nietylko na tem, że w. a. tych pierwiastków nie są wielokrotne, ale przede wszystkim na tem, że sod i srebro, (podobnie zresztą jak większość innych pierwiastków) posiadają własności skrytalizowane, ustalone, niezmiennie powracające i nie zdradzające najmniejszej skłonności do przeobrażeń. A to właśnie jest cechą charakterystyczną pierwiastków wogóle i to się sprzeciwia wszelkim hipotezom transmutacji bezpośrednich, w rodzaju tych jakie przyjmują Preyer i Morozow.

Czyż więc nie rozsądniej będzie, wobec tylu już prób bezowocnych, jeśli, (nie przesądzając zresztą dalszych odkryć) zamiast wyprowadzać jedne pierwiastki z innych już gotowych, czy to z jednego jak Prout i Preyer, czy z kilku, jak Morozow, poprzestaniemy tymczasem na zbadaniu warunków, w jakich powstać mogły lub musiały? A w takim razie należy zaniechać wszelkich naciąganych analogji z ewolucją organiczną i przestać mówić o „gieneraacjach“. Tylko nazwę „rodzin“ możemy zachować, ponieważ się utarła i ponieważ z góry wiadomo, że pojęcie to oznacza jedynie *wspólność pewnych cech*, nie przesądzając bynajmniej wspólności rodowodu.

Z punktu widzenia mojego układu gienetycznego, pierwiastki, należące do jednej rodziny, nie powstawały *jedne z drugich*, lecz *jedne obok drugich*, to znaczy równolegle. Dopóki twórczość była bujną, powstawały one współcześnie w różnych warstwach mgławicy i dlatego właśnie były różne, że powstawały w różnych warunkach ciśnienia i temperatury. Gdy zaś następnie twórczość osłabła, z powodu ustalania się i ujednostajnienia warunków, wówczas dopiero nie mogły już powstawać współcześnie, tylko kolejno; ale i wówczas niekoniecznie jedne z drugich, tylko jedne *po* drugich, jak np. po chromie mangan, po manganie żelazo, po żelazie nikiel, a po niklu

kobalt. Formy już ustalone trwały w dalszym ciągu, nie zmieniając się, lub zmieniając się mało,—inaczej bowiem nie mogłoby wogóle być mowy o „pierwiastkach“. Gdyby w danej epoce panowały warunki takie, że wodor mógł się zmienić na lit, lit na sod, a sod na miedź i t. d., to pytanie, jakim cudem jednakże wszystkie przetrwały do naszych czasów, a nie zostało z nich samo tylko złoto, po wytworzeniu się złota ze srebra, a srebra z miedzi? Przemiana nie zależała przecież od wolnej woli tych pierwiastków, tylko od nacisku warunków.

Otóż tego żaden system transmatacji gotowych pierwiastków nie objaśnia i objaśnić nie może. Nie objaśni nawet tej okoliczności, dlaczego w przyrodzie jest raz mniej, drugi raz więcej pierwiastków, niby macierzystych w stosunku do niby pochodnych.

Dlaczego np. więcej jest potasu i soda niż litu, a natomiast mniej złota niż srebra t. p. Są to, krótko mówiąc, fantazje co najmniej przedwczesne. Niech najprzód chemicy uporają się z rozkładem radu na hel — potem dopiero będzie można określić, czy są wogóle jakiegokolwiek dane co do pochodzenia jednych pierwiastków od drugich?

Dziś da się powiedzieć tylko co następuje:

- 1) że o początku materji wogóle nie wiemy nic;
- 2) że jeżeli istnieją różne gatunki materji, to mogły powstać albo wszystkie współcześnie i odrazu, albo też kolejno, po jednym, albo wreszcie częścią współcześnie, częścią kolejno i że to ostatnie przypuszczenie najlepiej odpowiada domyślnym warunkom naturalnym;

- 3) że różne gatunki materji mogły powstać tylko z takiej materji pierwotnej, która już miała w sobie dane do różnicowania się, ponieważ materja, bezwzględnie jednorodna i znajdująca się stale w tych samych warunkach, nie miała żadnego powodu do przeobrażania się. Chcąc przeto mówić racjonalnie o tworzeniu się pier-

wiastków, trzeba wziąć za punkt wyjścia nie sam eter kosmiczny w warunkach idealnej swobody drgań, lecz materję już ulegającą zgęszczaniu pod naciskiem krępujących jej ruchy okoliczności. Materję pierwotną w tym stanie nazywamy „mgławicową“ i podobne jak z niej wyprowadzamy bryły niebieskie, tak też i różne gatunki materji masimy z niej wyprowadzać;

4) że nie mogły one powstać na ziemi dopiero w jej pokładach geologicznych, ponieważ te same pierwiastki znajdujemy na słońcu i na innych ciałach niebieskich; że więc ową pierwotną mgławicę, ową pramacierz pierwiastków, masimy sobie wyobrazić jako olbrzymią masę, większą niż przestrzeń zajmowana obecnie przez nasz system słoneczny;

5) że okres czasu, w którym odbywała się ewolucja nieorganiczna, musiał być bezporównania dłuższy od okresu czasu, w którym odbywała się ewolucja organiczna;

6) że w tak olbrzymich granicach przestrzeni i czasu warunki musiały być różne, a tem samem że w różnych punktach przestrzeni powstawały jednocześnie różne gatunki materji;

7) że różnice tych warunków dają się sprowadzić do dwóch zasadniczych: ciśnienia i temperatury;

8) że jeżeli owa mgławica pierwotna ulegała ruchowi obrotowemu, to musiała mieć kształt mniej lub więcej zbliżony do sferycznego;

9) że przy takim kształcie warstwy peryferyczne były ilościowo większe niż centralne;

10) że w warstwach obwodowych musiała panować temp. stosunkowo najniższa i ciśnienie najmniejsze;

11) że więc już w stanie gazowym mgławicy musiały się różnicować stopnie zgęszczenia, odpowiadające różnym warstwom koncentrycznym, z maksymalną temp. i maksymalnym ciśnieniem w centrum;

12) że przy dalszym procesie zgęszczenia niektóre gazy zamieniły się na płyny i ciała stałe, gdy inne utrzymywały swój stan skrapienia, przynajmniej te, które się znajdowały w warstwach obwodowych;

13) że po rozpadzie mgławicy pierwotnej na ciała niebieskie, gatunki materji już powstałe zachowywały mniej więcej toż samo rozmieszczenie w warstwach obwodowych i centralnych, stosownie do swej gęstości;

14) że przy łatwiejszem rozkładaniu się brył mniejszych, gdy mogła już być mowa o zawiązku ewolucji organicznej, ta ostatnia musiała się znaleźć w ściślejszym związku z układem warstwowym, a mianowicie w ściślejszym z warstwami powierzchniowymi niż centralnymi. I w samej rzeczy, zestawiając pierwiastki, niezbędne dla istot żywych, z naszym układem gienetycznym warstwowym, widzimy, że większa ich część należy do warstw obwodowych. A mianowicie: wszystkie pierwszorzędne pierwiastki organiczne: C, H, O, N, Fl, Na, K, Si, S, Mg, Fe, P, Cl, Ca należą do warstwy 1), do 2) gdy się stała pierwszą, lub wreszcie do 2); z pierwiastków zaś organicznych drugorzędnych dwa należą do 1) w., trzy do 2) gdy się stała pierwszą, jeden do 2), dwa do 3) gdy się stała drugą, trzy do 3), dwa do 4), gdy się stała trzecią, tylko jeden do 4) i ani jeden do 5), żaden też z pierwiastków 5) w. nie jest przyswajany przez dzisiejsze rośliny i zwierzęta;

15) że gdy wzrost ciśnienia przeszedł pewną granicę, następowała zmiana, już nie tylko w masie, lecz i w samych atomach materji, i wtedy pierwiastki ustaliły się ostatecznie, to znaczy nawet pod wpływem wysokiej temp. nie zmieniały już swego stanu skrapienia atomowego i swego ciężaru atomowego, chociaż stan skrapienia masy, a tem samem i waga objętości mogły się zmieniać. Tak np. waga atomowa gatunku materji zwanego uranem stała się znacznie większą niż złota, cho-

ciężar właściwy złota jest większy niż uranu, a ciężar właściwy platyny jeszcze większy, przy niższej wadze atomowej. Byłoby bardzo trudno objaśnić te przejścia, gdybyśmy przypuścili, że gotowe pierwiastki przeobrażały się jedne w drugie; rzecz staje się natomiast możliwą do zrozumienia, jeśli przypuścimy, że gęstniejąca stopniowo, *ale jeszcze nicustalona w swym stanie atomowego skupienia* materja mgławicowa przeobrażała się przy mniejszem ciśnieniu np. w ołów, przy większem w uran, a przy jeszcze większem w platynę. Tablica układu gienetycznego objaśnia jednocześnie, dlaczego jednakże waga atomowa uranu (238) stała się wyższą nietylko od w. a. platyny (195), ale i od w. a. złota lub ołowiu, ponieważ w chwili gdy powstawał uran (w piątej centralnej warstwie mgławicy) do ciśnienia normalnego, dośrodkowego warstw górnych przyłączyło się stopniowo, i właśnie doszło do maximum, ciśnienie odśrodkowe wskatek rozprężliwości skroplonych już w centrum mgławicy gazów, przy maksymalnym wzroście temperatury. Maksymalne ciśnienie, przy maksymalnej temp. musiało wydać to, co wydało: atomy najbardziej zbite, ale jednocześnie niestałe—tem więcej niestałe, im krócej trwało owo wzmożone ciśnienie. I tu znów spotykamy się oko w oko z kwestją stałości i niestałości, tak ważnej dla gienety pierwiastków.

Nie olega wątpliwości (po odkryciu ciał promieniotwórczych), że pierwiastków musiało powstawać znacznie więcej niż się ich utrzymało. Powstały i wyginęły, albo nawet jeszcze powstają i jeszcze giną, jako niedostatecznie skryształizowane, niedostatecznie przystosowane do zmiennych warunków. I takie pierwiastki nie znajdują miejsca w kadrach układu gienetycznego, który obejmuje tylko formy trwałe. Być może, iż zezasem dojdziemy do wykrycia i tych praw, które rządzą przejściami; ale tym-

czasem mamy tylko do czynienia z prawem, określającym wytwarzanie się pierwiastków, mających warunki dłuższego bytu; a te warunki wyrażają się przedewszystkiem stałymi różnicami wag atomowych w różnych warstwach formacji.

Na szczególną uwagę zasługują te okoliczności, że przynajmniej w epoce bajniejszej kreacji, różnica jednej lub kilku jednostek wagi nie wystarczała do wytworzenia pierwiastków różnych, a jednocześnie pokrewnych, że musiały one być znacznie większe a mianowicie, że wynosiły, stosownie do głębokości warstwy, od 16—89 jednostek. Już to jedno wskazuje na istnienie jakiejś *wielokrotności ukłajonej* i zawiltej, nie takiej, któraby się dała wykryć przez proste samowanie wag dwóch różnych pierwiastków lub proste pomnożenie wag jednego. Hel, lit, beryl, bor, węgiel, azot, tlen i t. d., chociaż różnią się tylko o parę jednostek w. a., przedstawiają różnice chemiczne znacznie większe niż np. beryl, magnez, cynk, kadm i rtęć, różniące się o 16, 41, 47 i 87. W tym razie więc potrzeba było nagromadzenia się większych *różnic* wagowych, ażeby otrzymać większe *podobieństwo* chemiczne i tylko system *warstw*, tylko nasz układ gienetyczny usprawiedliwia tak niespodziewany wynik ten, że przy coraz to większem ciśnieniu i coraz to wyższej temperaturze, różnice wag musiały być również coraz większe, ażeby mógł się ustalić pierwiastek nowy a podobny i równie trwały.

Musiały istnieć i inne stopnie przejściowe, bo przecież owych warstw nie możemy sobie wyobrazić, jako oddzielonych chińskim murem, lecz przeciwnie jako złączone szeregiem przejść; ale widocznie te przejścia nie mogły wydać czegoś trwałego, czegoś ustalonego ostatecznie. Zmiany allotropowe, jakie spotykamy w węglu, siarce, fosforze i t. p., nie należą do tej kategorii, ponie-

waż nie są dość trwałe; i jeżeli np. Lockyer, jeden z najlepszych znawców analizy spektralnej, utrzymuje, że widma pierwiastków nie sprawiają wrażenia różnych gatunków materji, lecz tylko różnych postaci, różnych stopni tej samej materji, to uwaga ta, niewątpliwie słuszna w zasadzie, wymaga jednak zastrzeżenia, że owe różne stopnie, różne postaci, nie są tylko odmianami allotropowymi lecz czemś głębszem, czemś co właściwie mamy prawo nazywać różnymi *gatunkami* materji — różnymi gatunkami *jednej* materji.

Zachodzi tylko pytanie, jakie były przyczyny tych różnie gatunkowych? Czy samo zgęszczenie się, jak sądził Preyer, wystarczało do ich wytworzenia? Czy mógł np. lit (Li) powstać przez samo zgęszczenie się wodoru (H), a sod (Na) i potas (K) przez samo zgęszczenie się litu? Wątpię. Preyer załatwia się z tą kwestją sumarycznie; przypuszcza on, że nawet eter jest tylko rozrzedzonym wodorem, na co oczywiście nie ma żadnych wskazówek. Ale i zgęszczanie się lżejszych pierwiastków w cięższe jest wątpliwe.

Przedewszystkiem należy odróżnić trzy rodzaje zgęszczenia się, zasadniczo różne: 1) zgęszczenie się masy przez zbliżenie drobin, 2) zgęszczenie się drobin przez zbliżenie atomów i po 3) zgęszczenie się atomów przez zbliżenie się podatomów. Pierwsze nie wywołuje żadnych zmian chemicznych zasadniczych—jest to tylko zmiana fizycznego stanu skupienia, dzięki której gaz staje się płynem, płyn ciałem stałym lub odwrotnie. Rtęć np. daje się zamrozić zapomocą ciekłego powietrza i wtedy można z niej zrobić młotek, albo też można ją przez dystalację przeprowadzić w stan pary. W tym ostatnim wypadku osiąga się nawet skutek drugiej kategorii, ponieważ wtedy i cząsteczka rtęci rozpada się na atomy, to znaczy przechodzi w stan atomowy, pierwotny, w którym powstała.

Niemniej jednak nie przestaje być tym samym pierwiastkiem. Dopiero rozłożenie się atomów (Hg) na podatomy, mogłoby wytworzyć coś chemicznie odrębnego. Ale takiego wypadku nie znamy; przypuszczamy tylko, że gdy materia podatomowa skapiła się w atomy, wytworzyła między innymi i taki gatunek materji, jaki nazywamy rtęcią. Materia podatomowa, to znaczy ta właśnie, którą uważamy za „pierwotną materję mgławicową“, albo za „protyl“ Crookes'a, z tem wszakże zastrzeżeniem, że ów protyl nie był pierwiastkiem, w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu, lecz tylko *materiałem na pierwiastki*, niezawsze jednolitym, a tem samem nie był też ani wodorem, ani hellem, ani żadną inną *szdeterminowaną* postacią materji. Zatem nawet zgęstnienie materji podatomowej w atomową nie określa jeszcze — *jaki* pierwiastek z niej się wytworzył. A z drugiej strony nawet pierwiastek już ustalony mógł przedstawiać różne stopnie zagęszczenia, nie przestając być sobą. Tak np. wodór wolny posiada cięż. wł. 0,0763, zaś H wchłonięty przez pallad (Pd) zagęszcza się do 0,620 (Dewar). Węgiel w stanie czystego proszku grafitowego ma cięż. wł. 2,23, jako sadza: 1,88, zaś jako djament 3,518 (Roseoe) i tak samo jego objętość atomowa zmienia się w granicach od 3,3 do 8,0 (Petersen). Fosfor (P) czerwony jest gęściejszy (2,34), żółty rzadszy, a przytem niejednostajnie rzadszy (średnio 1,83). Gęstość arsenu (As) zmienia się w granicach od 3,8—5,7 i t. p. Jednem słowem samo zagęszczenie w tym stopniu, który wyodrębnia już różne pierwiastki, nie wystarcza jednak do wytworzenia nowego, pomimo, że nieraz pierwiastki niewątpliwie odrębne różnią się tylko w dziesiątych lub w setnych co do swej gęstości, np.:

Ruten (Ru)	12,0	Osm (Os)	22,477
Rod (Rh)	12,1	Iryd (Ir)	22,4

W żaden więc sposób nie możemy samego zgęszczenia się uważać za wystarczające do wytworzenia nowego pierwiastka. Możemy tylko stwierdzić fakt, bądź co bądź ciekawy, że niema dwóch pierwiastków o dokładnie i stale tej samej gęstości, podobnie, jak niema dwóch pierwiastków stałych o dokładnie tej samej wadze atomowej (wśród niestałych, radioaktywnych i dokładna równość w. a. jest dzisiaj przyjmowaną). Ale różnice mogą być tak małe, że w żadnym razie nie wystarczają do usprawiedliwienia różnych własności.

Cóż więc ostatecznie decyduje o różnorodności pierwiastków?

Mojem zdaniem jest tylko jedno przypuszczenie naturalne, z zakresu dostępnych dla nas czynników, mogące tę różnorodność objaśnić, a mianowicie *forma kryształiczna atomów*, czyli różny układ podatomów w atomach. Innymi słowy, ponieważ, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pierwiastki formowały się w stanie gazowym, należy przyjąć, podobnie, jak już przyjmujemy istnienie „kryształów ciekłych“, nadto jeszcze istnienie „kryształów gazowych“, polegających na różnym układzie podatomów, na *różnokierunkowości linii sił w formowaniu się atomów*, decydujących o różnym gatunku materji. Zrozumiemy wtedy, że nie prosta wielokrotność w liczbie podatomów, ale różna struktura atomu, czyli różny układ podatomów względem siebie decydowały o różnych własnościach, podobnie jak to się praktykuje i przy atomach i przy cząsteczkach, zwłaszcza w zawiłych kombinacjach organicznych.

Ten zaś różny układ nie zależał od samych stopni ciśnienia, lecz *od stosunku ciśnienia do temperatury*. Walczyły one ze sobą, jako wpływy przeciwne: skapiający i rozpraszający, dopóty, dopóki w pewnej kombinacji nie spowodowały takiego układu podatomów, który przed-

stawiał szanse trwałości, to znaczy większej odporności. Inne, nie ustalone, przy pierwszej zmianie warunków, rozpadały się na prostsze i stałsze. W tym wypadku są pierwiastki radioaktywne, ale z nich, jako z wyjątków *niedorobionych*, nie można wnioskować o wszystkich innych, wykończonych w fabryce przyrody i urągających wszelkim środkiem zmiany zasadniczej, jakie możemy mieć do dyspozycji.

Ażeby dać przykład, jak dalece zawiłymi bywały warunki tworzenia się pierwiastków, przedstawię w jakich okolicznościach, według tablicy układu genetycznego, powstały dwa pierwiastki drugiego okresu: złoto i węgiel.

Należą one do okresu najbujniejszej, najszybszej, młodzieńczej formacji, w której wszystkie pięć warstw mgławicy brały udział.

Złoto (Au) powstało w warstwie 5) najgłębszej — węgiel (C) w w. 1) najzewnątrzniejszej, więc w warunkach wprost przeciwnych. Ale warunki te zostały wyjątkowo zbliżone i związane ze sobą, dzięki kataklizmowi, na który rzucają światło szeregi różnych cyfr, tu należących.

Złoto powstało pod ciśnieniem trojakiego rodzaju: z góry, z boku i z dołu. Ciśnienie z góry można nazwać normalnem, ponieważ istniało stale w najwyższym stopniu w warstwie 5), jako uciskanej przez 4 górne, rozciągające się na miliony mil. Ciśnienie z boku było całkiem wyjątkowem, nigdy się bowiem więcej nie powtórzyło. Cyfry ciężarów właściwych wskazują na to, że powstało ono nagle od zewnątrz, w okolicy, w której miały się wytworzyć: węgiel (C), bor (Bo), a w części i beryl (Be) w w. 1), że przeszło akosem na lewo przez w. 2), gdzie się wytworzył glin (Al) i magnez (Mg), i dosięgło trzech ostatnich w części z cynkiem (Zn), a w całości z miedzią (Cu), srebrem (Ag) i złotem (Au), kierując się głównie ku

tema ostatniemu. Wrażenie jest takie, jakgdyby przy C mgławica macierzysta główna starła się z wielkim impetem z jakąś inną mniejszą, idącą w kierunku przeciwnym, i jakgdyby ta ostatnia przeniknęła przez wszystkie warstwy pierwszej aż do miejsca, w którym się miało wytworzyć złoto (w stanie przegrzanej pary). Zderzenie to dało refleks mechaniczny w kierunku przeciwnym, pod tym samym kątem, ale już z mniejszą siłą.

Trzecim wreszcie źródłem ciśnienia była prężność gazów od doła. Wolno się domyślać, że sformowane już w poprzedniej epoce, prawdopodobnie znacznie dłużej trwającej, w warstwie najgłębszej, b. gęste i ciężkie gazy, zaczęły się skraplać, i że nagłe podniesienie temp. (na które wskazują cyfry cieplika właściwego) wskutek owego zderzenia, zamieniło je znów na pary o wielkiej rozprężliwości.

Dzięki tym skombinowanym czynnikom powstał metal gęściejszy od wszystkich innych, do tej warstwy należących, ale zarazem metal miękki, wskutek tego, że i temperatura była bardzo wysoka; choć nie tak wysoka, jak przy powstaniu metali radioaktywnych radu (Ra), toru (Th) i uranu (U), przy których, jako maksymalna, przeskadzała ustalenia się atomów.

Gdy już proces zderzenia wytworzył złoto, ciśnienie nagle spadło, ułatwiając powstanie jedyne go metalu płynnego rtęci, a następnie spadając wolniej i przy niższej już temp., metali miękkich i łatwo topliwych: talu (Tl), ołowiu (Pb) i bizmutu (Bi). W warstwie zaś zewnętrznej w dalszym ciągu, gdzie już mechanicznego nacisku nie było, rozszedł się jednak jego skutek, jako podniesienie temperatury.

Węgiel (C) przeciwnie powstał pod wpływem jedyne go i to anormalnego ciśnienia, wywołanego owym starciem zewnętrznym. Rozpołowiło ono cały ten okres na

dwie grupy: elektrododatnią i elektrojemną, w których środku znalazł się węgiel. Było zaś podwójnie anormalnem, raz dlatego, że trwało krótko, wywołując szereg reakcji, tak co do ciśnienia, jak i co do temperatury, a powtórę ponieważ dotyczyło warstwy 1) ulegającej normalnie najmniejszemu ciśnieniu. Zaraz też po ustaniu kataklizmu nastąpił nagły spadek ciśnienia, wskatek czego zaczęły znowu powstawać gazy: azot (N), tlen (O) i fluor (F), poczem warstwa 1) znikła.

Wobec tych komplikacji, czyż podobna przypaść, żebyśmy kiedykolwiek mogli je naśladować, wytwarzając sztucznie złoto lub choćby tylko węgiel?

Nie należy wprowadzić nigdy przesądzać przyszłości, ale w każdym razie nie zanosz się na to.

Z powyższego wynika, że złoto powstało nie z miedzi i srebra, lecz samoistnie obok miedzi i srebra — i tak samo węgiel powstał nie z wodoru, jak chciał Preyer, ani nawet z sąsiadów swych berylu i boru, lecz również samoistnie, obok berylu i boru. Ale zawsze powstał z tejże samej materji mgławicowej. Więc może redakując jakikolwiek pierwiastek do stanu podatomowego, a następnie poddając tak rozrzedzoną materję odpowiednim warunkom ciśnienia i temperatury, moglibyśmy dojść do wytworzenia bądź złota bądź węgla?

Trzebaby do tego posiadać w ręku dwa sposoby: jeden na rozłożenie atomów, drugi na powtórne ich złożenie. Czy posiadamy pierwszy?

Zdaje się, że tak. Ponieważ przy maksymalnych rozrzedzeniach w rurkach Crookes'a, materja zdaje się rzeczywiście rozpadać na podatomy, tysiąckrotnie mniejsze od najmniejszych atomów najlżejszego pierwiastku wodoru (najlżejszego ze znanych dokładnie, bo być może,

że *coronium* jest jeszcze lżejsze). Przynajmniej faktem jest, że owe minimalne cząstki różnych metali, wypełniające rurek Crooke'sa i dające początek promieniom katodowym, nie zachowują już własności metali, z których powstały, lecz występują jako jedne i te same dla wszystkich ciał. (Według panującej dziś hipotezy mają to być *elektrony*). Ale chociażby tak było, pozostawałaby jeszcze druga część zadania: powtórne ściśnienie owych podatomów w atomy i cząsteczki. Jak go dokonać? Jak ściśnąć taką odrobinę materji, która pod tłokiem nie utworzyłaby widocznej warstwy? Trzebaby chyba mieć rurek Crookes'a niemożliwej wielkości, ażeby w niej otrzymać ilość podatomów dostępną dla naszych środków mechanicznych i fizycznych. A w dodatku, trzebaby jeszcze przy owem ściśnieniu naśladować warunki termiczne. Otóż węgiel, który powstał w temp. bez porównania niższej, niż złoto, powstał jednak niewątpliwie w stanie pary. Najwyższa temp., jaką możemy otrzymać w piecu elektrycznym, wynosi około 3500°. W tej temp. węgiel zaczyna się dopiero topić. Przypaśmy, że przy 4000° byłby już gazem. Ale złoto, jak wskazuje jego ciepłik właściwy, powstało w temp. jeszcze kilkakrotnie wyższej niż węgiel — a więc w warunkach zupełnie dla nas niedostępnych.

Jednem słowem układ gienetyczny bynajmniej nie podtrzymuje nadziei sztucznego otrzymywania złota — raczej objaśnia dlaczego, w obecnym stanie naszej techniki, jest ono absolutnie niemożliwem. Byłoby niewątpliwie znacznie łatwiejszem w zasadzie, gdyby istotnie, jak przypaszczął Preyer, złoto powstało ze srebra, a nie samoistnie przez specyficzną krystalizację atomów gazowych.

Reasumując wszystko, co powyżej powiedziałem,

dochodzimy do następującej odpowiedzi ogólnej, na postawione w nagłówku pytanie:

Pierwiastki powstały w warstwach mgławicy pierwotnej (tej samej, z której powstały ciała niebieskie), przy różnych stopniach ciśnienia i temperatury, przez równoczesne i kolejne zgaszczenia i krystalizacje podatomów w atomy, według stosunków liczbowych, zbliżonych do tych, jakie przedstawia tablica układu gienetycznego.





ANTONI AUSTEN.

WYSTAWA DZIEŁ ANTONIEGO GAWIŃSKIEGO

I MARJANA WAWRZENIECKIEGO

W Tow. ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

Urządzmy wycieczkę na wieś po dłuższem zamknięciu w murach miejskich, a przekonamy się, jak każdy człowiek głęboko kocha naturę, jak jej łaknie i jak się raduje z jej widoku po dłuższej rozłące.

Te radosne promienie słońca, lub mgła melancholijna, ta natura, budząca się na wiosnę do życia, lub obumierająca wśród złota jesieni: wszystkie te przejawy walki życia ze śmiercią, powstawania i zanikania nie tylko działają silnie na każdego człowieka, ale i odciskają niezatarte piętno na charakterze całych narodów.

Ze zmianą natury okolicy zmieniają się też i typy ludzkie. Pod jej wpływem przestają się zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne cechy człowieka.

Góral tatrzański, lub Karp apodobniają się tak w strojach jak i w nastrojach do otaczającej ich natury. Pierwszy tańczy „zbójnickiego“, dzikiego, jak skały granitowe, drugi jest eichy i skupiony, jak te ciemne bory sosnowe i jodłowe, w których mieszka. Za to w bujnej ziemi krakowskiej, wśród zielonych łąnów, wije się korowodem barwnie i wesoło szereg dziewczuch w chustach czerwonych, lub we wstążkach jaskrawych, a skoczna nuta krakowska idzie w zawody ze świergotem skowronka, wzbijającego się het, pod słońce!

Czyjeż oko nie raduje się tym górom i borom, tym łąnom i temu słońcu? Czemużby malarz, odtwarzający te cuda ziemi rodzinnej, miał być uznawany tylko za bezmyślnego przedrzeźniacza natury i nie mógłby być takim samym artystą, jak ten, co w formę pięknego słowa ajmaje tej samej kategorii wzraszenia?

„Któż zbadał paszez litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra.gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło paszez litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obec mu ich wewnętrzne serca tajemnie.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje“...

I ta bajka nęci niejednego artystę, który poza wrażliwością na zewnętrzne piękno natury, pragnie jeszcze sięgnąć głębiej i zajrzeć do jej duszy.

Wielu jednak sięga do niej tylko pozornie, ozdabiając swe banalne dzieła głębokimi, acz pretensjonalnymi tytułami. Dla tego na wystawach miewamy tyle „Nastrojów“, tyle „Symfoni“ fioletowych, żółtych, lub zielonych, a tak mało prawdziwego nastroja, prawdziwej symfoniji barw.

Odtwarzać w malarstwie to, co dla oka czyni wrażenie estetyczne, wystarcza, aby mieć prawo sięgać po sławę artysty; lecz umieć wypowiedzieć to, co własną duszę targa i co innych wzraszyć może, jest niewątpliwie podwójną zastagą. Wzraszenia te jednak maszą być szczere, prosto z serca płynące i wypowiedziane tak biegle w języku malarskim, to jest w formie plastycznej, jak je wypowiada poeta w słowach nietylko poprawnych, ale i wytwornych. Zaniedbanie formy szkodzić musi najwspanialszym pomysłom. I tu zaczynają się często bezsilne zmagania z trudnościami. Artysta, władający wyborną techniką, czasem niewiele posiada poza nią treści i na próżno ubiega się, aby tehnąć duszę w swe martwo-piękne dzieła.

Za to inny nie potrafi dla tej duszy ofiarować dość wspaniałej szaty zewnętrznej.

Zapełne opañowanie w swych pracach tych oba zasadniczych czynników dają nam dopiero mistrzowie. Twórczość Böcklina jest dobrym przykładem szczęśliwego połączenia twórczości kompozycyjnej bardzo fantastycznej, lub nastrojowej z wybornem, realistycznym oddaniem strony malarskiej. Oczywiście, że to wykonanie techniczne niekoniecznie musi być pojmowane realistycznie. w każdym jednak razie niezbędnem jest pamiętanie o tem, że środki malarskie, służące do wypowiedzania się, mają zawsze źródło w świecie plastycznym, fizycznym i zewnętrznym, i artysta, posługując się nimi, nie może być w zasadniczej sprzeczności z tym światem. Można stworzyć wyborny, imaginacyjny typ nieistniejącego człowieka-potwora, lecz nie można przedstawiać zwykłych kształtów ludzkich nieudolnie, lub błędnie wykonanych.

Te kilka uwag wypowiedziałem jedynie dla scharakteryzowania tych dwóch odwiecznych prądów w sztuce, w której raz bierze górę realna lub nawet naturalistyczna

prawda, drugi zaś raz fantazja lub symbolika nastrojowa.

Do takich artystów, dla których proste studjum z natury, choćby najlepsze, nie jest celem ubiegań się, należy i Antoni Gawiński.

Natura wykwinna, wrażliwa i subtelna, władająca wytwornie zarówno piórem, jak i pędzlem, labuje się w twórczości kompozycyjnej, dalekiej od czerpania motywów ze świata powszedniego i codziennego.

Gdy niekiedy artyści czynią wysiłki kompozycyjne, aby pokazać, że i ta dziedzina sztuki nie jest obca ich talentowi, a w granice rzeczy z tradem kompilują nieodczute reminiscencje, to Gawiński należy do tych, co komponują z wewnętrznej, żywiołowej potrzeby wypowiedzenia swych wrażeń estetycznych w formie malarskiej.

Do utworów, powstałych z bożej łaski, zaliczyłbym na obecnej wystawie przedewszystkiem „Taniec“. Łączy on w sobie te dwa zasadnicze warunki: trafnie odczuta i wypowiedziana myśl, oraz dobrze ujętą stronę malarską. Na barwnem tle kontrastowem jakiegoś ciemnego szpalera włoskiego z rozległym widokiem na miasto płąsa lekko i wdzięcznie łańcuch wykwinnych młodzieńców i nadobnych dziewic. Tradno lepiej upostaciować samą ideę tańca.

Również pełnymi wdzięku są drobniejsze obrazki p. t.: „Posłaniec miłości“ i „Spacer w ogrodzie“.

Tryptyk „Ucieczki do Egiptu“ jest dobrym, nastrojowo pomyślanym szkicem. Aniołowie, modlący się na bocznych częściach tryptyku, są bardzo szlachetnie pojęci, a wszystko stanowi dobrze zharmonizowaną całość.

„Cogito ergo sum“ to zapewne jedna z poważniejszych prac artysty. Przedstawia mężczyznę, zatopionego w zadanie. Otoczenie werendy obrośniętej zielenią jest

dyskretnie stylizowane, a jednocześnie dobrze markuje prawdę natury.

„Las Baby Jagi“ wprowadza nas w sferę fantazji trafnie odezutej pod kątem widzenia tych młodocianych umysłów, dla których powstał sam utwór.

„Lato“, „Melodja“, „Zabawa“, „Koło wrózek“ są harmonijnie pomyślanymi dekoracjami ściennymi lub szkicami do nich.

Wreszcie kilka postaci kostjumowych, jak np. dobry w charakterze młodzieniec z „Listem“, kilkanaście szarż humorystycznych i parę studjów pejzażowych, składają się na bardzo zajmującą całość z górą trzydziestu płócien.

Wystawa ta niewątpliwie stwierdza nowy krok naprzód w twórczości artysty. Talent jego ciągle dojrzewa i, nie tracąc nie z dotychczasowej fantazji kompozytorskiej, oraz idealizowania uczuć, rozporządza coraz swobodniej i bogaciej barwą i formą klasyczną.

Również dalej poza świat realny sięga Marjan Wawrzeniecki, ale gdy Gawiński jest poetą i pragnie odtwarzać wdzięk życia, to Wawrzeniecki filozofuje i chce pokazać, jak życie ludzkie uczynili okropnem sami ludzie.

Wawrzeniecki przemawia językiem symbolów, stworzył własny świat, własne typy i własną formę malarską. Naturę, którą czuje dobrze i którą, gdyby chciał, umiałby odtworzyć z całym realizmem, wołał po swoim pręstyliżować. Zdawałoby się, że artysta, który uważa za swój cel główny wypowiedzenie jakiejś myśli, lub głębszego bólu, mógłby łatwo zapomnieć o stronie czysto malarskiej i dekoracyjnej. U Wawrzenieckiego niema jednak tego zaniedbania. Przeciwnie, stara się wszystko zharmonizować w barwach i uczynić po malarsku ciekawem, a tak blizkie, jak obecne, zestawienie prac jego z pracami Gawińskiego wykazuje poglądowo, jak do tego

samego celu, to jest do harmonii barwnej utworu można dochodzić wieloma wręcz odmiennymi drogami. Wiedza archeologiczna pozwala Wawrzenieckiemu odtwarzać przedlegiendowe czasy takimi, jakimi były, lub jakimi byłyby mogły być. Zwykle jednak i w tych tematach przebiega tendencja do nawiązywania nici alegorycznej między przeszłością a teraźniejszością, między tem, co mogłoby się stać, a tem, co się niestety stało. Wymownym tego dowodem są trzy obrazy większych rozmiarów pod ogólnym tytułem: „Tryptyk słowiański“. „Uroczysko Światowida“ jest również ciekawym i barwnym przyczyńkiem do czasów prastłowiańskich.

Lubi też Wawrzeniecki sięgać do obyczajów asyryjskich, jako symbola bezwzględności, okrucieństwa i przewagi skamieniałego systemu nad indywidualnością słabej, bezbronnej jednostki. W obecnym zbiorze widzimy tylko jeden obraz z tego zakresu.

Ale czy to będzie Asyrja, czy Słowiańszczyzna, czy też Średniowiecze, to osią kompozycji jest u Wawrzenieckiego przeważnie myśl przewodnia ujawnienia, że świat jest królestwem panowania głupoty i okrucieństwa nad uczuciami bardziej ludzkiemi.

Z tego źródła zdaje się wypływać najdłuższy szereg kompozycji, ilustrujących różne praktyki średniowiecza, jak: „Pławienie czarownicy“, „Wyświecanie upadłej“, „Średniowieczne kary klasztorne“ i t. p. Do tej grupy należy też „Prowadzenie na stos“, ujęte może najbardziej obrazowo.

„Życie“, niosące ciężki krzyż pod górę, i „Mój zakątek“, gdzie wśród pięknego, ale pastego pejzażu, odłamy skalne tworzą jakby katedrę, skąd mogłoby rozbrzmiewać słowo ludzkie, gdyby były uszy ku słuchaniu, są po malarsku wypowiedzianemi słowami pesymizmu, przechodzącego w sarkazm w „Adoracji chochołów“, cienkich

i płaszczących się przed takim samym, jak i one chochołem, ale grubym i nadętym.

Trudno sobie wyobrazić wystawę Wawrzeńckiego bez ulubionych przez niego smoków. Nie są to tematy powtarzające się, choć pozornie podobne.

Każdy smok Wawrzeńckiego jest inaczej pojęty i ma swoją własną indywidualną fizjonomję. A więc jeden jest czujny, ale spokojny i flegmatyczny, jak przystało na wiernego stróża „Śpiącej królowny“; inny zaś jest wściekły i gotowy do napadu, gdy oplata swą „Ofiarę“. Każdy z nich należy do całkiem innego gatunku stworzeń i jak orzeł niepodobny jest do sowy, choć oboje są ptakami, tak te smoki, należąc do fantastycznych płazów, są całkiem odmienne. Smoki Wawrzeńckiego niezależnie od swej indywidualności są doskonale po malarsku pojętymi cielskami węzowemi o przebogatych barwach drogich kamieni, zawsze bardzo dobrze zharmonizowanych.

Na wystawie obecnej nie widzimy działu, w którym Wawrzeński celuje, a mianowicie działu winięt, rysowanych piórem. Pokrewnemi pod względem techniki są tylko dwie nieduże kompozycje p. t. „Średniowieczne kary klasztorne“.

Prace Gawińskiego i Wawrzeńckiego, choć kontrastowo różne pod względem języka malarskiego, w jakim są wypowiedziane w nich myśli, pomimo, że i sfera wrażeń u każdego z tych artystów jest inna, jednak bardzo dobrze z sobą harmonizują i dopełniają się w jednej i tej samej sali wystawy.





ANTONI GAWIŃSKI.

MALARSTWO EDWARDA OKUNIA,

Muza Edwarda Okunia z dalekich przychodzi krain. Ojezyczną jej jest słońce i jego radość, turkasy słodkiego morza a przejasknych, gorących brzegów... Wzrok artysty umie wypatrzyć i wypieścić całą precyzję kształtu prześwieconego przez słońce; przebywając we Włoszech, stamtąd czerpie motywy do większości swoich obrazów. Wydarzają się jednak odstępstwa w temacie, przecież nie w duszy, która obraz wypełnia... Dla przeciętnego widza stanowi to różnorodność, dla kogoś, co pragnie twórczość Okunia poznać głębiej, to tylko namacalne świadectwo o jego jednolitości.

Jak się miałem sposobność już wyrazić gdzieindziej: Okuń jest urodzonym Felibrem, nie umie malować w mrokach... Dziedziny, których nie ogląda słońce i nie zalewa falą swojej jasnej radości — są mu obecne i jakoby odporne.

Jest to wykwiniony rozdawca wdzięku, maluje krótkie canzony, sonety, ritornele, gdzie forma nierozdzielnie

spaja się z ich ostateczną i prawdziwą istotą; i wszystko tam jest skończone, zgodne i zamknięte jak w rym. Żadnego niedomówienia i chaosu. Gdzie śpiewa o róży, nie złoży pędzla, nie kończąc wyuczlowanej po złotniczym piosenki. Jest to pogodny i wytworny słoneczny *orafa*: niema w nim jednej iskry duszy północnej, nie słowianin to, ani ponary trawer — Romańczyk prawowity i nieskażony.

Gdy dotknie innych stran, tworzy muzykę nie swoją; i nawet w sprawach rycerskich i pozornie — po literacku — trubadurowych, nie jest właściwym sobą; jest nim tam, gdzie może *całość* bezwzględną zawrzeć w swej kompozycji, gdzie jego pracowity, sprawny i chybki pędzel może wyłomaczyć sprawę — po malarsku. Albowiem łąciński ten temperament i dusza obce są wszelkiej *mgle* — bodaj nawet tęczowej — domyślników i niedomówień...

Jest wymownie oryginalny i własny jako kompozytor, jako technik, wyszkolony do niebywałych u nas granic, jako malarz polski — chyba najpracowitszy.

Jeżeli się nie mylę (a pamięć miewam dobrą), to obecna wystawa warszawska Edwarda Okunia, była już *czwartą* z kolei wystawą kolektywną tego oryginalnego malarza. Pierwsza odbyła się w niezapomnianym salonie Krywulła, a trzy następne (łącznie z ostatnią) już w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Wszystkie imponowały odrębnością wytwornego a silnego talentu, oraz wielkim zasobem pracy, czyli żywiołem bardzo rzadkim we współczesnej twórczości naszej... Pierwsza wystawa była z natury rzeczy niezrównoważona jeszcze ale już bogata. Z drugiej pamiętam dobrze prześliczny obraz z nagą dziewczyną i kózką u studni (motyw włoski). Na trzeciej było wiele pięknych i doskonale rozwiązanych kompozycji — niezależnie od owych wystaw zbiorowych pojawiały się obrazy tak wybitnie różne od ogólnego po-

zioma twórczości jak: „Radość życia“ lub „Króliki“ — prace dające dużo rozkoszy szczerym estetykom.

We wszystkich tych rzeczach wykazał Okuń wielkie zapasy wiedzy artystycznej, smak i oko wielkopańskie. Ten wytworny gość arystokraty w sferze sztuki, człowieka zakochanego w pięknie, przewija się przez całą jego twórczość, od największego, najbardziej opracowanego obrazu—aż do najdrobniejszej ilustracji, czy ozdoby książkowej...

Jak wspomniałem powyżej, jest Edward Okuń technikiem, jakich mało (właściwie może, jakich wcale...) a nie wiem, czy sfery miarodajne zaaważyły chciały, że ulubiony sposób jego malarskiej formy, to stosowanie *in pasto*, z rezultatami złotniczej cyzelacji pędzlem... Zatrudne to może i za bardzo malarskie dla ogółu: Okuń labi tedy to starym majstrom pokrewne *in pasto*, czyli malowanie grube, zawiesziste, w którym dopiero, jak w cieście z farby, wyrabia cienkim pędzlem cały wdzięk wykończenia. Zna wszelkie sposoby zaprawy, tajemnice laseranków i werniksowań, sam obmyśla a nieraz i wykonywa ramy, stanowiące wraz z obrazem jedno wspólne i nierozdzielne dzieło.

Umie ten malarz tak dużo—jak to się rzadko przytrafić może: jest sobą — a to jego *Ja* piękne jest i silne.





Przeglądy i sprawozdania.

Z NAJNOWSZEJ MUZYKI POLSKIEJ.

Gdybyśmy sądzili o stanie obecnym naszej twórczości muzycznej z tego, co przyniosły w tym roku zabiegi głównych nakładców krajowych i zagranicznych, nie mielibyśmy ani dokładnego ani niezwykle dodatniego wyobrażenia o niej. Piękna w całym tego słowa znaczenia fortepianowa sonata *K. Szymanowskiego*, arcyciekawy i wartościowy poemat symfoniczny *L. Różyckiego*, kilka pieśni *F. Szopskiego*, świadczących o wielkim rozumie artystycznym kompozytora już nie zupełnie młodego, a jednak idącego z młodymi naprzód i pracującego bez wytchnienia nad swą już bardzo poważną wiedzą muzyczną, kilkanaście drobniaków fortepianowych *Różyckiego i Friedmana*, będących w twórczości tego pierwszego raczej drobnymi listkami, giganckimi wśród bujnych gałęzi jego symfonicznej potencji, a drugiego zaś przeważnie zawdzięczających byt swój kompromisowi między świetną fortepianową techniką i znajomością nowożytnego kunsztownego stylu fortepianowego i łatwej inwencji z wielką dozą pomysłowości — oto wszystko godne bacznej uwagi.

Z wielką radością i uznaniem powitaliśmy niedawno wydane trzy preludja i trzy lągi („Tryptyk“) *Fr. Brzezińskiego*, będące dostatecznym dowodem tej *powagi*, solidności i lekceważenia rzeczy zbyt łatwo pomyślanych i opracowanych, jednym słowem dowodem tej powagi artystycznej, jaką wniosła w nasze życie grupa młodych

muzyków, którym obcą jest powierzehowność poglądów na sztukę, obcą ta zawstydzająca zależność muzyka twórczego od publiczności. Zemściła się ona na naszej kulturze artystycznej, przyzwyczaiła publiczność do lekkiej strawy, a dając wzięcie i mir tym, którzy obrali lekki zawód w muzyce, opóźniła zdolność zorientowania się w sytuacji. Tę powagę w twórczości muzycznej polskiej zawdzięczać możemy w niemałej dozie ś. p. *M. Karłowiczowi*, którego niedokończony poemat „Dramat na maskaradzie“ pragnęlibyśmy raz nareszcie usłyszeć. Zbyt długo każe nań czekać p. *Fitelberg*, który podjął się opracowania tego dzieła, kto wie, czy nie najlepszego z pośród mniejszych dzieł Karłowicza.

Jak już wspomnieliśmy, obecnego rzeczywistego stanu muzycznej twórczości nie można ocenić według wydanych dzieł, a przynajmniej niewszędzie można zdać zeń sobie sprawę. Dzięki stałej orkiestrze jest Warszawa w lepszym położeniu niż inne miasta. Poznała w ostatnim sezonie warjacje symfoniczne *A. Gużewskiego*, które według zdania jednego z poważnych muzyków, zasługującego na zaufanie, są „kalejdoskopowo barwnie instrumentowane“ i kończą się efektowną fugą; poznała dalej II symfonię *K. Szymanowskiego*, dowodzącą kontrapunktycznego mistrzostwa, jakiego dotąd u nas nie znano, a przedewszystkiem zdradzającą wytężoną pracę, obdarzonego potężnym talentem kompozytora, pracę nad wybrnięciem z trudnego dziś problemu formy, problemu, mającego nie dwa lecz trzy oblicza (Straass, Reger, Debassy). Szymanowski nawiązuje nie dalszego swego rozwoju z ostatnimi dziełami Beethovena, z których wychodząc, pragnie w drodze trudnych eksperymentów dotrzeć do formy własnej. Nie bez wpływu Regera (w polifonii) i Straussa (w instrumentacji), w każdym jednak razie z samoistością, na jaką stać Szymanowskiego, dążenia te mogą być uwiecznione sukcesem. Czekaamy i tęsknimy nie za eksperymentami, lecz za „standworkiem“, jakim było każde niemal z ostatnich dzieł Karłowicza. Poznano we Lwowie i Warszawie symfonię ideowo podobną *Młynarskiego* i *Paderewskiego*, któremu nie zbywa na hołdach ze strony współobywateli i nie może zbywać na gorącym uznaniu ze strony artystów i krytyki, oceniających to, że dopiero po 25 latach swego zawodu powziął zamiar napisania symfoni, w której podobno realizuje myśl Liszta: „Treść sama tworzy dla siebie formę“*).

*) Jak widzimy muzyka symfoniczna jest u nas w pełn rozwoju.

Widzimy już z dotychczasowych wywodów, jak niezmiernie trudno jest polskiemu symfoniście sięgać po laury—po cóż innego mógłby zresztą sięgać w Polsce? Jeśli dodamy, że nawet w razie zdobycia laurów w ojczyźnie, marzy każdy z kompozytorów o wykonywaniu swych dzieł poza Polską (gdzie tyle warunków składa się na udaremnienie lub apozorowanie powodzenia), co dotychczas było udziałem tylko Karłowicza i Różyckiego („Anelli“ w Monachjum), jeśli zważymy dalej, że nawet istotne powodzenie choćby tylko w obcej krytyce, jest przez zawistnych lub osobiście „interesowanych“ krytyków, reporterów i—kolegów pomijane lub obniżane, to wtedy dopiero możemy zdać sobie sprawę z tego, czem jest nasza muzyczna kultura dla kompozytora, nie myślącego o chwilowem powodzeniu, nie idącego wypróbowanemi drogami, drzemających w twórczej wygodzie starszych kolegów (którzy już z pewnością o laurach nie marzą, tworząc więcej dla ambicji niż z wewnętrznej potrzeby, lub wprost dla interesu—o ile się nie ładzę).

Jeśli przeczytanie nowej powieści Żeromskiego lub Reymonta interesuje nie tylko wielbicieli ich talentu i nie tylko wielbicieli wogóle literatury pięknej, to zapewne z czem innym spotkamy się w muzyce. Tu panuje ignorancja, o jakiej w krajach zachodnich nie ma się wyobrażenia. Na żadnym polu pracy umysłowej nie panuje tak rozpaczliwe lenistwo, podsycane na domiar złego przez walkę konkurencyjną nakładców, może nie umyślną, ale w każdym razie podobną do cłowej wojny państw. W pierwszorzędnym „sortymencie“ muzycznym można nie otrzymać kompozycji wartościowych, wydanych przez innego nakładcę. Muzykali zaś ładnie—skąd dowiedzą się o tem, że wyszły nowe kompozycje Szymanowskiego, Różyckiego, Melcera lub Brzezińskiego? Prasa nie informuje o wszystkim, każde pismo ma swoich „największych“. Partyjność przechodzi nieraz granice wszelkiej lojalności wobec zadań kulturalnych. Tylko czytelnik „Przeglądu muzycznego“ może mieć dokładne pojęcie o ruchu wydawniczym—nb. tylko o kompozycjach istotnie wartościowych i nie polegających na przeżuwaniu muzycznych resztek dawno już strawionych, lub na dyletanckich próbach i beztreściwej pseudoakademickiej poprawności. Tu nie idzie o kierunek stary lub kierunek nowy. W błędzie są ci, którzy n. p. podpisanego uważają za „apostoła modernizmu i postępu muzycznego“ (jak się wyraził niedawno jeden z członków lekkiej kawalerji krytycznej). Rzeczą najważniejszą jest popieranie: 1) wartościowych kompozycji, 2) treściwych kompozycji i 3) przynoszących nowe myśli w oryginalnej formie. Jest rzeczą dla artystycznej wartości obojętną, czy ktoś

eksponuje narodowy czy subiektywnie indywidualny pierwiastek. W ostatnim wypadku kompozytor nie przestaje być przedstawicielem dorobku dachowego swego narodu. Wartościowa jest n. p. fuga na Tryptyku Fr. Brzezińskiego nie dla swojskiego tematu (melodji), lecz dlatego, że kompozytor *umie* ten temat wykorzystać dla swych artystycznych celów. Jest nią również nie dlatego, że jej kierunek skłania się ku akademizmowi, lecz właśnie mimo akademizmu. Tak samo n. p. pieśni Szymanowskiego i Fitelberga nie są wartościowe dlatego, że nawiązują swój styl z ostatnimi dziełami Regera i Straussa, lecz dlatego, że mimo swego „dernier cri“ posiadają treść i wartość muzyczną. Zarzut zaś skierowany ku podpisanemu, że przecenia niejedną kompozycję t. zw. „Młodej Polski“, może być tylko w przyszłości uznany za słuszny lub nie. Pozwolę sobie stać lojalnie po stronie Ryszarda Straussa, który w bardzo pouczający sposób wyraził się: „Niech *czas* będzie sędzią! Że się kogoś przeceni, nie nie szkodzi! Lepiej dwadziestu przecenić, niż jednemu drogę zamknąć!“ Najważniejszą jest rzeczą, czy ktoś chce i umie! Z pewnością nie jest winą podpisanego, że tragedją dla niejednego kompozytora u nas stał się fakt, że przeceniani przez niego kompozytorowie: *chcą, umieją i mogą*, że kaligrafia muzyczna nie jest ich ideałem, ani filisterstwo wytartych szablonów, zapewnianych „miłą“ i „sympatyczną“—próżnią.

Jeśli zmaszony byłem często wystąpić w sposób ofensywny przeciw ospałym, wrogim i intrygującym elementom, u których oportunizm jest jedenastym przykazaniem, to czyniłem to, stojąc na straży nie innych, tylko ojczyistych interesów. Może kompozycja polska być oklaskiwaną w sali koncertowej w Monachjum, ale jej twórcy czyni się w ojczyźnie brzydkie w swym *antykołoleżeńskim* charakterze trudności, bo ma talent, bo umie, bo może, bo ma wstręt do kliki pjonierów pruderji twórczej. Niezrozumiałem jest u nas pogodzenie działalności naukowej na polu dawnej muzyki z propagandą tych elementów, które galwanizują ospałe stosunki muzyczne. Przypaścić można, iż nie wynika to z oportunizmu, z zamilowania dla sportu lub dla kaprysu. Nie można jednak dopuścić do tego, aby ta sama obojętność, która paraliżowała dawniej twórczość Paderewskiego lub Melcera, miała w ten sam sposób uformować stosunek publiczności do młodszej generacji.

Dr. Adolf Chybiński.

Andrzej Strug. „W twardej służbie“. Str. 170. Kraków (bez daty)
Spółka nakładowa „Książka“.

Pierwszą pracą Struga była drobna broszura o twórczości Żeromskiego. Otrzymał on za to stadjum odznaczenie na konkursie Tow. Literackiego miasta Lwowa. Minęło potem lat kilka, i nikt nie podejrzewał, że Strug weźmie się znów kiedyś za pióro.

Dopiero rewolucja rozbudziła na nowo zdolności pisarskie autora „Jutra“. On to napisał epopeję tych krwawych lat „Dzieje jednego pocisku“, on to pierwszy postarał się utrwalić w świadomości naszej zbiorowej tę nieliczną garstkę szaleńców, co śniła legiendy o wyzwolonym życiu polskiem. Może, gdyby nie jego pióro, zaginąłby dachowy wizerunek tych ludzi, nie wiedzieliby potomność, jak sądzić ich ideały, ich batną wiarę.

Strugaczy społeczeństwo nasze rozamięć daszę rewolucjonisty polskiego. Upomina się on o jego prawo obywatelstwa w życiu i literaturze. Prostaje fałszywe wyobrażenia o daszy rewolucyjnej, rozsiewane przez Chońskiego, a nawet w niejednym wyświeśle, dlaczego pisarze tak wielkiej miary, jak Sienkiewicz, rzucili („Wiry“) oskarżenia tym czynnym spadkobiercom idei Mickiewiczów, Mochnackich i Worcellów.

Weźcie, proszę, do rąk książki Struga i wsłuchajcie się w ich serdeczne tętno. Gdy inni brali przeważnie z daszy podziemnej tylko jej odpadki, krzywizny, kalectwa, nie docierając do wnętrza jej rewolucyjnej religii, Strug uzupełnia całość obrazu; daje nam świętość, zapad, kult i filozofję tej daszy.

Bo i jakimież płoną ukochaniami wszystkie jego prace! „W twardej służbie“ pod tym względem podkreśla jeszcze więcej ten jego stosunek do psychologii człowieka z podziemi. Widzimy tu ludzi, co nie dla zysku, sławy lub próżności poszli w wir walki; w „twardej“ ich dasze pracują „służbie“! Wytężona odpowiedzialność sumień przeżera ich świadomość, a nawet niekiedy dochodzi do mańjackiej czujności. W listach z katoggi, przy końcu tego tomu, zmaga się tak tragicznie człowiek ze swoim przeznaczeniem, że nie wystarcza tu nazwać go tylko odpowiedzialnym za to, co zrobił i o czym marzył, lecz należy wynaleźć nowy określnik, dający pojęcie o subtelności sumienia. Tyle lat przecierpiał ten człowiek, tyle lat łudził siebie i tych, którzy ze słów jego czer-

pali moc i wiarę, aż oto pod koniec swojej męki zbolęły mózg obalił wszystkie podstawy dawnych wier, dawnych marzeń. Już przez przeczytanie tej jedynej pracy można nabrać właściwego pojęcia o tych wykletych, spotwarzanych, ośmieszanych, a walecznych i niezłomnych ducha polskiego rycerzach.

Czytajcie więc! Nie poprzestajcie na tem, co wam mówią o rewolucjonistach ładzie z baduarów, literaci z salonów. Poznajcie i te nurty ducha polskiego! Przez poznanie bowiem prowadzi droga do marzeń Konrada, do pieśni Króla-Ducha, a przez nie — do odrodzenia własnego.

Eustachy Czekalski.

Kazimierz Gliński. „Ślab krwi“. Powieść. Str. 388. Warszawa, 1911.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

Powieść Kazimierza Glińskiego opowiada o dziejach walki dwóch kultur. Walczy chrześcijaństwo z legendarną, pogańską Litwą. I walka to nielada! Krzyżacki chrześcijanizm mieczem i ogniem nawraca; burzy gontyny, zarzuca sidła nawet na trony. Nie tyle tu chodzi o nawracanie, ile o zdobycie władzy politycznej.

Bajka zaś powieści składa się z kilku motywów. Na pierwszym planie stoi zatarg polityczny między „Jagailem“ a „Witowdem“. Na drugim miłość Danaty i polskiego rycerza, Jaska Bolechowica. Poza tem gromada różnych obyczajowych epizodów, rycerskich pija-tyk, pogańskich uczt z nieodłącznym, żarłocznym przyspiewem „*Briucho hraje!*“ Pejzaże litewskie tchną poezją borów, wonieją aromatem sosen i dębów.

W ciągu opowieści autor przez usta jednego z niemieckich rycerzyków przyspiewuje dązo piosenek okolicznościowych, co arom-za maica fabałą. Sądzę, że „Ślab krwi“ powinien się znaleźć we wszystkich bibliotekach ludowych, bibliotekach Warsz. Tow. Dobr., gdyż będzie napewno pożyteczną lekturą.

Eustachy Czekalski.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Powieści i nowele. Juhani Aho: „Do Helsingforsu“. Z fińskiego przeł. J. Klemensiewiczowa. Tom 717 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“, 1911. Gustaw Flaubert: „Pani Bowary“. Tłomaczenie i przedmowa Alfreda Iwieńskiego. Str. 446. Wyd. „Ultima Thule“. Warsz. — Gebethner i Wolff, 1912. St. Cieszkowski: „Przerwana pieśń“... Nowele i opowiadania. Str. 126. Warszawa, M. Borkowski, 1911. Antoni Gawiński: „Stella“. Powieść. Str. 228. Warsz., M. Arct, 1911. Wiktor Gomalicki: „Dwa romanse“. Str. 127. Tom 713 „Bibl. Dzieł Wyborowych“, 1911. M. Hélys: „Kwiaty z zamkniętego ogrodu“. Szkice z życia kobiet w Turcji. Str. 139. Tom 714 „Bibl. Dzieł Wyb.“, 1911. Wiktor Hugo: „Han z Islandji“. Powieść historyczna. Tomów 3. Nakład „Biesiady Literackiej“ 1911. Wiktor Hugo: „Człowiek śmiecha“. Powieść. Tłom. Felician Faleński. Wyd. „Ciekawe powieści“. Warsz.—Gebethner i Wolff, 1911. Emma Jeleńska: „Jubileusz“ i inne nowele. Str. 259. Cena rb. 1.20. Warsz., Gebethner i Wolff. Kraków—G. Gebethner i Sp., 1911. A. Lichtenberger „Nasza Minia“. Powieść. Przekład W. Kiślańskiej. Tomów 2. Str. 102+110. T. 711 i 712 „Bibliot. Dzieł Wyborowych“ 1911. Teresa Lubińska: „Nie wiedziała“. Str. 354. Warsz., Nakład L. Bielińskiego i W. Maślankiewicza, 1912. Zuzanna Rabska: „Dogaressa“. Str. 208. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków — G. Gebethner i Sp. 1912. Ludwik Romocki: „Żołnierz W. Ks. Konstantego“. Historia z dawnych lat. Druga serja. Str. 122. Warsz. — E. Wende i Sp., Ludwik Romocki: „Hakata“. Powieść. Str. 336. Kijów, L. Idzikowski, 1912. Marcełi Sachs: „W pewnym domu“. Powieść. Wydanie drugie. Str. 189. Cena rb. 1. Warszawa, Księgarnia Powszechna, 1911. Henryk Sienkiewicz: „W pustyni i w puszczy“. Str. 395. Cena rb. 2.80. Warsz., Gebethner i Wolff, Kraków, Gebethner i Sp., 1912. M. Srokowski: „Epigoni“. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp, 1911. 8-ka, str. 208. Cena rb. 1.20. Józef Weysenhoff: „Soból i panna“, cykl myśliwski. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, Gebethner i Sp., 1911, 8-ka. Str. 379. Cena rb. 2.20. Maciej Wierzbński: „Pod myślą więź“. Powieść współczesn. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, Gebethner i Sp. 1912, 8-ka, str. 375, Cena rb. 1.80. Maciej Wierzbński: „Bies i Skarbonka“

Romans cygański. Str. 247. Warsz., K. Trepte, 1911. Stefan Żeromski: „Aryman ruci się. Godzina“, Wydanie drugie. Cena kop. 90. Str. 93. Warsz., Gebethner i Wolff, Kraków, Gebethner i Sp.

Poezja. Zofja Gordziałkowska: „Böcklin w poezji“. Wydanie ozdobione reprodukcjami obrazów Böcklina. Str. 146. Cena rb 2.50. Warszawa—E. Wende i Sp. 1911. Stanisław Leonard Kociemski: „Kwiaty Trujące“. Str. 117. Warsz., 1911. Jan Lemański: „Jasełka“. Str. 191. Warsz. — E. Wende i Sp., 1911. Jan Stanisław Mar: „Strany“. Str. 164. Warsz., G. Centnerszwer i Sp., 1912. Jan Stanisław Mar: „Don Juan Redivivus“. Poemat cyniczny. Wyd. drugie. Str. 109. Warsz.—G. Centnerszwer i Sp. 1912. Łucjusz Piliński: „Na strunach duszy“. Str. 80. Płock, 1912. Anna Sokołowska: „Kaskady“. Str. 198. Warsz.—E. Wende i Sp., 1911. Walenty Zieliński: „Królewskim szlakiem“. Wyd. drugie. Str. 120. Warsz.—Gebethner i Wolff 1911.

Dramaty i komedje. Adolf Nowaczyński: „Cyganka Warszawska“, sztuka w 4-ach aktach. Warsz.—Gebethner i Wolff, Kraków—G. Gebethner i Sp., 1912, str. 210. Cena rb. 1.60. Jerzy Orwicz: „Nad Arnem“. Obraz z życia Juliusza Słowackiego, w 3-ach aktach. Str. 99. Warsz.—Gebethner i Wolff, 1911. Egieńsz Polender: „Koleżeńka miłostka“, scenki z życia młodzieży. Str. 91, Warsz.—K. Idzikowski, 1912. K. Sędziak: „Niepotrzebny“. Str. 103. Warsz.—M. Borkowski, 1911. B. Wędrychowski: „Spadkobiercy“, komedja w 3-ach aktach. Str. 34. Kraków, 1911. Jerzy Żółkowski: „Gród słońca“. Baśń dramatyczna w 3 aktach. Str. 214. Lwów. Tow. Wydawnicze. Warsz.—E. Wende i Sp., 1911.

Studja literackie. Ign. Chrzanowski: „Kazania Sejmowe Piotra Skargi“. Z pierwodruka r. 1597 wydał i przedmową poprzedził... Wyd. drugie poprawione i znacznie uzupełnione. Z portretem Skargi. Str. 377. Warsz.—Gebethner i Wolff, Kraków—Gebethner i Sp., 1912. Bronisław Czarnik „Pierwsze atwory poetyczne Augusta Bielowskiego“. Str. 15. Lwów, 1911. Bronisław Chlebowski: „Pisma“, tomy 2. Str. 391+583. Warszawa—E. Wende i Sp. 1912. Cena rb. 5. Stanisław Krzemiński: „Nowe szkice literackie“. Z podobizną autora według portretu K. Mordasewicza. Str. 343. Warsz.—Gebethner i Wolff, Kraków—G. Gebethner i Sp., 1911. Cena rb. 1.50. Jan Kacharzewski: „Czasopiśmiennictwo polskie w XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi, oraz na emigracji“. Odbitka z „Przegl. Narod.“. Str. 121. Warszawa—Gebethner i Wolff, 1911.

Studja naukowe i historyczne. Ernest Łaniński: „Napoleon, ego życie i czyny w obrazach“. Zeszyty VIII i IX (ostatni). Str. w zeszytach wszystkich 364. Cena w opr. rb. 11. Warsz.—E. Wende i Sp., 1911. Tadeusz Miciński: „Walka o Chrystusa“. Str. 137. Warszawa—St. Sadowski, 1911. Fr. B. Peabody: „Jezus Chrystus i kwestja społeczna“. Str. 249. Warszawa—Gebethner i Wolff, 1911.

Pedagogika. Dr. Gustaw Le Bon: „Psychologia wychowania“, przekład Izy Moszczeńskiej. Warszawa—Gebethner i Wolff, Kraków G. Gebethnera i Sp., 1911, 8-ka, str. 168. Cena rb. 1,20. Dr. W. Foerster: „Wychowanie człowieka“, książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyty I i II. Str. 89+89. Cena zeszytu kop. 40. Warsz.—Gebethner i Wolff, Kraków—Gebethner i Sp., 1911. Mikołaj Mazanowski: „Szkice pedagogiczne“. Serja I. Str. 132. Kraków—księg. Krzyżanowskiego, Warszawa—E. Wende i Sp., 1912.

Przyroda. Prof. Jan Śosnowski: „Świat zwierząt“. I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie pod redakcją... według Karola Carnisha, z tablicami kolorowanemi i licznemi ilustracjami w tekście. 4-ka. Cena zeszytu kop. 60. Zeszyty I, II, III, IV, V, VI, str. 192. Warsz.—Gebethner i Wolff, Kraków—G. Gebethner i Sp. 1911.

Pamiętniki. Jordan (Juljan Wieniawski): „Kartki z mego pamiętnika“. Tom. 2, str. 253+344, Cena rb. 2.40. Warsz.—Gebethner i Wolff, 1911.

Podróże. Stanisław Bełza: „W ojczyźnie Faraonów“. Z podróży i przechadzek po Egipcie. Str. 260. Warszawa, —Gebethner i Wolff, 1912. Konrad Chmielewski: „O moim Kraju“. Szkice krajoznawcze. Str. 174. Cena rb. 1. Warsz.—Gebethner i Wolff, 1911. Witold Szyszło „Małe Antyle i Jamajka“, Tom 51 „Nowości Literackich“. Str. 252. Warsz.—St. Sadowski, 1911.

Varia. J. Baudouin de Courtenay: „W sprawie antysemityzmu postępowego“. (Odbitka z „Krytyki“). Str. 52. Kraków—G. Gebethner i Sp., 1911. Jan Hempel „Kazania Piastowe“. Str. 228. Cena kop. 59. Bielsk, 1912. Henryk Sienkiewicz: „Światła i kwiaty“. Myśli zebrane z utworów H. Sienkiewicza. Ułożył Marjusz. Wydanie trzecie. Cena rb. 2. Poznań, 1912. Heljodor Święcicki: „O estetyce w medycynie“. Odczyt wygłoszony na XI zjeździe lekarzy

i przyrodników polskich w Krakowie, 21 lipca r. 1911. Str. 34. Poznań, 1911. „Kraków i najbliższe okolice“. Krótki przewodnik po Krakowie, wydany nakł. kraj. Związku Turystycznego. Z planem i 17 ilustracjami. Str. 54. Cena kop. 25. „Lwów“; Krótki przewodnik po Lwowie i okolicy. Z planem i 13 ilustracjami, wydany nakł. kraj. Związku Turystycznego. Str. 63. Cena kop. 25. „Po ziemi ojczytej!...“ Zeszyt II. Katedra poznańska w historii, sztuce i podaniach. Zebrali i opracowali: dr. Zabrzycki i Jadwiga z Łobzowa, Str. 43. Kraków, ul. Kilińskiego 1. 4. 1911.

Biblioteka Uniwersytetów Ludowych Młodzieży szkolnej Warszawa—Gebethner i Wolff, Kraków—G. Gebethner i Sp. Cena od kop. 8 do 25. Tomiki od 151 do 163 str. przynoszą: Al. hr. Fredro: „Słoby panieńskie“. Fr. Karpiński i D. Książnin: „Wybór poezji“. J. Korzeniowski: „Mnich“. I. Krasicki; „Satyry i Listy“. Calderon de la Barca: „Książkę Niezlomny“, przekład J. Słowackiego. F. Schiller: „Dziewica Orleańska“, przekład A. E. Odyńca. Byron: „Giar“, przekład A. Mickiewicza. F. Schiller: „Marja Stuart“, przekład M. Badzyńskiego. Byron: „Manfred“, przekład F. Morawskiego. Byron: „Więzień Czylłonu“, przekład F. Morawskiego Szymański: „Stolarz Kowalski“.

Biblioteczka Młodzieży szkolnej. Kraków — G. Gebethner i Sp., Warszawa — Gebethner i Wolff, Cena od 15 do 20 kop. Tomiki od 134 do 140 str. przynoszą: Marja Gerson Dąbrowska „Obrazki historyczne ascenizowane“. Marja Dynowska: „Kraków i najbliższe okolice“. J. Jastrzębska: „Bogowie greccy i rzymscy“. J. Oksza: „Opowiadania o półbogach i bohaterach greckich“. M. Dynowska: „Z podań greckich“. Helena Rzepecka: „Poznań“. C. N.: „Baśnie Wschodnie z 1001 nocy“.

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Ludwika Alcott: „U progu życia“, tłum. Celina Kaszerówna. Książka przeznaczona dla chłopców i dziewcząt. Str. 315. Warsz., Gebethner i Wolff, 1912.

H. Andersen: „Bajki“, opracowane przez C. Niewiadomską, z 7 rycinami i 12 ilustracjami w tekście. Wydanie trzecie. Str. 421. Cena rb. 1.20 Warsz., Gebethner i Wolff, 1912. Bajki Andersen należą do arcydzieł literatury pedagogicznej, są one ulubioną lekturą dzieci i młodzieży. Opromienia je bowiem czar wielkiej poezji i pociągający zawsze pierwiastek fantastyczny.

Beecher-Stowe: „Chata waja Toma“. Wyd. czwarte. Str. 276. Cena kop. 90. Warsz., Gebethner i Wolff. Dziełko to, znane już i czytane od tak dawna, stanowi zawsze pożądany i użyteczny nabytek dla młodzieży ze względu na przenikającą je miłość dla ludzi.

B. Dyakowski: „Nasz las i jego mieszkańcy“. Z 230 rysunkami F. Jabłczyńskiego i innych. Wyd. II rozszerzone. Str. 301. Cena rb. 2.25 M. Arct, Warszawa. Znany przyrodnik, B. Dyakowski z ogromnem umiłowaniem natury opisał życie lasu naszego, a więc drzew, roślin, zwierząt, ptaków i owadów. Książkę czyta się z zającem i wielkim pożytkiem.

Marja Gerson-Dąbrowska: „Wielcy artyści, ich życie i dzieła“ z 80 ilustracjami. Str. 258. Cena w opr. rb. 2.20 Warsz., Gebethner i Wolff. Pierwsza w naszej literaturze pedagogicznej książka, przedstawiająca zajmująco życie i twórczość wielkich artystów, jak Michała-Anioła, L. da Vinci'ego, Cellini'ego, Tycjana, Holbeina, Rubensa i innych.

W. Gomulicki: „Rok 1812“. Z ilustracjami i kolorową okładką K. Gorskiego. Str. 350. Cena rb. 1.70. Warsz., Gebethner i Wolff. Niezmiernie zajmującą i pouczającą treść powieści stanowią przygody dwojga sierot, poszukujących ks. Józefa na szlakach armji Napoleona. Pod jego bowiem opiekę amierający ojciec polecił wachmistrzowi oddać swe dzieci.

W. Gomulicki: „Życie dla ojczyzny“. Z 5 rys. St. Bagieńskiego. Str. 353. Cena rb. 2. Warsz., M. Arct. Powieść historyczna, mająca z wielkim talentem epokę sejmu wielkiego, uchwalenia konstytucji, walki o wolność i działaczy tej epoki, jak Kościuszko, Ks. Józef i inni.

E. Jezierski: „Przez krwawe boje“. Powieść historyczna z czasów Batorego, z rysunkami A. Piotrowskiego. Str. 305. Cena rb. 1.20. Warsz., M. Arct. Na ściśle historycznem tle tej powieści rozwija autor dzieje przygód bohaterskiego chłopca, który usiłuje wszelkimi siłami uwolnić ojca, wziętego do niewoli przez oddział moskiewski.

M. Konopnicka: „Poezje dla dzieci“. Str. 119. Cena w ozd. opr. kop. 90. Warsz., M. Arct, 1911. Wyboru poezji dla dzieci, które tak gorąco kochała zawsze i które tak po królewsku obdarzała perłami swego natchnienia, dokonała na krótko przed śmiercią sama poetka. Są to wiersze dla młodszych dzieci.

J. Kruk: „Władea przestworzy“. Str. 223. Cena rb. 1. Warsz. M. Arct. Powieść fantastyczna, odtwarzająca nadzwyczajne przygody młodego Polaka, wynalazcy najdoskonalszego aeroplanu, który zastosował swój aparat w walce Tybetańczyków przeciwko najeźdźcom—Anglikom.

„**Koń w butach**“. Str. 12. Cena kop. 75. Warsz., Gebethner i Wolff. Bajka dla dzieci, które same jeszcze czytać nie umieją.

K. Łukaszewiczówna: „Serdeczni przyjaciele“. Str. 68. Cena kop. 50. Warsz., Gebethner i Wolff, 1911.

J. Mazur: „Legiendar polska“, Wybór baśni, legend i wierzeń ludu polskiego. Str. 96. Cena w ozd. opr. kop. 50. Warszawa, M. Arct.

A. Montgomery: „Ania z Zielonego wzgórze“. Powieść dla młodzieży, przełożyła z ang. R. Bernstejnowa. Str. 224. Cena w ozd. opr. rb. 2. Warsz., M. Arct.

Z. Morawska: „Adjutant następcy trona“, powieść historyczna z czasów wojny 1870—1871 r., z 7 rycinami H. Bagińskiego. Str. 204. Cena rb. 1,20. Warsz., Gebethner i Wolff, 1912.

Mayne-Reid: „Pobył w pastyni“. Tłom. St. Rzętkowski, z 24 rycinami G. Doré'go. Str. 300. Cena w opr. rb. 1. Warsz., Gebethner i Wolff.

M. Mossoczowa: „Starościc w Syntaktyca“. Opowiadanie z czasów Saskich, z 4 ilustracjami S. Sawiczewskiego. Str. 195. Cena rb. 1.20. Warsz., M. Arct.

M. Mossoczowa: „Za orłami Napoleona“. Str. 128. Warsz.—Kraków, Gebethner i Wolff.

Or-Ot: „Bajki Ezopa“, w dużym formacie, z kolorowanymi rycinami, Warsz.—Kraków, Gebethner i Wolff. Cena rb. 1.50

„**Podróże Gulliwera**“, książka dla dzieci najmłodszych. Cena kop. 75. Warsz., Gebethner i Wolff.†

W. Przyborowski: „Zdobycie Sandomierza“, z rys. St. Bagińskiego. Str. 264. Cena rb. 1.35. Warsz. M. Arct. Powieść osnuta na tle wojny z r. 1809, odtwarza barwnie i zajmująco przygody młodego bohatera, walczącego w wojsku polskim.

Henryk Sienkiewicz: „W pastyni i puszczy“ z kolorową okładką P. Stachiewiczza. Str. 395. Cena rb. 2.50. Warsz.—Kraków. Gebethner i Wolff, 1912. Zanim nowe to dzieło Sienkiewicza będzie szerzej omówione w „Sfinksie“, przytoczymy słowa, jakie znajduje-

my o niem w czasopiśmie niemieckiem „Der Wanderer: „Jest to bodaj najbardziej zajmująca powieść gienjalnego Polaka. Autor, sięgnąwszy pełną dłońią do skarbcza swej przebogatej fantazji, słowem mistrzowskiem wyczarował przepyszne opisy bajecznej przyrody północno-wschodniej Afryki, oraz tajniki życia plemion afrykańskich... Najnowsza ta powieść przejmie prawdziwą radością serca dorosłych „a wśród dojrzałszej młodzieży wywoła entuzjazm niebywały“.

Wacław Sieroszewski: „Bajka o żelaznym wilku“. Z 14 rycinami i winietą okładkową Jana Rembowskiiego. Str. 192. Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków—Warszawa, G. Centnerszwer, 1912. Nowy ten utwór Sieroszewskiego zajmie nie tylko młodzież, ale i starszych ze względu na swój wysoki poziom artystyczny i głębsze myśli. Książka wydana wytwornie, ozdobiona prześlicznymi rycinami dobrze znanego czytelnikom naszym, znakomitego artysty Jana Rembowskiiego.

Artur Śliwiński; „Powstanie listopadowe“. Str. 197. Z 11 portretami. Spółka nakł. „Książka“, Kraków—Warszawa, G. Centnerszwer, 1912. Dziełko to wypełnia lukę w naszej popularnej literaturze historycznej. Autor, opierając się na wynikach najnowszych badań, przedstawił w pięknej formie literackiej smatny, bohaterki okres naszej historii.

Teresa - Jadwiga: „Stracony“ Powieść współczesna z życia młodzieży gimnazjalnej. Str. 216. Cena rb. 1. Warsz.—Kraków Gebethner i Wolff, 1912.

Władysław Umiński: „Krwawy chleb, przygody młodego tułacza“. Str. 334. Cena rb. 2. Warszawa — Kraków, Gebethner i Wolff, 1912.

J. Verne: „Wyspa tajemnicza“. Dzieło awieńczone przez Akademię Francuską, 2 tomy, z ilustracjami. Cena rb. 1.50. Warsz.—Kraków, Gebethner i Wolff.

J Verne: „Tajemniczy Rybak“. Z 6 rysunkami. Str. 262. Cena rb. 1. Warsz., M. Arct. Jest to nieznaną dotąd powieść ulubionego przez młodzież autora, równie ciekawa, jak i poprzednie jego prace.

Marja Weryho: „Opowiadania ze świata zwierzęcego“. Dla dzieci najmłodszych. Z licznymi rysunkami. Str. 106. Cena kop 60. Warsz., M. Arct.

M. Weryho: „W ich świecie.“ Opowiadania z życia zwierząt, dla młodszych dzieci, z 35 rysunkami K. Witkowskiego. Str. 173.

M. Weryho: „W upominku dla Józi“. Dla dzieci młodszych. Cena kop. 60. Warsz., M. Arct.

E. Węslawska: „Wakacje w Olszance“. Dla dzieci od lat 7-miu. Cena kop. 50. Warsz., M. Arct.

E. Wilson: „Ofiara siostry“. Powieść dla młodzieży. Z ang. tłum. Z. Hartingowa. Str. 351. Cena rb. 1.35. Warsz., M. Arct.

H. Wołyńska: „Jurek Bronicz“. Powieść dla młodzieży. Str. 92. Cena kop. 50. Warsz., M. Arct.

A. Zielińska: „Nieznany bohater Śląski“. Powieść historyczna z rys. K. Urbańskiej. Cena kop. 75. Warsz., M. Arct.



Spis rzeczy, zawartych w tomie XVI

SFINKSA.

(Październik, listopad i grudzień r. 1911).

I. Studja i rozprawy literackie i artystyczne.

	<i>Str.</i>
„Kilka notatek o Mickiewiczu“ przez Wł. Jankowskiego	3
„Artyści polscy w École des Beaux-Arts w Paryżu od r. 1768 do 1813“ przez Pawła Ettingera	81
„Wystawa artystów francuskich“ przez Ant. Gawińskiego	125
„Wrażenia teatralne“ przez Wł. Bakowińskiego	128
„Franciszek Liszt“ przez dra A. Chybińskiego	165 i 333
„Wystawa portretu we Florencji“ przez dra A. Kołtuńskiego	251
„Wrażenia muzyczne“ przez A. Zabłockiego	289
„Chochoł Wesela“ przez Józefa Rachwała	329
„Bolesław Śmiały i Skalka Wyspiańskiego“ przez Z. Erwina	342
„Wystawa dzieł Antoniego Gawińskiego i Marjana Wawrzeńcickiego, go,“ przez Ant. Rastena	469
„Malarstwo Edwarda Okunia“ przez Ant. Gawińskiego	476

II. Studja i rozprawy naukowe i społeczne.

„Jak powstały pierwiastki?“ przez Juljana Ochorowicza 55, 197 i 452	
„XI zjazd lekarzy i przyrodników polskich“ przez Wł. M. Ko- złowskiego	106
„Protagoras Humanista“ przez Filoasa syna Antinoasa	406

III. Belletrystyka i poezja.

„Z oddali“, powieść przez L. Jahółkowską-Koszutką	30 i 261
„Historja o księżniczce Trebizondy i hrabi Tanisa“ przez La- dwika Romockiego	76
„Jak odłamana gałąź“... powieść przez Eljana	87 i 410
„W morzu przestrzeni“ przez Bohdana Górskiego	120
„Z drugiej serji“ przez St. L. Kociemskiego	122
„Mocny człowiek“, powieść przez Stan. Przybyszewskiego	184 i 368

	<i>Str.</i>
„Preludjum jesienne“ przez Wł. Bukowińskiego	219
„Wiatr jesieni“ przez Ignacego Balińskiego	221
„Młyn“ przez Zdzisława Dębickiego	225
„Blade słońce jesienne“ przez Wiktora Dzierżanowskiego	226
„Nokturn jesienny“ przez Wiktora Gomulickiego	227
„Jesienią“ i „W prochu i pleśni“ przez Kazimierza Gronkiewicza	228
„Zaduszne oratorjum“ przez Marię Grossek	239
„Idzie jesień“ przez Władysława Karolego	232
„Fragment“ przez St. L. Kociemskiego	234
„Listopad“ przez Kazimierza Laskowskiego	235
„Elegja“ przez Jana Lemańskiego	236
„Na łące“ przez Wacława Makowskiego	237
„Jesienna sonata“ przez Władysława Nawrockiego	242
„Deszcz listopadowy“ przez Or-Ota	243
„Morze jesienne“ przez Savitri	244
„Radościom moim...“ przez Edwarda Słońskiego	244
„Niby ten szary, sierocy głaz polny...“ przez Wacława Wojskiego	345
„Jesień“ przez Egieńjusza Zahorskiego	246
„Z nastrojów jesiennych“ przez Stefańję Zajasiewiczową	247
„Z cyklu : Psalmodye jesienne“ przez Władysława Zalewskiego	249
„Spłynęłaś w perłach“ przez Walentego Zielińskiego	251
„Stary dom“ przez marjana Zbrowskiego	444
„Sonety“ (Bez powrotu, Niewolnica, Artysta) przez J. Lipińską	449

IV. Przeglądy i sprawozdania.

„Na fali“ przez Wł. Bukowińskiego	295
„Żórawce“, książka zbiorowa przez E. Woronieckiego	145
„Dęby czarnobyłskie“ Tadeusza Micińskiego przez Kleczyńskiego	147
„Teatr Mały“ K. Zalewskiego przez A. K.	150
„Powołanie człowieka“ Fichtego przez Wł. M. Kozłowskiego	310
„Poezja powstania listopadowego“ M. Smolarskiego przez Ign. Chrzanowskiego	312
„Partja“ Edw. Słońskiego przez E. Czekalskiego	315
„Obrazy Neumana“ przez Ant. Gawińskiego	316
„Drzewo życia“, odczyt T. Micińskiego przez Z. Mierzejewskiego	318
„Z najnowszej muzyki polskiej“ przez dra A. Chybińskiego	479
„W twardej służbie“ Andrzeja Struga przez E. Czekalskiego	483
„Ślub krwi“ Kazimierza Glińskiego przez E. Czekalskiego	484

V. Dodatki artystyczne.

„Pracownia rzeźbiarza Houdona“, według obrazu nieznanego malarza z Muzeum w Wersalu. „Pracownia malarza Davida“, według rysunku z Musée Corneualet. Portret Liszta, według litografji Krichtebera z r. 1838. Portret Liszta, według Lenbacha. Hrabina Rozalja Tarnowska, portret Del Frate'a. „Młodzieniec z lutnią“ L. Bassana. Rodzina księcia Filipa Strozzi, portret Susermannsa. Portret własny Stanisława Wyspiańskiego.

Rysunki i winjety w zeszytcie październikowym: J. Bogaskiego (str. 34, 35), W. Bogusławskiej (str. 119, 1290, 127), W. Z. Czernego (str. 80, 128), E. Erlicha (str. 79, 86), Hedo (str. 87), Z. Olszewskiej (str. 81, 105, 123). J. Rembowskiiego (str. 75), Fr. Siedleckiego (str. 30), M. Wawrzemieckiego (str. 29, 78), J. Wronieckiego (str. 76) T. Ziomka (str. 106).

W zeszytcie listopadowym: A. Ankowskiego (str. 288), L. Bigosińskiego (str. 189, 183, 221, 223, 236, 291), W. Bogusławskiej (str. 217), M. Chybińskiej (str. 288), W. Z. Czernego (str. 234, 295), E. Erlicha (str. 196, 226), A. Kędzińskiego (str. 226), H. Minkiewicza (str. 244, 245, 309), Z. Olszewskiej (str. 197), Z. Plewińskiej (str. 179, 232, 289, 310), M. Płonowskiej (str. 237), J. Rembowskiiego (str. 249), F. Siedleckiego (str. 229), A. Tabińskiego (str. 184), A. Wolmana (str. 251), W. Włodarczyka (str. 242, 246, 247), J. Wronieckiego (str. 231).

W zeszytcie grudniowym: L. Bigosińskiego (str. 368, 407, 410 i 492), Esko (str. 448, 449, 450, 451 i 476), J. G. (str. 338), St. J. Kozłowskiiego (str. 339), E. Mejro (str. 444), H. Minkiewicza (str. 341, 353, 392 i 479), J. Rembowskiiego (str. 367, 406 i 443), W. Rozwadowskiej (str. 469), Fr. Siedleckiego (str. 393), M. Wawrzemieckiego (str. 352, 452, 468 i 478).

Na okładkach rysunki: W. Dyzmańskiego, J. Rembowskiiego i A. Noskowa.



OD REDAKCJI.

Na zakończenie czwartego rocznika „Sfinksa“ zwracamy się raz jeszcze do Przyjaciół i Czytelników naszych z prośbą gorącą o popieranie wydawnictwa, którego dalsze losy składamy niejako w Ich ręce. I nie jest to wcale utarty frazes przednoworoczny, ale wyraz nadziei najgłębszej, że spory już dziś zastęp Inteligencji polskiej, który pismo nasze miał sposobność poznać i ocenić bliżej, dopomóc nam zechce do rozpowszechniania wiadomości o niem i zdobywania mu odbiorców nowych.

Nie mamy środków na reklamy kosztowne, nie możemy współzawodniczyć pod tym względem z wydawnictwami innemi, które w szczęśliwszych od nas rozwijają się warunkach. Sądzimy jednak, że każdy wydany przez nas zeszyt stanowić już może reklamę dla usiłowań naszych i stwierdzać prawo „Sfinksa“ do dalszego życia i coraz pomyślniejszego rozwoju.

Śmiałość przekonań, w których wypowiedania kierujemy się jedynie dobrem ogólnem, wysoka wartość zamieszczanych w „Sfinksie“ utworów, na które—obok talentów młodszych—składają się pióra pierwszorzędných pisarzy polskich, dążność wreszcie nieastanna do podnoszenia poziomu wydawnictwa, zarówno pod względem zawartości wewnętrznej, jak i artystycznej prawdziwie szaty zewnętrznej, przewyciężyć muszą w końcu obojętność i apatję szerszych kół inteligentnego ogółu i zapewnią pismu naszemu należyte uznanie i poparcie.

Stając z tą nadzieją w daszy na progę roku nowego, dotychczasowych Przyjaciół naszych prosimy o dopomoczenie nam do jej arzezywistnienia.



Najwytworniejsze
Kakao, Czekolada, Cukry deserowe
JAN FRUZIŃSKI

Fabryka i Skład główny: Polna № 28.

Telefon Nr. 2317.

Składy: Marszałkowska № 138, telefonu № 1050,
Wierzbowa № 8, tel. 3365,
Krakowskie Przedm. № 5, tel. 8528.

Wielki wybór bombońjerek krajowych i zagranicznych
od bardzo wykwintnych do najskromniejszych.

Operę, operetkę, koncert, wieczór śmiechu

można mieć w domu, nabywając ulepszony gramofon z drewnianą tabłą wyroba angielskiego.

Płyty w wykonaniu najwybitniejszych artystów świata: Patti, Kochańskiej, Barrientos, Galvani, Carusa, Anselmiego, Bonci, Battistiniego, Didura, Dygasa, Kubelika, orkiestr symfonicznych i t. p.

Operetki w wyk. Kaweckiej, Messal, Tracikiewicz, Bielskiej, Redo, SzczaWińskiego, Rapackiego i innych. Cygańska miłość, Luxemburg, Rozwódka, Krysia, Bohaterowie, Czar walca i w. in.

Specjalnie możemy polecić ostatnie wspaniałe nagrania prof. **BARCĘWICZA**, które są do nabycia wyłącznie w naszym składzie.

Melodeklamacje: Wzywacie Boga, Dzwony Ujejskiego, Preludjum Chopina i in.

Orkiestry cygańskie z Budapeszta pod dyr. nadwornego skrzypka Berkes: Banfy walc, Hopta hop, walc z Rozwódki, walc z Cygańskiej miłości, Całus nie grzech, Krysia leśniczanka.

Bogaty asortyment instrumentów mazyecznych, strun, oraz przyborów, tylko z najcenniejszych źródeł — POLECA

Skład Instrumentów muzycznych i ulepszonych gramofonów

B. RUDZKI

Warszawa, ulica Marszałkowska № 87.

Zamówienia z prowincji odwrotną pocztą za zaliczeniem.



KRYTYKA

Miesięcznik społeczno-polityczny i literacko-naukowy w Krakowie,
wstępuje w XIV rok swego istnienia.

KRYTYKA zajmuje stanowisko w prasie odrębne i pierwszorzędnie traktuje sprawy wyzwolenia, zarówno narodowego, jak i indywidualnego, politycznego jak i społecznego. Na gruzach rozwianych nadziei walczy z apatią i reakcją, wolnym słowem asilując pobadzić do badoy nowego gmacza: Zasadnicze artykuły polityczne pisują: Wilhelm Feldman, K. Stefański, Wł. Stadnicki, K. Srokowski, Prof. Baadotain de Courtenay etc. Zarazem zwraca pismo baczną uwagę na rach naukowy a nas i zagranicą. W roku 1911 drakowało rozprawy filozoficzne o Jerzym Sorela (D-ra Breitera), H. Bergsonie (K. Bleszyńskiego), prof. Masaryka (H. Boczkowskiego), „Nowe drogi filozofji“ (D-ra M. Sobeskiego); artykuły socjologiczne D-ra Lewińskiego, Edw. Grabowskiego i in. W dziale literackim pismo propaguje idee wielkiej sztuki, i zaznajamia z rachem literackim a nas i a obcych. Drakowało w 1911 r. nowelle Sieroszewskiego, Struga, Z. Kisielewskiego, poezje T. Mińskiego, A. Langego, Wł. Orkana etc. W każdym Nr-ze charakterystyka wybitnego artysty-plastyka i kilka plansz-reprodukcji z jego dzieł.

Prenumeratę należy przesyłać wprost do Krakowa — wynosi rocznie 10 rb., półrocznie 5 rb.

Adres Wydawnictwa: **Kraków, Staszica 3.**

„NOWA GAZETA“

Jedyny w Królestwie Polskiem wielki organ postępowy i demokratyczny

poświęcony polityce, sprawom społecznym, ekonomicznym, oraz literaturze i sztuce.

Wychodzi dwa razy dziennie z licznymi dodatkami.

„Nowa Gazeta“ prócz zasadniczej treści obejmuje następujące dodatki:

- 1) dodatek codzienny p. n. „**Gazeta Handlowa**“ poświęcony sprawom handlowo-ekonom.
- Dwa tygodniowe dodatki: 2) literacko-artystyczny p. n. „**Literatura i Sztuka**“
- 3) popularno-naukowy p. n. „**Nauka i Życie**“,
- 4) tygodniowy „**Dodatek powieściowy**“
układu książkowego, zawierający wybór najlepszych powieści,
oraz artykuły i korespondencje prowincjonalne, stale zamieszczane w dodatku p. n.
- 5) „**Echa Prowincjonalne**“.

Całość składa się na pismo, które tak treścią, jako też objętością przewyższa wszystkie inne pisma, wychodzące w Warszawie

„Nowa Gazeta“ pomieszcza w różnych działach 3 powieści.

„Nowa Gazeta“ jest w zakresie spraw politycznych i społecznych organem najaktualniejszym. W zakresie literatury, sztuki i nauki jest jedynym pismem codziennym, w pełni uwzględniającem wszystkie przejawy w tych dziedzinach.

„Nowa Gazeta“ oliaruje swym prenumeratorom jako premjum z małą dopłatą „**Wielki Atlas Królestwa Polskiego**“.

Redaktor naczelny St. A. Kempner.

Redaktor literacki J. Lorentowicz.

PRENUMERATA WYNOŚI:

miejscowa: rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4.50, kwartalnie rb. 2.25, miesięcznie kop. 75, a nadto kop. 10 miesięcznie za odnoszenie; na prowincji: rocznie rb. 11, półrocznie rb. 5.50, kwartalnie rb. 2.75, miesięcznie kop. 95; (w Łodzi z odnoszeniem mies. rb. 1); za granicą: za markami mies. rb. 1.60.

Główna Administracja i Kantor: Warszawa, ul. Szpitalna Nr. 10. Telefona № 92-76—Nadto filje.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

najstarsza i najpoczytniejsza ilustracja polska.

Przeszło tysiąc stron tekstu i przeszło dwa tysiące ilustracji rocznie.

Zapowiedź na rok 1912.

„Tygodnik ilustrowany“ w r. 1912 zamieści najnowszą powieść Wł. St. Reymonta pod tytułem:

„Rok 1794“

(czasy Kościuszkowskie).

Tygodnik drukować będzie dalszy ciąg powieści

BOLESŁAWA PRUSA

pod tytułem „PRZEMIANY“.

Cieszące się tak wielką poczytnością

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA

będą zamieszczane bez przerwy w roku 1912.

Premjum nadzwyczajne „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

1912. „SYBIR, WIZJE PRZESZŁOŚCI“ 1912.

(SERJA I).

Album kartonów KONSTANTEGO GORSKIEGO

na tle życia wygnańców syberyjskich.

W połączeniu z wydaną w r. z. Serją I, bezpłatnie to premjum stanowi będzie pierwszorzędną całość artystyczną.

CIEKAWY POWIEŚCI

Miesięcznik ilustrowany poświęcony najwybitniejszym powieściom i romansom polskim i obcym.

12 TOMÓW w ciągu roku zupełnie bezpłatnie. Każdy tom suto ilustrowany.

Komplety z lat 1910 i 1911 dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ tylko po rb. 3.60, w oprawie po rb. 5.

W r. 1912 CIEKAWY POWIEŚCI drukować będą:

Elizy Orzeszkowej „I pieśń niech zapłacze“; Al. Dumasa (ojca) „Sprzysiężeni“; W. Karczewskiego „W Wielgim“; Wincentego Rapackiego „Hanza“; Adama Krechowickiego „Szary Wilk“; Wołodęgo Skiby „Siedmioletnia wojna“; Karola Dickensa „Magazyn starożytności“; Ereckmana-Chatriana „Daniel Rock“; Z. Kaczkowskiego „Żydowski“.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

wraz z Ciekawymi powieściami i Albumem wynosi:

W Warszawie rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2. Z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Adres Administracji; ul. Zgoda 12 – telef. 414.

Wydawcy: Gebethner i Wolff.

Redaktor: Dr. Józef Wolff.

W ADMINISTRACJI „SFINKSA“ I W KSIĘGARNIACH

są do nabycia:

PISMA WŁ. BUKOWIŃSKIEGO:

- „Z marzeń i życia“ rb. 1 kop. 20
 „Nowy zeszyt“ „ — „ 75
 „Na greckiej fali“ (poemat) . „ — „ 50
 „Poeta melodji i głębin i Poetka Idei“ (rzecz o Konopnickiej i Asnyka) „ — „ 75
 Świeżo wydany wykwiłtnie poemat „ECHA“ „ — „ 80
 Pod prasą: „NA PRZEŁOMIE“ nowe wiersze.

Inne wydawnictwa „SFINKSA“

- lub dzieła w większej ilości posiadane:
Ign. Matuszewski. „Król Dach czy „Królowie Dachy?“ (przyczynk do wyjaśnienia niektórych punktów epopei Słowackiego) z 2 portretami Słowackiego, k. 50.
Cyprjan Norwid. Odczyty o Słowackim k. 60.
Henryk Heine. „Pieśni współczesne“, przekład Wł. Nawrockiego, kop. 45.
Bernard Kellerman. „Ingeborga“ powieść (przekład Br. Neufeldówny), k. 75.

Prenumeratorzy „SFINKSA“, nabywający powyższe wydawnictwa bezpośrednio w Administracji naszej, otrzymują 25% ustępstwa. Na przesyłkę do każdego rubla dołączyć należy kop. 15.

Portret Juliusza Słowackiego, akwaforta Franciszka Siedleckiego, odbita na papierze holenderskim. Cena księgarska rb. 3, dla prenumeratorów „Sfinksa“ rb. 1 kop. 50

Kilka ostatnich egzemplarzy tego portreta na papierze japońskim — cena księgarska rb. 10, dla Prenumeratorów rb. 7 kop. 50.

- Jan Kleczyński.** Rzeźba współczesna, k. 60.
Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego (według pastela K. Mordasewicza), k. 60.
8 portrecików (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Asnyk, Konopnicka, Wyspiański, Żeromski, Kasprowicz). Cena za wszystkie razem kop. 80.
Prof. M. Karejew. „Podręcznik historii wieków średnich“ (przekład M. Bukowińskiej), rb. 1 kop. 20.
Dr. Fryderyk Kirchner. „Katechizm historii filozofji“ (przeł. dr. K. Krauz), rb. 2.
J. M. Baldwin. Życie społeczne i moralne, rb. 2.
J. Simmel. Filozofja pieniądza (przekład Leo Belmonta), rb. 2.
A. V. Dicey. Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym, rb. 2.
Kazimierz Krauz. Socjologiczne prawo retrospekcji, kop. 30.
Edward Abramowski. Dusza i ciało, rb. 1 kop. 50.

Przedpłatę przysyłać najlepiej **wprost** do Administracji naszej: **ul. Polna 26** w Warszawie.

Prenumerata „SFINKSA“ wynosi rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 25 kwartalnie w Warszawie, a rb. 10 rocznie, rb. 5 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie.

Prenumerata „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendowaną) rb. 12 rocznie, rb. 6 półrocznie i rb. 3 kwartalnie.

Cena ogłoszeń w „SFINKSIE“: cała strona przed tekstem i na okładce rb. 60, na pierwszej stronie po tekście rb. 40, na ostatniej stronie przed okładką rb. 30, na innych stronach rb. 20. Pół i ćwierć strony w tym samym stosunku.

Na obwołacie: cała strona rb. 75, 1/2 str. rb. 40, 1/4 str. rb. 25.

ŚWIAT

Najbardziej popularna i rozpowszechniona w Polsce ilustracja artystyczna i aktualna pod redakcją **Stefana Krzywoszewskiego** wychodzi w Warszawie rok 7-my.

„ŚWIAT” liczy w szeregu swych współpracowników niemal wszystkich najwybitniejszych pisarzy polskich.

„ŚWIAT” ma zapewnione współpracownictwo wybitnych artystów malarzy, fachowo obznajmionych z techniką reprodukcijną.

„ŚWIAT” posiada sieć oddziałów redakcyjnych we wszystkich miastach polskich oraz w Petersburgu, Paryżu, Londynie, Wiedniu, Berlinie, Rzymie i Genewie.

„ŚWIAT” jest i będzie nadal najpełniejszą ilustrowaną kroniką życia polskiego i obcego.

KĄDZY STAŁY PRENUMERATOR ŚWIATA OTRZYMYWAĆ BĘDZIE ZA 8 RUB. ROCZNIE CZTERY WYDAWNICTWA ;

1) *Świat* tygodnik ilustrowany, zawierający 30 do 40 i więcej stron druku, oraz około 60 ilustracji, poświęcony literaturze, sztuce, nauce i sprawom społecznym.

2) *Romans i powieść*, tygodnik, drukujący powieści i nowele oryginalne i tłumaczone, poezje i przeglądy literackie. Romany i powieści kosztują osobno 4 ruble rocznie.

3) *Specjalne premja artystyczne*, ozdobione wielobarwnymi ilustracjami. Każdy zeszyt kosztuje w oddzielnej sprzedaży rb. 1.50.

4) *Turysta polski*, nowe wydawnictwo miesięczne, z wyczerpującym działem informacji z zakresu podróżnictwa. „Turysta” kosztuje osobno rb. 2 rocznie.

W ciągu roku 1912 drukować będziemy oprócz całego szeregu prac najwybitniejszych polskich powieściopisarzy, dwie wielkie powieści:

Wacława Sieroszewskiego p. t. „**ZACISZE**”, osnutą na tle życia wsi polskiej, oraz *nową wielką powieść Józefa Weyssenhoffa*.

Pierwsze specjalne premjum artystyczne ukazuje się w Styczniu 1912 r. i poświęcone będzie całkowicie **ROKOWI 1812**, jako w staletnią rocznicę wyprawy Napoleona na Moskwę.

Każdy prenumerator „Świata” będzie mógł nabywać po **wyjątkowo niższej cenie** wspaniałe wydawnictwo, mające się ukazywać w zeszytach od Stycznia 1912 r., ozdobione 300 kolorowymi ilustracjami p. t. **HISTORIA MALARSTWA**.

Prospekty wysyła administracja „Świata”.

PRZEDPŁATA „ŚWIATA” WYNOŚI

łącznie z „Romansem i Powieścią”, „Premjami specjalnymi” i „Turystą polskim”:

W Warszawie rocznie rb. 8. półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2. Na prowincji rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4.50, kwart. rb. 2.25. Za granicą rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwart. rb. 3.

W Warszawie, Królestwie i Cesarstwie można prenumerować „Świat” za 75 kop. miesięcznie. **PRENUMERATA W AUSTRII:** kwartalnie 6 kor., półrocznie 12 kor., rocznie 24 kor. Na przesyłkę premji specjalnych rocznie 50 hal. **Oddział na Galicję:** Kraków, ulica Bonerowska № 1.

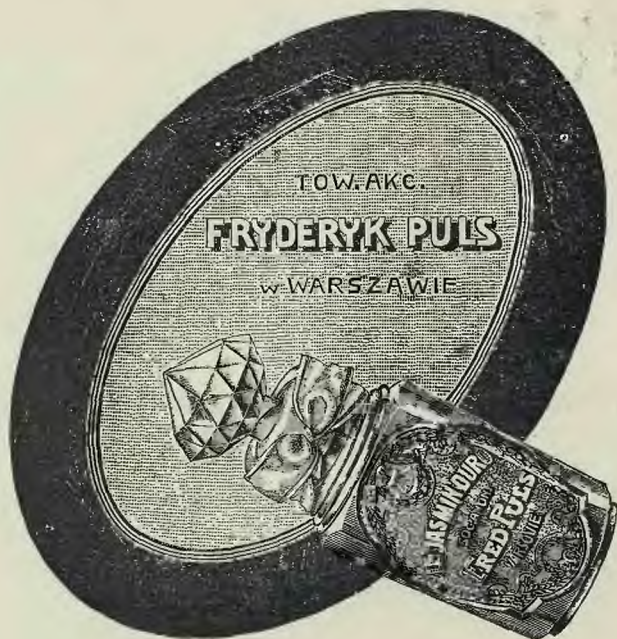
Filja we Lwowie: ulica Sapiehy № 2.

Adres redakcji i administracji „Świata”: **Aleja Jerozolimska № 49.**

KANTORY ŚWIATA: W Warszawie. Sienna 2a. W Łodzi. Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień”, ul. Piotrkowska 81. W Ameryce, T. A. E. Polish Book Importing Co. New-York 83, second Ave.

Wydawcy: **Akc. Tow. Wydaw. „Świat”.** Redaktor: **Stefan Krzywoszewski.**

Redaktor odpowiedzialny na Galicję **Ant. Chołoniewski**, Kraków. ul. Bonerowska 12



Wyszły dotąd w „Biblijotece Sfinksa“:

Maurycy Mochnacki: „Literatura polska w wieku XIX“ (z portretem Auctora i przedmową A. Drogoszewskiego).

Romain Rolland: „Jan Krzysztof“. Część I, „Świt“, przekład Jadwigi Sienkiewiczówny.

Romain Rolland: „Jan Krzysztof“. Część II, „Poranek“, przekład Jadwigi Sienkiewiczówny.

Ignacy Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka“, z portretem Auctora i przedmową Ignacego Chrzanowskiego, 2 tomy.

Romain Rolland: „Jan Krzysztof“. Część III. „Młodzieniec“, przekład Jadwigi Sienkiewiczówny i Henryka Sienkiewicza.

Na ukończeniu: „Na przełomie“, nowe wiersze **Władysława Bukowińskiego**, oraz część czwarta „Jana Krzysztofa“.

Cena każdego tomu kop. 80. Z przesyłką pocztową rb. 1.

Dalsze tomy „Biblijoteki Sfinksa“ za rok 1911, prenumeratory jej roczni otrzymają w I kwartale r. 1912.

W r. 1912 „Biblijoteka“ wychodzić nie będzie.

Adres Redakcji i Administracji „**BIBLIOTEKI SFINKSA**“:

Warszawa Polna 26.

